Kinsella Sophie

Pani mecenas ucieka

Młoda prawniczka, bez pojęcia o pracach domowych, przypadkowo zostaje gosposią

Samantha - świetna prawniczka z londyńskiego City - popełnia fatalny błąd, ucieka w szoku z biura i przypadkowo zostaje... gosposią! Jej pracodawcy nie mają pojęcia, że obsługuje ich absolwentka Harvardu z ilorazem inteligencji 158, a ona sama nigdy by nie przypuszczała, że łatwiej wskazać klientowi, jak oszczędzić miliony funtów, niż przyszyć guzik i uruchomić piekarnik...

1
Czy uważasz, że jesteś zestresowana?
Nie, nie jestem.
Jestem... zajęta. Mnóstwo ludzi w dzisiejszym świecie jest zabieganych. Tak to już jest. Mam bardzo odpowiedzialną pracę, moja kariera jest dla mnie bardzo ważna i lubię robie to, co robię.
No dobrze. Czasem rzeczywiście czuję się nieco spięta. Trochę jakby pod presją, ale przecież w końcu jestem prawnikiem w City. Czego niby miałabym oczekiwać?
Naciskam długopisem na kartkę tak mocno, że przedzieram papier. Cholera.
Nie szkodzi. Przejdźmy do kolejnego pytania.
Przeciętnie ile godzin dziennie spędzasz w biurze? *44*
To zależy.
Czy gimnastykujesz się regularnie?
~~*Pływam regularnie*~~
~~*Od czasu do czasu chodzę na basen*~~
Zamierzam zacząć regularne sesje pływania, kiedy będę miała czas. Ostatnio jestem bardzo zajęta w pracy, ale to tylko okres przejściowy.
2

Czy pijesz 8 szklanek wody dziennie?
Tak
~~*Czasa*~~
Nie.
Odkładam długopis i chrząkam. Maya spogląda na mnie z drugiego końca pokoju, gdzie akurat ustawia naczynka z woskiem i lakiery do paznokci. Maya będzie dzisiaj moją kosmetyczką. Ma zebrane w warkocz długie czarne włosy z jednym białym pasemkiem i malutki srebrny kolczyk w nosie.
- Jakieś kłopoty z kwestionariuszem? - pyta miękko.
- Jak już wspominałam, nieco się spieszę - odpowiadam uprzejmie. - Czy to naprawdę konieczne?
- Musimy uzyskać jak najwięcej informacji, aby ocenić twoje potrzeby pielęgnacyjne i zdrowotne - odpowiada łagodnie, lecz stanowczo.
Zerkam na zegarek. Za piętnaście dziesiąta.
Nie mam na to czasu. Naprawdę nie mam, ale to mój prezent urodzinowy i obiecałam cioci Patsy, że z niego skorzystam.
Właściwie to zaległy prezent za zeszłe urodziny. Ponad rok temu ciocia Patsy wręczyła mi kupon na „Doskonałą kurację relaksującą". Ciocia Patsy to siostra mojej mamy. Zawsze bardzo się martwi o kobiety, które robią karierę. Przy każdym spotkaniu chwyta mnie za ramiona i przypatruje mi się zaniepokojona. Na kartce okolicznościowej, którą przysłała wraz z kuponem, napisała: „Znajdź trochę czasu dla siebie, Samantho!!!".
Co zresztą zamierzałam zrobić, tyle że po drodze mieliśmy w firmie kilka bardzo pracowitych okresów i tak się jakoś złożyło, że minął cały rok, a ja nie znalazłam ani jednej wolnej chwili. Jestem prawniczką w firmie Carter Spink i, niestety, akurat jesteśmy zawaleni robotą. To tylko faza przejściowa. Będzie lepiej, po prostu muszę jakoś przebrnąć przez najbliższe kilka tygodni.
W każdym razie w tym roku ciocia Patsy wysłała mi ko-lcjiii| kartkę urodzinową i nagle zdałam sobie sprawę, że nie-

długo wygaśnie data ważności kuponu. Dlatego dziś, w dniu moich dwudziestych dziewiątych urodzin, siedzę tu, na kanapie, ubrana w biały szlafrok frotté i surrealistyczne papierowe majtki. Mając do dyspozycji pół dnia. Najwyżej.
Palisz?
Nie.
Pijesz alkohol?
Tak.
Czy spożywasz regularnie domowe posiłki?
Spoglądam sponad kartki odrobinę defensywnie. Co to ma wspólnego z czymkolwiek? Dlaczego niby jedzenie domowej roboty jest najlepsze?
Jem odżywcze, zróżnicowane posiłki, piszę wreszcie.
Co jest zdecydowanie prawdą.
Wszyscy przecież wiedzą, że Chińczycy żyją dłużej niż my, więc czy może być coś zdrowszego niż ich kuchnia? Z kolei pizza, jako potrawa śródziemnomorska, prawdopodobnie jest znacznie zdrowsza niż posiłki domowe.
Czy uważasz, że twoje życie jest zbalansowane?
Tak
Ni Tak.
- Skończyłam - oznajmiam i wręczam kwestionariusz Mai, która zaczyna odczytywać moje odpowiedzi. Jej palec wskazujący wędruje po kartce w ślimaczym tempie, zupełnie jakbyśmy mieli mnóstwo czasu.
Może zresztą ona go ma, ale ja naprawdę muszę wrócić do biura na pierwszą.
- Przeczytałam uważnie twoje odpowiedzi. - Maya patrzy na mnie przenikliwie. - Jesteś bardzo zestresowaną kobietą.
Co takiego? Skąd ona to wyczytała? Przecież wyraźnie napisałam, że nie jestem zestresowana.

- To nieprawda - mówię, prezentując uśmiech w stylu „zobacz, jak bardzo jestem rozluźniona".
Maya nie wygląda na przekonaną.
- Twoja praca bardzo cię obciąża psychicznie.
- Presja zawodowa mi sprzyja - wyjaśniam.
To prawda. Wiem o tym, od kiedy... cóż, od kiedy powiedziała mi o tym moja matka. Miałam wtedy osiem lat. „Rozkwitasz pod presją, Samantho". Napięcie służy całej naszej rodzinie. To takie nasze rodzinne motto albo coś w tym stylu.
Oczywiście z wyjątkiem mojego brata, Petera, który przeszedł załamanie nerwowe. Ale reszcie rodziny presja zdecydowanie sprzyja.
Kocham moją pracę. Uwielbiam satysfakcję, jaką odczuwam, gdy znajdę lukę prawną w kontrakcie, podnieca mnie uderzenie adrenaliny, gdy zamykam kontrakt, dreszcz emocji podczas negocjacji. Kocham dyskusje i chwile, gdy mam rację. To prawda, że od czasu do czasu - choć niezbyt często -czuję się, jakby ktoś zwalił na mnie kupę kamieni, ogromnych betonowych bloków, które muszę utrzymać bez względu na to, jak bardzo jestem wyczerpana... ale każdy pewnie ma podobne odczucia. To normalne.
- Twoja skóra jest odwodniona - Maya potrząsa głową. Przesuwa wyćwiczoną dłonią po moim policzku i opiera palce pod szczęką, wpatrując się we mnie z niepokojem. - Masz przyspieszony puls. To niezdrowy objaw. Czy czujesz się w tych dniach szczególnie spięta?
- Mam teraz mnóstwo pracy - wzruszam ramionami. - To chwilowe. Wszystko w porządku.
Możemy już z tym skończyć?
- No tak. - Maya wstaje, naciska guzik wbudowany w ścianę i w pokoju rozlega się łagodna muzyka fletni Pana.
-Mogę jedynie powiedzieć, że przyszłaś w odpowiednie miejsce, Samantho. Naszym celem tutaj jest relaksacja, rewitalizacja i detoksykacja.
Cudownie - odpowiadam, na wpół słuchając. Właśnie przed sekunda, przypomniałam sobie, że nie oddzwoniłam do

Davida Elldridge'a w sprawie kontraktu na ukraińską ropę naftową. Powinnam się była do niego odezwać już wczoraj. Cholera!
- Celem Centrum Zielonego Drzewa jest zapewnienie miejsca wyciszenia, z dala od codziennych zmartwień. - Maya wciska kolejny guzik w ścianie i w pokoju przygasają światła. - Zanim zaczniemy, czy masz jakieś pytania?
- Właściwie to tak - pochylam się do przodu.
- Doskonale! - rozjaśnia się. - Jesteś ciekawa szczegółów dzisiejszego zabiegu czy to bardziej ogólny problem?
- Czy mogłabym wysłać króciutki mejl? - pytam uprzejmie. Uśmiech Mai zamiera.
- Bardzo szybko - dodaję. - Zabierze mi to najwyżej dwie se...
- Samantho, Samantho... - Maya potrząsa głową. - Jesteś tutaj, żeby się odprężyć, znaleźć chwilę dla siebie, a nie po to, żeby wysyłać mejle. To twoja obsesja! Uzależnienie! Tak samo szkodliwe, jak alkohol lub kofeina.
Do jasnej Anielki, nie mam żadnej obsesji! To czysty idiotyzm. Sprawdzam mejle tylko co... jakieś trzydzieści sekund. Problem w tym, że przez trzydzieści sekund wiele się może zmienić.
- Poza tym, Samantho - ciągnie Maya - czy widzisz w tym pokoju komputer?
- Nie - odpowiadam, rozglądając się po spowitym w półmroku pomieszczeniu.
- Dlatego właśnie prosimy, aby klienci zostawiali urządzenia elektroniczne w sejfie. Nie zezwalamy na wnoszenie telefonów komórkowych ani palmtopów. - Maya rozkłada ręce. - To miejsce odpoczynku. Ucieczka od świata.
- Jasne - kiwam potulnie głową. Pewnie to niezbyt dobry moment na wyznanie, że w papierowych majtkach ukryłam BlackBerry*.
* Palmtop nowej generacji, z możliwością odbierania i wysyłania poczty elektronicznej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- Zatem zaczynajmy - uśmiecha się Maya. - Połóż się na kanapie i przykryj ręcznikiem. I proszę cię, zdejmij zegarek.
- Ale ja go potrzebuję!
- To kolejne uzależnienie - cmoka z dezaprobatą. - Podczas pobytu tutaj nie musisz wiedzieć, która godzina.
Odwraca się dyskretnie, a ja z ociąganiem pozbywam się zegarka. Potem niezgrabnie układam się na kanapie, usiłując przy tym nie zmiażdżyć cennego palmtopa. Czytałam przepisy dotyczące zakazu wnoszenia sprzętu elektronicznego. Oddałam nawet do depozytu dyktafon, ale trzy godziny bez BlackBerry? A jeśli nagle coś wypadnie w biurze? Jeśli wyniknie jakaś pilna sprawa do załatwienia? Poza tym w ogóle nie widzę w tym wszystkim sensu. Gdyby naprawdę chcieli, żeby ludzie się tutaj odprężali, pozwoliliby im zatrzymać BlackBerry i komórki, a nie konfiskowali na czas sesji.
Tak czy owak, Maya na pewno nie dostrzeże ani jednego, ani drugiego pod ręcznikiem.
- Zaczniemy od relaksującego masażu stóp - mówi i czuję, jak rozprowadza mi na podeszwach jakiś balsam. - Postaraj się oczyścić umysł.
Posłusznie wpatruję się w sufit. Oczyścić umysł. Mój umysł jest czysty jak przezroczysta... szklanka...
Co ja zrobię z Elldridge'em? Powinnam się z nim skontaktować. Będzie czekał na moją odpowiedź. A jeśli powie pozostałym wspólnikom, że się nie przykładam do pracy? Może to zmniejszyć moje szanse na wejście do rady. Czuję ukłucie strachu. To nie jest odpowiedna chwila, by pozostawiać wszystko przypadkowi.
- Postaraj się nie myśleć o niczym... - intonuje Maya. -Poczuj, jak odpływa z ciebie napięcie...
Może zdołam wysłać mu króciutki mejl spod ręcznika? Ukradkowo sięgam w dół i wyczuwam twardy róg BlackBerry. Stopniowo, centymetr po centymetrze wyciągam go z papierowych majtek. Nieświadoma niczego Maya nadal masuje mi stopy.
Twoje eiulo robi się ciężkie... umysł się oczyszcza...

Opieram BlackBerry na piersi i podnoszę na tyle, żeby zobaczyć ekran pod ręcznikiem. Dzięki Bogu w pokoju panuje półmrok. Staram się ograniczyć moje ruchy do minimum. Zaczynam pisać jedną ręką.
- Odpręż się... - ciągnie Maya łagodnym tonem. - Wyobraź sobie, że spacerujesz po plaży...
- Uhm... - mruczę spolegliwie.
David, piszę jednocześnie. *Odnośnie kontraktu na ropę ZFN. Przeczytałam poprawki. Uważam, że powinniśmy...*
- Co ty robisz? - pyta Maya, nagle zaalarmowana.
- Nic! - rzucam, pospiesznie chowając palmtopa pod ręcznikiem. - Ja tylko się... eeee... relaksuję.
Maya podchodzi do mnie i spogląda na wypukłość ręcznika tam, gdzie kurczowo trzymam w dłoni BlackBerry.
- Coś tam chowasz? - pyta z niedowierzaniem.
- Nie!
Ukryty pod ręcznikiem BlackBerry emituje ciche piknięcie. Cholera.
- To chyba był samochód - usiłuję nadać głosowi swobodny ton. - Na ulicy.
Oczy Mai zwężają się w szparki.
- Samantho - zaczyna powoli, złowieszczym głosem. -Czy chowasz pod ręcznikiem sprzęt elektroniczny?
Mam wrażenie, że jeśli się nie przyznam, i tak zerwie ze mnie okrycie.
- Chciałam tylko wysłać mejl - [illegible] wyciągam palmtopa. [illegible]
- Wy, pracoholicy! -

wyłączyć, zwłaszcza teraz. Jestem... mam szansę na awans. Na wspólnika - wypowiadam te słowa na głos i czuję znajome szarpnięcie nerwów. Pozycja wspólnika w jednej z najznakomitszych firm prawniczych w kraju. Moje największe marzenie. - Mam szansę wejść do rady nadzorczej - powtarzam spokojniej. - Jutro podejmą decyzję. Jeśli mnie awansują, zostanę najmłodszym wspólnikiem w całej historii firmy. Czy wiesz, jakie to ważne? Masz pojęcie...
- Każdego stać na kilka godzin wolnego - przerywa Maya i kładzie dłonie na moich ramionach. - Samantho, jesteś potwornie znerwicowana. Masz spięte ramiona, twoje serce galopuje w przerażającym tempie... jesteś na granicy załamania.
- Czuję się dobrze.
- Jesteś kłębkiem nerwów!
- Nie jestem!
- Musisz sama postanowić o zwolnieniu tempa - Maya spogląda na mnie z powagą. - Tylko ty możesz zmienić swoje życie. Czy zamierzasz to zrobić?
- Hmm... cóż... - przerywam, piszcząc z zaskoczenia, gdy w moich papierowych majtkach rozlega się cichy warkot. Komórka. Wepchnęłam ją tam wraz z palmtopem i przełączyłam na tryb wibrujący, żeby nie narobiła hałasu.
- Co to jest? - Maya wpatruje się w mój drżący ręcznik. -Co do diaska tak... wibruje?
Nie mogę się przyznać, że to telefon. Nie po wpadce z BlackBerry.
- Hmm... - chrząknięciem oczyszczam gardło - to moja specjalna... zabawka erotyczna.
- Twoje co? - Maya wydaje się całkowicie zbita z tropu. Telefon znów wibruje w moich majtkach. Muszę go odebrać. Mogą dzwonić z biura.
No wiesz... jestem w trakcie dochodzenia... do bardzo intymnego momentu - spoglądam na Mayę znacząco. - Czy mogłabyś, hmm... wyjść na chwilę z pokoju? W spojrzeniu Mai pojawia się podejrzliwość.

- Chwileczkę! - znów zerka na mój ręcznik. - Schowałaś tam komórkę? Ją również przemyciłaś?!
O Boże. Chyba jest wściekła.
- Posłuchaj - zaczynam przepraszająco. - Wiem, że macie te swoje zasady i tak dalej. Szanuję to, ale problem w tym, że potrzebuję telefonu. - Sięgam pod ręcznik i wyciągam go na wierzch.

Nie jestem uzależniona od zegarka, ale zdecydowanie na nim polegam. Wy też mielibyście podobne odczucia, gdyby wasz czas był mierzony w sześciominutowych odcinkach, za które powinnam obciążać klienta opłatą. Wszystko jest zapisane w szczegółowym komputerowym planie dnia.
11.00-11.06 Przygotowałam kontrakt do projektu A 11.06-11.12 Wniosłam poprawki do dokumentacji dla Klienta B 11.12-11.18 Skonsultowałam się w sprawie klauzuli w umowie C
Kiedy zaczynałam pracę w Carter Spink, trochę przerażało mnie to, że muszę rozliczać się pisemnie z każdej minuty mojego dnia pracy. Myślałam sobie: a jeżeli przez sześć minut zdarzy mi się nic nie robić? Co mam wtedy napisać?
11.00-11.06 Wpatrywałam się bez celu w okno
11.06-11.12 Śniłam na jawie o wpadnięciu na ulicy na
George'a Clooneya 11.12-11.18 Próbowałam dotknąć językiem czubka nosa
Prawda jednak jest taka, że człowiek przy wyka do mierzenia swego życia w małych, sześciominutowych odcinkach czasu. I do pracowania przez cały czas.
Będąc prawnikiem w Carter Spink, nie wygląda się przez okno ani nie śni na jawie. Nie wtedy, gdy każde sześć minut jest warte tyle pieniędzy. Ujmę to w ten sposób: jeżeli pozwolisz upłynąć sześciu minutom bez żadnego osiągnięcia, firma traci na tobie 50 funtów. Dwanaście minut to 100 funtów, osiemnaście - 150.
Jak już powiedziałam, w Carter Spink nie można się lenić.

2
Kiedy pojawiam się w biurze, Ketterman stoi przy moim biurku, przyglądając się z niesmakiem bezładnej mieszaninie papierów i folderów. Muszę przyznać, że moje stanowisko pracy nie należy do najbardziej uporządkowanych na świecie. Właściwie to chyba... trochę przypomina wysypisko śmieci. Oczywiście zamierzam zrobić tu wreszcie porządek i poukładać wszystkie stare kontrakty w schludnych kupkach na podłodze. Kiedy wreszcie znajdę na to czas.
- Spotkanie za dziesięć minut - rzuca Ketterman, spoglądając na zegarek. - Przynieś projekt finansowy.
- Naturalnie - odpowiadam, starając się zachować spokój, chociaż sama jego obecność sprawia, że przechodzą mnie dreszcze.
W najlepszym przypadku Ketterman jest irytujący. Emanuje przerażającą potęgą umysłu, tak jak inni mężczyźni wodą po goleniu. Dziś jednak jest milion razy gorzej, ponieważ Ketterman zasiada w komisji. Jutro on i trzynastu pozostałych członków rady nadzorczej odbędą ważne posiedzenie, na którym zostanie wybrany nowy wspólnik. Jutro przekonam się, czy osiągnęłam upragniony sukces, czy też moje życie jest jedną wielką porażką. Nie, żebym się tym przejmowała, bynajmniej.
- Projekt jest tutaj... - sięgam w kierunku sterty papierów i wyciągam z niej coś, co wygląda jak kartonowa teczka z ozdobnikiem.
Stare pudełko po pączkach z kremem i polewą. Pospiesznie wrzucam je do kosza.
- Na pewno jest gdzieś tutaj... - przekładam nerwowo pa-pierzyska i wreszcie udaje mi się znaleźć odpowiedni folder. Dzięki Bogu! - Proszę.
- Nie wiem, jak możesz pracować w takim bałaganie, Sa-mantho. - Głos Kettermana jest przesycony sarkazmem, a w jego oczach nie ma ani krzty rozbawienia.
- Przynajmniej wszystko mam pod ręką! - chichoczę nie-
12

śmiało, ale Ketterman stoi sztywno, jakby kij połknął. Zdenerwowana, wyciągam spod biurka fotel. Spada zeń na podłogę plik listów, które zapomniałam przejrzeć.
- Dawniej mieliśmy tu zasadę, że do osiemnastej wszystkie biurka muszą być doprowadzone do porządku - mówi Ketterman lodowatym głosem. - Może powinniśmy wprowadzić ją ponownie.
- Może - próbuję się uśmiechnąć, ale Ketterman wywołuje we mnie coraz większą nerwowość.
- Samantho! - przerywa nam ktoś o bardzo miłym głosie. Rozglądam się i z ulgą myślę, że należy on do Arnolda Saville'a, który właśnie pojawił się na korytarzu.
Arnold jest moim ulubionym starszym wspólnikiem. Ma kręconą szpakowatą czuprynę, która zawsze wydaje się zbyt nieuporządkowana jak na prawnika, oraz śmiałe gusta, jeśli chodzi o dobór krawatów. Dzisiaj włożył jaskrawoczerwony halsztuk pasujący do chusteczki w kieszonce marynarki. Wita mnie szerokim uśmiechem, a ja odpowiadam tym samym.
Nieco się odprężam. Jestem pewna, że Arnold będzie optował za przyjęciem mnie do rady nadzorczej, podobnie jak Ketterman będzie temu przeciwny. Arnold jest indywidualistą - łamie reguły firmy i nie dba o tak nieistotne szczegóły, jak nieuporządkowane biurka.
- List z podziękowaniami dla ciebie - Arnold uśmiecha się jeszcze szerzej i wyciąga kartkę papieru. - Od samego naczelnego Gleiman Brothers.
Zaskoczona, chwytam opatrzony nagłówkiem list i spoglądam na odręczną notkę, „...ogromne uznanie... jej usługi są niezmiennie wysoce profesjonalne...".
- Zdaje się, że zaoszczędziłaś mu ładnych parę milionów, chociaż zupełnie na to nie liczył - mówi Arnold z błyskiem w oku. - Jest zachwycony.
- Ach tak - rumienię się lekko. - To nic wielkiego. Po prostu zauważyłam anomalię w konstrukcji ich finansów.
- Najwyraźniej zrobiłaś na nim ogromne wrażenie. - Arnold strzyże krzaczastymi brwiami. - Chce, żebyś od tej

chwili zajmowała się wszystkimi jego kontraktami. Dobra robota, Samantho! Fantastycznie się spisałaś!
- Hmm... dzięki. - Spoglądam na Kettermana, sprawdzając, czy przypadkiem nie zrobiło to na nim choćby minimalnego wrażenia. On jednak nadal krzywi się z niecierpliwością.
- A ja chcę, żebyś zajęła się również tym - rzuca na moje biurko folder z dokumentami. - Przygotuj mi z tego oficjalny raport ekonomiczno-finansowy. Masz czterdzieści osiem godzin.
Cholera! Gdy spoglądam na gruby plik, mam ochotę się rozpłakać. Opracowanie zajmie mi całe godziny. Ketterman zawsze obciąża mnie dodatkową, nieciekawą robotą, którą nie chce się sam zajmować. Właściwie to wszyscy wspólnicy tak robią, również Arnold. W połowie przypadków nawet mi o tym nie mówią, po prostu porzucają na moim biurku dokumenty z odręcznie nabazgraną notatką od siebie i oczekują, że się z tym rozprawię.
- Jakiś problem? - pyta Ketterman ze zwężonymi oczami.
- Skądże znowu! - odpowiadam szybko tonem potencjalnego wspólnika, dla którego nie ma nic niemożliwego. - Do zobaczenia na zebraniu.
Ketterman oddala się, ja zaś rzucam wzrokiem na zegarek. Dziesiąta dwadzieścia dwie. Mam dokładnie osiem minut, aby się upewnić, że umowa Fallonsa jest w porządku. Otwieram plik i szybko przeglądam kolejne strony, szukając ewentualnych błędów i rozbieżności. Odkąd pracuję w Carter Spink, nauczyłam się czytać dużo szybciej. Właściwie to wszystko robię dużo szybciej. Chodzę szybciej, mówię szybciej, jem szybciej... uprawiam seks szybciej...
Ostatnimi czasy nie korzystałam wprawdzie zbyt często z tego ostatniego, ale parę lat temu byłam zaangażowana w znajomość ze starszym wspólnikiem w firmie Berry Forbes. Jacob zajmował się umowami międzynarodowymi dużego kalibru. W związku z tym miał jeszcze mniej czasu niż ja. Pod koniec znajomości wypracowaliśmy sześciominutową rutynę, co byłoby całkiem przydatne, gdybyśmy obciążali siebie za to

płatnością (chociaż oczywiście nie było o tym mowy). On robił mi dobrze i ja robiłam mu dobrze, potem zaś sprawdzaliśmy mejle. Praktycznie biorąc, mieliśmy jednoczesny orgazm, więc nikt nie wmówi mi, że to nie był dobry seks. Czytuję „Cosmo" i znam się na tych rzeczach.
W każdym razie Jacob otrzymał bardzo intratną propozycję i przeniósł się do Bostonu. To był koniec naszego związku, ale nie przeszkadzało mi to zbytnio. Szczerze powiedziawszy, wcale mi się nie podobał.
- Samantho? - ktoś przerywa moje rozmyślania. To moja sekretarka, Maggie. Zaczęła pracować zaledwie kilka tygodni temu i jeszcze się w pełni nie wdrożyła. - Podczas twojej nieobecności ktoś zostawił wiadomość. Jakaś Joannę?
- Joannę z Clifford Chance? - spoglądam na nią z zainteresowaniem. - Dobrze. Przekaż jej, że dostałam mejla w sprawie czwartego punktu umowy i oddzwonię do niej po lunchu...
- Nie ta Joannę - przerywa mi Maggie. - Twoja nowa sprzątaczka. Chciała wiedzieć, gdzie trzymasz worki do odkurzacza.
Spoglądam na nią bezmyślnie.
- Moje co?
- Worki do odkurzacza - powtarza Maggie cierpliwie. -Nie może ich znaleźć.
- Dlaczego odkurzacz musi być w worku? - pytam zaintrygowana. - Chce go gdzieś wynieść?
Maggie patrzy na mnie, jakby nie była pewna, czy żartuję, czy też mówię poważnie.
- Worki, które wkłada się do odkurzacza - wyjaśnia ostrożnie. - Te, w których zbiera się kurz. Masz je w domu?
- Och! - odpowiadam szybko. - Ach, te worki. Hm... -

rebek. Czy ma pionowy cylinder? - Patrzy na mnie wyczekująco.
Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale nie zamierzam się do tego przyznać.
- Załatwię to sama - odpowiadam służbowym tonem i zaczynam zbierać papiery. - Dziękuję, Maggie.
- Pytała jeszcze o coś. - Maggie spogląda w notatnik. -Jak się włącza twój piekarnik?
Przez chwilę nadal gromadzę papiery, zupełnie, jakbym nie usłyszała. Nie mam bladego pojęcia, jak włączyć piekarnik.
- No... po prostu przekręca się ten... no... gałkę - odpowiadam wreszcie, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko.
- To naprawdę proste...
- Joannę powiedziała, że twój piekarnik ma jakąś dziwną blokadę czasową. - Maggie marszczy brwi w zamyśleniu. -Jest elektryczny czy na gaz?
Dobra, powinnam natychmiast zakończyć tę rozmowę.
- Maggie, naprawdę muszę pilnie do kogoś zadzwonić -odpowiadam z żalem w głosie, wskazując na telefon.
- Co mam powiedzieć twojej sprzątaczce? - nie ustępuje Maggie. - Czeka na odpowiedź.
- Powiedz jej... niech już skończy na dzisiaj. Zajmę się wszystkim.
Maggie wychodzi z mojego biura, a ja sięgam po długopis i postity.
1. Dowiedzieć się, jak włączyć piekarnik?
2. Kupić wkłady do odkurzacza
Odkładam długopis i masuję czoło. Naprawdę nie mam na to czasu. Chodzi mi o worki od odkurzacza. Nie wiem nawet, jak wyglądają, a co dopiero gdzie je kupić... nagle wpadam na doskonały pomysł. Zamówię nowy odkurzacz, taki z zainstalowanym wkładem. O!
- Samantho.
- Słucham? O co chodzi? - podskakuję zaskoczona i otwieram oczy. W drzwiach stoi Guy Ashby.

Guy jest moim najlepszym przyjacielem w firmie. Ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, oliwkową cerę, ciemne oczy i zazwyczaj jest przylizany, odpicowany na błysk, jak każdy prawnik. Dzisiejszego poranka jednak jego czupryna jest nieco zmierzwiona, a pod oczami ma cienie.
- Wyluzuj - uśmiecha się. - To tylko ja. Idziesz na zebranie?
Ma najbardziej zabójczy uśmiech na świecie. To nie jest wyłącznie moja opinia, wszyscy to dostrzegli od pierwszej chwili, gdy pojawił się w biurze.
- Och... hmmm... tak, oczywiście. - Chwytam dokumenty i dodaję nieopatrznie: - Wszystko w porządku, Guy? Wyglądasz na... wymizerowanego.
Zerwał ze swoją dziewczyną. Pokłócili się o coś ostatniej nocy i odszedł od niej na dobre...
Nie. To ona wyemigrowała do Nowej Zelandii...
- Kolejna zarwana noc - odpowiada, puszczając do mnie oko. - Pieprzony Ketterman. Jest nieludzki. - Ziewa przeraźliwie, odsłaniając garnitur idealnie białych zębów, których dorobił się podczas studiów prawniczych na Harvardzie. Twierdzi, że to nie był jego wybór. Podobno nie dopuszczają cię tam do obrony, dopóki nie dostaniesz zielonego światła od chirurga plastycznego.
- To kiepsko - uśmiecham się ze współczuciem, a potem odgarniam włosy. - Chodźmy.
Znam Guya od roku, kiedy to zaczął pracować w naszym dziale jako wspólnik. Jest inteligentny, zabawny, ma takie samo podejście do pracy jak ja i po prostu jakoś tak... się polubiliśmy.
Owszem, być może w innych okolicznościach wywiązałby się między nami romans, nastąpiło jednak głupie nieporozumienie i... W każdym razie nic się między nami nie zdarzyło. Szczegóły są nieistotne. Nie rozpamiętuję tej sytuacji. Jesteśmy przyjaciółmi, i to mi odpowiada.

No dobrze, oto co się stało.
Podobno Guy zainteresował się mną od samego początku pracy w firmie, podobnie jak ja nim. Był chętny, wypytywał ludzi, czy jestem wolna. Byłam. To najważniejsza rzecz w całej tej historii: byłam wolna. Właśnie rozstałam się z Jaco-bem. Wszystko doskonale się składało. Próbuję nie myśleć zbyt często o tym, jak cudownie mogłoby się nam razem ułożyć. Niestety, Nigel MacDermot, ten głupi, bezmyślny palant powiedział Guyowi, że jestem związana ze starszym wspólnikiem z Berry'ego Forbesa.
Chociaż byłam wolna.
Moim zdaniem cały nasz system sygnalizacji jest kompletnie bezużyteczny. Powinien być bardziej przejrzysty. Ludziom należałoby zamontować takie wyświetlacze jak w toaletach. Zajęty. Wolny. Nie byłoby wtedy miejsca na dwuznaczność.
Tylko że ja nie miałam żadnego wyświetlacza, a jeżeli nawet, to był najwyraźniej nieadekwatny. Nastąpiło kilka żenujących tygodni, gdy uśmiechałam się często do Guya, a on reagował dziwacznie i próbował mnie unikać, ponieważ nie miał ochoty a) stać się przyczyną rozpadu mojego związku lub b) na trójkąt ze mną i Jacobem.
Nie wiedziałam, co się dzieje, więc ostatecznie wycofałam się z prób nawiązania bliższej znajomości. Potem usłyszałam od kogoś, że zaczął widywać się z dziewczyną o imieniu Charlotte, którą spotkał.na jakiejś weekendowej prywatce. Miesiąc czy dwa później pracowaliśmy razem nad pewnym dużym projektem, zaprzyjaźniliśmy się, i to właściwie już cała historia.
Naprawdę, wszystko jest w porządku. Daję słowo. Takie jest życie. Niektóre rzeczy się zdarzają, a inne nie. Najwyraźniej Guy nie był mi pisany. Tylko że gdzieś w głębi duszy... nadal uważałam, że był.
- Jak tam, wspólniku? - Guy strzyże brwiami, gdy zdążamy korytarzem w kierunku sali obrad.
- Nie mów tak! - syczę przerażona. Wszystko zapeszy.
- Daj spokój. Przecież wiesz, że to pewniak.

- Nic podobnego.
- Samantho, jesteś najbystrzejszą prawniczką z całego twojego rocznika. I najciężej pracującą. Ile wynosi twój współczynnik inteligencji? Sześćset?
- Zamknij się - wpatruję się w bladobłękitny dywan. Guy zaczyna się śmiać.
- Ile jest 124 razy 75?
- Dziewięć tysięcy trzysta - odpowiadam naburmuszona. To jedna z tych rzeczy, które irytują mnie w Guyu. Od dziesiątego roku życia potrafiłam przeliczać wielkie sumy w głowie. Bóg wie dlaczego i jak - po prostu umiałam. Zazwyczaj ludzie, dowiedziawszy się o tym, wykrzykują: „wspaniale!", a potem zwyczajnie zapominają. Guy natomiast ciągle do tego wraca i każe mi coś sumować, jakbym była dziwaczką z cyrku. Pewnie uważa, że to zabawne, ale mnie tym wkurza.
Pewnego dnia powiedziałam mu zły wynik dodawania. Zrobiłam to specjalnie, a potem okazało się, że akurat wtedy rzeczywiście potrzebował mojej odpowiedzi. Umieścił ją w kontrakcie i przez to umowa niemal nie doszła do skutku. Nigdy więcej nie próbowałam go w ten sposób przerobić.
- Trenowałaś już przed lustrem pozy do nowego zdjęcia na naszą witrynę? - Guy robi zamyśloną minę, opierając palec wskazujący na brodzie. - Pani Samantha Sweeting, wspólnik.
- Nawet nie zaczęłam o tym myśleć - odpowiadam, wywracając oczami z lekceważeniem.
To oczywiste kłamstwo. Zaplanowałam już nową fryzurę, specjalnie do fotografii. Zdecydowałam też, który spośród moich czarnych kostiumów włożę na tę okazję. Tym razem zamierzam się uśmiechnąć. Na zdjęciu, które mam teraz na naszej stronie internetowej, wyglądam zdecydowanie za poważnie.
- Słyszałem, że twoja prezentacja powaliła ich na kolana - mówi Guy, poważniejąc.
- Naprawdę? - Moje lekceważenie znika jak za dotknię-

ciem czarodziejskiej różdżki. Staram się nie wypaść na zbyt spragnioną informacji. - Tak słyszałeś?
- No i to twoje wystąpienie w sprawie Williama Griffi-thsa? - Guy krzyżuje ramiona i przygląda mi się z uśmiechem.
- Czy kiedykolwiek zdarzyła ci się pomyłka, Samantho?
- O, tak. Wiele razy - odpowiadam lekko. - Uwierz mi. (Na przykład wtedy, gdy nie powiedziałam ci pierwszego dnia naszego spotkania, że jestem wolna).
- Pomyłka nie jest błędem... chyba że nie można jej potem naprostować. - Kiedy wypowiada te słowa, wpatruje mi się bardzo uważnie w oczy. A może po prostu jest trochę zmęczony po nieprzespanej nocy? Nigdy nie byłam dobra w odczytywaniu mowy ciała.
Zamiast prawa powinnam studiować właśnie to. Umiejętności w odczytywaniu przekazów pozawerbalnych przydałyby mi się znacznie bardziej. Honorowy licencjat w dziedzinie nauk humanistycznych, specjalizacja w rozpoznawaniu, kiedy podobasz się mężczyźnie, a kiedy po prostu wzbudzasz w nim przyjazne uczucia.
- Gotowi? - Za naszymi plecami rozlega się ostry głos Kettermana. Oboje podskakujemy z zaskoczenia i odwracamy się, aby ujrzeć falangę poważnie ubranych mężczyzn i dwie jeszcze stateczniej odziane kobiety.
- Oczywiście. - Guy kiwa głową, a potem odwraca się i mruga do mnie.
A może powinnam zrobić jakiś kurs telepatii?

3

Dziewięć godzin później nadal siedzimy na zebraniu.
Ogromny mahoniowy stół usiany jest kserokopiami projektów kontraktu, raportami finansowymi, zabazgranymi notatnikami, plastikowymi kubkami z kawą oraz postitami. Pudełka po jedzeniu na wynos zalegają od lunchu na podłodze.

Sekretarka rozdaje nowe kopie projektu umowy. Dwoje prawników z przeciwnej drużyny wstało od stołu i teraz mamroczą coś do siebie w „saperce". Każda sala obrad jest zaopatrzona w jeden z takich wyciszonych pokojów na wypadek, gdyby ktoś poczuł się zbyt „podminowany".
Atmosfera napięcia w sali obrad nieco opadła. Nastąpiło coś w rodzaju odpływu. Wszyscy nadal są czerwoni ze zdenerwowania, ale przestaliśmy już na siebie krzyczeć. Klienci wyszli. Osiągnęli porozumienie koło godziny czwartej, uścisnęli sobie dłonie i odpłynęli w swych lśniących limuzynach.
Teraz wszystko jest w naszych rękach. To my, prawnicy, musimy zrozumieć, co takiego powiedzieli i co przez to mieli na myśli (jeżeli sądzicie, że to jedno i to samo, możecie darować sobie studia prawnicze), a wreszcie przekształcić to w projekt umowy, która powinna być gotowa na jutrzejsze spotkanie.
Na którym prawdopodobnie znowu zaczną krzyczeć.
Pocieram zmęczoną twarz i pociągam łyk cappuccino, zanim zdaję sobie sprawę, że wzięłam zły kubek z zimną kawą sprzed godziny. Łeee. Łeeeeeeeeeee! Przełykam obrzydliwy napój z grymasem. Nie mogę przecież wypluć go na stół.
Światła jarzeniówek rażą mnie w oczy. Czuję się kompletnie wyprana z sił. W tej sprawie zajmuję się stroną finansową, dlatego też do mnie należało wynegocjowanie pożyczki dla naszego klienta w banku PGNI. To ja uratowałam sytuację, gdy w którejś z filii kompanii pojawiła się nagle czarna dziura długu. To ja spędziłam dziś po południu niemal trzy godziny, dyskutując o zastosowaniu pewnego głupiego wyrażenia w klauzuli 29(d). Chodziło o sformułowanie „usilne starania". Przeciwna drużyna chciała to zmienić na „wysiłki w granicach rozsądku".
Wygraliśmy, ale nie czułam triumfu. Wiedziałam tylko, że jest dziewiętnaście po siódmej i dokładnie za jedenaście minut powinnam się znaleźć po drugiej stronie miasta, na kolacji z matką i bratem Danielem.
Muszę to odwołać. Moją własną kolację urodzinową.

Kiedy to myślę, słyszę w głowie rozwścieczony głos mojej starej przyjaciółki z czasów szkolnych, Frei: „Nie mogą cię zatrzymać w pracy w dniu twoich urodzin!".
Spotkanie z nią, dwa tygodnie temu, także musiałam odwołać. Miałyśmy się wybrać do klubu z kabaretem. Tak się jednak złożyło, że pewna umowa miała być podpisana następnego dnia rano i naprawdę nie miałam wyjścia.
Freya nie rozumie jednego: najważniejsze są terminy. Koniec i kropka. Wcześniejsze zobowiązania, urodziny, znajomi - to wszystko się nie liczy. Co tydzień ktoś odwołuje wakacje. Naprzeciwko mnie przy stole siedzi Clive Sutherland z działu rachunkowości. Dzisiaj rano jego żona urodziła bliźniaki, a w porze lunchu był już z powrotem w pracy.
- W porządku, ludzie. - Głos Kettermana stawia wszystkich na baczność.
To jedyny człowiek w tym pokoju, który nie ma czerwonej twarzy, nie jest zmęczony ani nawet znużony. Wygląda jak robot - wypolerowany i lśniący od samego rana. Kiedy się złości, nie rzuca się, nie rwie włosów z głowy. Emanuje cichą, stalową furią.
- Musimy odroczyć posiedzenie.
Co takiego? Spoglądam na niego zdziwiona. Inni też. Niemal widzę kondensującą się w powietrzu nadzieję. Jesteśmy niczym uczniowie podstawówki, wyczuwający zawirowanie podczas klasówki z matematyki, ale bojący się poruszyć, żeby przypadkiem nie kazano im zostać za karę po lekcjach.
- Dopóki nie dostaniemy dokumentacji z Fallonsa, nie możemy nic zrobić. Macie tu być jutro rano o dziewiątej.
Wychodzi. Wypuszczam powietrze z płuc, gdy drzwi zamykają się za nim. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że wstrzymałam oddech.
Clive Sutherland już ruszył ku wyjściu, inni rozmawiają przez telefony komórkowe o kolacji, filmach, anulują odwołanie wcześniejszych ustaleń. Panuje radosny nastrój. Sama mam ochotę wykrzyknąć „Juppi jaj!", ale to byłoby poniżej poziomu wspólnika.

Zbieram papiery, wrzucam je do swojej teczki i odsuwam krzesło.
- Samantho, byłbym zapomniał - to Guy. - Mam coś dla ciebie.
Wręcza mi biały pakunek, ja zaś czuję głupi przypływ radości. Prezent urodzinowy! Jest jedynym człowiekiem w całej firmie, który pamiętał o moich urodzinach.
- Guy, naprawdę nie powinieneś! - promienieję, rozrywając tekturowe opakowanie.
- Nie ma sprawy - odpowiada Guy, wyraźnie zadowolony z siebie.
- Mimo wszystko - śmieję się. - Myślałam, że...
Przerywam gwałtownie, widząc firmowe DVD w laminowanym pudełku. Podsumowanie prezentacji partnerów europejskich, w którym uczestniczyliśmy jakiś czas temu. Wspomniałam wtedy, że chciałabym dostać kopię.
Obracam pudełko w rękach, upewniając się jednocześnie, że zanim spojrzę na Guya, mój uśmiech będzie całkowicie radosny. Oczywiście, że nie pamiętał o urodzinach. Dlaczego w ogóle tak pomyślałam? Pewnie nawet nie wiedział, że to dziś.
- To... wspaniale - mówię wreszcie. - Dzięki!
- Nie ma za co. - Chwyta swoją teczkę. - Miłego wieczoru. Masz coś w planach?
Nie mogę mu powiedzieć, że dziś są moje urodziny. Pomyśli... że...
- Tylko małe spotkanie rodzinne - uśmiecham się. - Do zobaczenia jutro.
Tak czy owak, najważniejsze, że udało mi się wyrwać na czas. Nie muszę odwoływać kolacji i nawet nie za bardzo się spóźnię!
Podczas gdy taksówka próbuje przedrzeć się przez korki na Cheapside, ja bebeszę torebkę w poszukiwaniu kosmetyczki z nowym zestawem do makijażu. Jakiś czas temu w porze lunchu wstąpiłam do sklepu Selfridges, nagle bowiem

zdałam sobie sprawę, że używam tej samej szarej kredki do oczu oraz tuszu, który kupiłam sześć lat temu z okazji wręczenia dyplomów. Nie miałam czasu na demonstrację makijażu, ale poprosiłam dziewczynę ze stoiska kosmetycznego, żeby przygotowała mi wszystko, w co jej zdaniem powinnam się zaopatrzyć.
Nie słuchałam jej zbyt uważnie, gdy objaśniała, do czego służą poszczególne mikstury, ponieważ rozmawiałam jednocześnie z Elldridge'em na temat kontraktu ukraińskiego. Pamiętam jedynie jej nalegania, że powinnam używać specyfiku o nazwie „puder brązujący". Powiedziała, że moja skóra nabierze od tego blasku i przestanę wyglądać tak potwornie...
Tu przerwała na chwilę.
- Blado - dokończyła wreszcie. - Wygląda pani trochę... blado.
Wyjmuję puderniczkę, wielki pędzel i zaczynam pokrywać kompaktem policzki oraz czoło. W pewnym momencie spoglądam w swoje odbicie w lustrze i prycham śmiechem. Moja twarz nabrała idiotycznego złotawego, lśniącego odcienia. Wyglądam jak kretynka.
Kogo próbuję oszukać? Prawniczka z City, która nie była na wakacjach od dwóch lat, nie miewa opalenizny ani nawet złotawego odcienia skóry. Równie dobrze mogę wpleść we włosy paciorki i udawać, że przed chwilą przyleciałam z Barbadosu.
Przyglądam się swojemu odbiciu przez kilka sekund, a potem wyjmuję z torebki chusteczkę do demakijażu i ścieram puder brązujący, aż robię się znowu biała, z lekkim odcieniem szarego. Powrót do normalności. Sprzedawczyni wspominała coś również o cieniach pod oczami. Problem w tym, że gdybym ich nie miała, z pewnością wyrzuciliby mnie z pracy.
Mam na sobie czarny kostium, jak zwykle. Moja mama kupiła mi pięć takich kompletów na dwudzieste pierwsze urodziny i od tego czasu nigdy nie zmieniłam swoich przyzwyczajeń. Jedynym kolorowym elementem mojej garderoby jest

czerwona torebka. To również prezent od mamy, sprzed dwóch lat. Tak naprawdę oryginalna torebka była czarna. Z jakiegoś jednak powodu - może tego dnia świeciło słońce, a może zamknęłam jakiś fantastyczny kontrakt, nie pamiętam, ale pod wpływem impulsu wymieniłam ją na czerwoną. Nie jestem pewna, czy mama kiedykolwiek mi to wybaczyła.
Zdejmuję gumkę z włosów, przeczesuję je szybko i znów spinam w kok. Włosy nigdy nie były dla mnie powodem do dumy. Są średniej długości, lekko kręcone i mysiego koloru. A przynajmniej tak było ostatnim razem, kiedy na nie spojrzałam. Bo przeważnie noszę je upięte w ciasny kok.
- Miły wieczór w planach? - pyta taksówkarz, zerkając na mnie w lusterku.
- Dzisiaj są moje urodziny.
- Wszystkiego najlepszego! - uśmiecha się do mnie promiennie. - W takim razie szykuje się zabawa, tak? Noc pełna szaleństw.
- Hm... coś w tym rodzaju.
Moja rodzina i szalone prywatki niezupełnie do siebie pasują. Niemniej, dobrze jest spotkać się od czasu do czasu, pogadać, nadrobić zaległości. Nie zdarza się to nam zbyt często.
Nie znaczy to, że nie chcemy się widywać. Po prostu wszyscy jesteśmy ludźmi zajętymi, mamy swoje kariery. Moja matka jest adwokatem, i to bardzo znanym. Dziesięć lat temu założyła własną kancelarię i w zeszłym roku wygrała nagrodę organizacji „Women in Law". Mój brat Daniel ma trzydzieści sześć lat i jest szefem działu inwestycji w Whit-tonsie. Ostatnio został oceniony jako jeden z najlepszych przedsiębiorców w City.
Jest jeszcze Peter, drugi brat, ale jak już wspominałam, ten przeszedł załamanie nerwowe. Teraz mieszka we Francji, uczy angielskiego w lokalnej szkole i nie ma nawet automatycznej sekretarki. Oczywiście muszę jeszcze wspomnieć o tacie, który jest w południowej Afryce ze swoją trzecią żoną. Od trzeciego roku życia prawie go nie widuję, ale nie przejmuję się tym. Mama ma energii rodzicielskiej za dwoje.

Taksówka przyspiesza na Strand. Spoglądam na zegarek. Siódma czterdzieści dwie. Zaczynam czuć podniecenie. Kiedy to widziałam się z mamą ostatni raz? Chyba... na Gwiazdkę, sześć miesięcy temu.
Zatrzymujemy się przed restauracją. Płacę taksówkarzowi, wręczając mu suty napiwek.
- Doskonałej zabawy, złotko! - mówi. - I jeszcze raz wszystkiego najlepszego!
- Dziękuję!
Wbiegam do restauracji, rozglądając się za mamą i Danielem, ale nie widzę żadnego z nich.
- Dobry wieczór - mówię do maître d'. - Jestem umówiona na spotkanie z panią Tennyson.
To moja mama. Należy do kobiet, które nie uznają przybierania nazwiska męża. Nie pochwala również pań, które po wyjściu za mąż zostają w domu, gotują, piorą, sprzątają lub uczą się pisania na maszynie. Uważa, że wszystkie kobiety powinny zarabiać więcej niż ich mężowie, ponieważ są z natury bystrzejsze.
Maître d' prowadzi mnie do pustego stolika w rogu. Opadam na zamszowe siedzenie.
- Hej - uśmiecham się do kelnera, który pojawia się przy mnie. - Poproszę o buck's fizz, korkociąg i martini. I niech pan przyniesie drinki, dopiero kiedy pojawią się pozostali goście.
Mama lubuje się w korkociągach, a choć nie mam pojęcia, co lubi obecnie Daniel, na pewno nie odmówi wypicia martini.
Kelner kiwa głową i znika. Rozwijam serwetkę i przyglądam się innym osobom w restauracji. Maxim to naprawdę niezłe miejsce. Podłogi z drzewa wenge, stalowe stoliki i nastrojowe oświetlenie. To bardzo popularna restauracja wśród prawników. Mama ma tutaj otwarty rachunek. Kilka stolików dalej siedzi dwóch wspólników z Linklaters, a przy barze dostrzegam jednego z najbardziej renomowanych londyńskich prawników, specjalizujących się w sprawach o oszczerstwa.

Hałas rozmów, odgłosy wyskakujących z butelek korków i stukanie widelców o talerze jest niczym ryk wzburzonego morza. Od czasu do czasu przez salę przebiega fala śmiechu, sprawiająca, że wszystkie głowy odwracają się nagle w kierunku jej źródła.
Przebiegam wzrokiem kartę dań i nagle czuję, że umieram z głodu. Nie jadłam porządnego posiłku od tygodnia, a tutaj wszystko wygląda tak apetycznie. Glazurowane foie gras. Jagnięcina z humusem na ostro. Na tablicy z potrawami dnia widnieje suflet czekoladowo-miętowy i dwa sorbety domowej roboty. Mam tylko nadzieję, że mama będzie mogła zostać do deseru. Ma dziwny zwyczaj pojawiania się i wychodzenia w połowie posiłku. Słyszałam z jej ust wystarczająco wiele razy, że połowa obiadu każdemu wystarczy. Problem w tym, że nigdy nie była specjalnie zainteresowana jedzeniem, podobnie jak osobami choć trochę mniej inteligentnymi niż ona. Co oczywiście wyklucza z jej towarzystwa większość ludzi. Daniel na pewno zostanie. Kiedy mój brat otworzy butelkę wina, czuje się w obowiązku dopić ją do końca.
- Panna Sweeting? - Spoglądam w górę na podchodzącego do stolika maître d' z telefonem bezprzewodowym w dłoni. - Mam dla pani wiadomość. Pani matkę coś zatrzymało w kancelarii.
- Ach - próbuję ukryć zawód. Nie powinnam narzekać. Sama robiłam jej to samo dziesiątki razy. - Zatem... o której tu będzie?
Maître d' spogląda na mnie w milczeniu. Wydaje mi się, że w jego oczach dostrzegam błysk współczucia.
- Mam ją na linii. Jej sekretarka połączy panią z matką... halo? - mówi do słuchawki. - Przekazuję telefon córce pani Tennyson.
- Samantho? - słyszę w uchu żwawy, precyzyjny głos. -Kochanie, obawiam się, że nie mogę dziś przyjść na obiad.
- Nie możesz przyjść w ogóle? -

- Mam zbyt wiele roboty. To bardzo duża sprawa, jutro jest posiedzenie w sądzie... nie, podaj mi inną teczkę - rzuca do kogoś. - Takie rzeczy się zdarzają - podejmuje rozmowę ze mną. - Baw się dobrze z Danielem. Och, i wszystkiego najlepszego. Przelałam na twoje konto trzysta funtów.
- Ach tak - odpowiadam po chwili milczenia. - Dziękuję.
- Masz już jakieś wiadomości na temat awansu?
- Jeszcze nie. - Słyszę, jak stuka długopisem o telefon.
- Ile godzin wypracowałaś w tym miesiącu?
- Hmmm... prawdopodobnie około dwustu...
- Czy to wystarczy? Samantho, nie chcesz chyba, żeby cię pominęli przy awansie. Pojawią się nowi prawnicy i ktoś taki jak ty może bardzo szybko stać się przeżytkiem.
- Dwieście godzin to całkiem sporo - próbuję wyjaśnić. -W porównaniu z innymi...
- Musisz być lepsza niż inni! - Jej ostry jak nóż głos ucina moją wypowiedź, jakbyśmy były na sali sądowej. - Nie możesz sobie pozwolić na to, żeby twoje wyniki były choć odrobinę gorsze od doskonałych. To najważniejszy moment... nie tę teczkę - rzuca znów niecierpliwie. - Zaczekaj chwilę, Samantho...
- Samantha?
Spoglądam zdezorientowana na uśmiechającą się szeroko dziewczynę w błękitnym kostiumie, która podchodzi do mojego stolika. W ręku trzyma koszyk z prezentami, przyozdobiony kokardą.
- Jestem Lorraine, asystentka Daniela - mówi dźwięcznym, nagle znajomym głosem. - Obawiam się, że nie będzie mógł przyjść dziś wieczorem, ale przyniosłam ci mały prezencik od niego. Poza tym chciał się przywitać - wyciąga w moją stronę komórkę. Kompletnie zdezorientowana, biorę ją i przykładam do drugiego ucha.
- Cześć, Samantho - mówi Daniel. - Posłuchaj, słońce, zamykamy duży kontrakt. Nie mogę przyjść.
Czuję uderzenie nagłego niepokoju. Żadne z nich nie zamierza się pojawić?

- Naprawdę mi przykro, kochanie. To jedna z tych rzeczy, rozumiesz. Niemniej baw się dobrze z mamą.
Przełykam kilka razy. Nie mogę się przyznać, że ona też wystawiła mnie do wiatru. Nie mogę mu powiedzieć, że siedzę tutaj całkiem sama.
- OK! - jakoś zdobywam się na radosny ton. - Masz to jak w banku!
- Przelałem trochę pieniędzy na twoje konto. Kup sobie coś fajnego. Wysłałem też Lorraine z czekoladkami. Sam je wybierałem - dodaje dumnie.
Zaglądam do koszyka. To nie czekoladki, tylko mydło.
- To naprawdę miło z twojej strony, Danielu - udaje mi się wykrztusić. - Bardzo ci dziękuję.
„Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam..." śpiewa nagle chór głosów za moimi plecami. Odwracam się i widzę kelnera z koktajlem, z którego wystaje sztuczny ogień. Na stalowej tacy wypisane jest karmelem „Wszystkiego najlepszego, Sa-mantho". Obok leży miniaturowe menu-podarunek, podpisane przez szefa kuchni. Za moim kelnerem podążają kolejni trzej, śpiewając zgodnym chórem. Po chwili Lorraine również się do nich dołącza. „Sto lat, sto lat..."
Kelner stawia tacę na stole przede mną, ale obie ręce mam zajęte telefonami.
- Potrzymam to. - Lorraine odbiera mi słuchawkę, przez którą rozmawiałam z Danielem. Przykładają do ucha i uśmiecha się do mnie promiennie: - On śpiewa! - mówi, wskazując na telefon.
- Samantho? - odzywa się w moim uchu mama. - Jesteś tam jeszcze?
- Ja tylko... śpiewają mi *Sto lat...*
Odkładam telefon. Nie zastanawiając się zbyt długo, Lorraine również odkłada komórkę na blat. Oto moje rodzinne przyjęcie urodzinowe. Dwa telefony komórkowe.
Widzę dookoła siebie ludzi, którzy przyłączają się do chóru. Ich uśmiechy bledną nieco, gdy widzą, że siedzę tu cał-

kiem sama. Na twarzach obsługi dostrzegam cień współczucia. Staram się trzymać fason, ale policzki płoną mi ze wstydu. Nagle pojawia się kelner, u którego zamawiałam napoje na samym początku. Na tacy niesie trzy drinki. Spogląda zdezorientowany na pusty stół.
- Dla kogo ma być martini?
- Teoretycznie dla mojego brata...
- Czyli Nokia - podpowiada usłużnie Lorraine, wskazując na komórkę.
Po chwili milczenia, z beznamiętnym, profesjonalnym wyrazem twarzy kelner stawia kieliszek na podkładce obok telefonu. Chce mi się śmiać, ale jednocześnie czuję szczypanie w oczach i nie wiem, jak by się to skończyło, gdybym sobie pofolgowała. Kelner umieszcza drugi drink na stoliku, skłania głowę i odchodzi. Zapada niewygodna cisza.
- No dobrze... - Lorraine chwyta telefon Daniela i wrzuca do torebki. - Wszystkiego najlepszego i baw się dobrze! Stukając obcasami, wychodzi z restauracji. Podnoszę do ucha drugi telefon, żeby pożegnać się z mamą, ale ona już odłożyła słuchawkę. Śpiewający kelnerzy odpłynęli gdzieś i zostałam sam na sam z koszykiem pełnym mydła.
- Zechce pani zamówić coś do jedzenia? - Przy moim krześle pojawia się maître d'. - Polecam risotto i może jakąś smaczną sałatkę - mówi uprzejmie. - Do tego kieliszek wina?
- Właściwie - zmuszam się do uśmiechu - poproszę tylko o rachunek. Dziękuję.
Nieważne.
Prawda jest taka, że nigdy nie udałoby się nam spotkać razem przy obiedzie. To tylko fantazja. Nie powinniśmy nawet próbować. Wszyscy jesteśmy zajęci, mamy swoje kariery. Tak już po prostu jest z moją rodziną.
Stoję przed restauracją, do której nagle podjeżdża taksówka. Szybko wyciągam rękę, aby ją zatrzymać.
Tylne drzwi otwierają się i na zewnątrz pojawia się roz-

klapciana, ozdobiona paciorkami japonka, a za nią postrzępione dżinsy, haftowany kaftan, znajoma blond czupryna i...
- Proszę tu zaczekać - instruuje taksówkarza przybyła. -Będę z powrotem za pięć minut.
- Freya? - pytam z niedowierzaniem.
Dziewczyna odwraca się i jej oczy rozszerzają się ze zdumienia.
- Samantho! Co ty robisz przed wejściem?
- To ja pytam, co ty tutaj robisz? - odparowuję. - Myślałam, że wyjeżdżasz do Indii.
- Jestem w drodze! Spotykam się z Lordem na lotnisku za... - spogląda na zegarek - jakieś dziesięć minut.
Robi minę winowajczyni, a ja nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Znamy się z Freyą od siódmego roku życia, kiedy to obie zaczęłyśmy naukę w szkole z pensjonatem. Pierwszej nocy powiedziała mi, że jej rodzice to cyrkowcy, że umie jeździć na słoniu i chodzić po linie. Wierzyłam jej przez cały semestr. Wysłuchiwałam historii o jej egzotycznym życiu cyrkowym, dopóki nie przyjechali po nią rodzice, którzy okazali się parą księgowych ze Staines. Nawet wtedy Freya się nie speszyła. Powiedziała tylko, że jej rodzice byli kiedyś cyrkowcami.
Freya ma jasnoniebieskie oczy i cerę usianą piegami. Jest wiecznie opalona przez ciągłe podróże. Widzę, że łuszczy jej się skóra na nosie, a poza tym nabawiła się nowego kolczyka w samym czubku ucha. Ma najbielsze i najbardziej krzywe zęby, jakie widziałam w życiu, a kiedy się śmieje, unosi się jej kącik górnej wargi.
- Jestem tutaj, żeby wkręcić się na twoje przyjęcie urodzinowe. - Freya spogląda podejrzliwie na restaurację. - Myślałam, że się spóźnię. Co się stało?
- Ja... - waham się. - Problem w tym, że... mama i Daniel...
- Wyszli wcześniej? - Spogląda na mnie i jej wyraz twarzy zmienia się w maskę oburzenia. - Nie pojawili się w ogóle? Jezu Chryste, co za gnojki! Nie mogliby chociaż raz po-

traktować cię jak coś ważniejszego niż te ich pieprzone... -przerywa, oddychając ciężko. - Przepraszam. Wiem, to twoja rodzina.
Freya i moja mama niezupełnie się dogadują.
- Nie szkodzi - mówię z żałosnym wzruszeniem ramion. -Naprawdę. I tak mam jeszcze kupę roboty.
- Roboty? - wpatruje się we mnie. - Teraz? Mówisz poważnie?! Czy to się nigdy nie skończy?
- Jesteśmy bardzo zajęci w firmie - bronię się. - To okres przejściowy.
- To zawsze jest okres przejściowy! Non stop macie jakiś kryzys. Każdego roku musisz odłożyć plany dobrej zabawy...
- To nieprawda.
- Co rok mówisz mi, że następnym razem będzie lepiej, ale nigdy się tak nie dzieje! - Spogląda na mnie szczerze zmartwiona. - Samantho, co się dzieje z twoim życiem?
Wpatruję się w nią przez chwilę. Obok nas, z rykiem silników przejeżdżają samochody. Nie jestem pewna, co mam odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, nie pamiętam już, jak wyglądało kiedyś moje życie.
- Chcę być wspólnikiem w Carter Spink - odpowiadam wreszcie. - To moje marzenie, które wymaga poświęceń z mojej strony.
- A kiedy już dostaniesz awans? - nie ustępuje Freya. -Czy wtedy będzie lepiej?
Wzruszam ramionami, unikając odpowiedzi. Nie zastanawiałam się jeszcze, co będzie dalej. Awans na wspólnika jest niczym sen, gwiazdka na niebie.
- Na Boga, masz dwadzieścia dziewięć lat! - Freya zaczyna wymachiwać kościstą, opierścienioną dłonią. - Powinnaś zrobić coś spontanicznego w swoim życiu, przynajmniej od czasu do czasu. Powinnaś zwiedzać świat!- Chwyta mnie za ramię. - Słuchaj, jedź ze mną do Indii! Teraz!
- Co takiego? - wybucham śmiechem. - Nie mogę tego zrobić!
- Weź sobie miesiąc urlopu. Dlaczego nie? Przecież cię

nie zwolnią. - Chwyta mnie za ramię. - Pojedź ze mną na lotnisko. Kupimy ci bilet i...
- Freya, jesteś szalona. Naprawdę. - Ściskam jej ramię. -Kocham cię, ale jesteś wariatką.
Powoli jej uścisk się rozluźnia.
- Ja też cię kocham - mówi. - Jesteś szalona, ale kocham cię.
Jej komórka dzwoni, ale Freya ją ignoruje. Przetrząsa haftowaną torbę, aż wreszcie wyciąga malutką, misternie wykonaną srebrną buteleczkę perfum, niedbale zapakowaną w kawałek purpurowego jedwabiu.
- Proszę - wręcza mi.
- Rety - obracam prezent w dłoni. - To jest piękne.
- Wiedziałam, że ci się spodoba. - Wyciąga komórkę z kieszeni. - Hej! - rzuca niecierpliwie do słuchawki. - Posłuchaj, Lord, zaraz tam będę, dobra?
Jej mężem jest Lord Andrew Edgerly. Freya zaczęła przezywać go „lord" dla kawału i jakoś już tak zostało. Poznali się pięć lat temu w kibucu i pobrali w Las Vegas. Technicznie rzecz biorąc, Freya jest teraz lady Edgerly, ale nikomu nie chce się to pomieścić w głowie, a zwłaszcza rodzinie Edgerly.
- Dzięki za to, że wpadłaś. I za prezent - ściskam ją. -Bawcie się dobrze w Indiach.
- Będziemy. - Wsiada do taksówki. - Jeżeli zechcesz przyjechać, daj mi znać. Wymyśl jakąś nagłą sprawę rodzinną... cokolwiek. Podaj im mój numer telefonu. Będę cię kryła, cokolwiek wymyślisz.
- Jedź - mówię ze śmiechem i popycham ją lekko. - Jedź do Indii.
Drzwi samochodu się zatrzaskują. Freya wygląda przez okno.
- Sam... powodzenia jutro. - Chwyta mnie za rękę i spogląda w oczy, nagle poważna. - Jeżeli rzeczywiście tego właśnie chcesz, mam nadzieję, że to dostaniesz.
- Chcę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. - Spoglądam na moją starą przyjaciółkę i cała wykalkulowana non-

szalancja znika. - Freya... nie potrafię ci nawet opisać, jak bardzo tego pragnę.
- Będziesz to miała, jestem pewna. - Całuje moją rękę, a potem macha na pożegnanie. - Tylko nie wracaj dzisiaj do biura. Obiecaj mi! - krzyczy na cały głos, kiedy samochód włącza się do ruchu.
- Dobrze! Obiecuję! - odpowiadam. Czekam, aż zniknie, a potem przywołuję taksówkę.
- Do firmy Carter Spink proszę - rzucam do kierowcy. Obiecywałam ze skrzyżowanymi palcami. Oczywiście, że zamierzam wrócić do biura.
Przyjeżdżam do domu o jedenastej, wyczerpana fizycznie i umysłowo. Przedarłam się zaledwie przez połowę dokumentacji Kettermana. Cholerny gnój, myślę, otwierając drzwi wejściowe przedwojennej kamienicy, w której mieszkam. Cholerny Ketterman. Cholerny... cholerny...
- Dobry wieczór, Samantho.
Podskakuję prawie kilometr w górę. Ketterman. Stoi przed windą, z wyładowaną teczką. Zastygam przerażona. Co on tu robi? Czy zwariowałam i zaczynam mieć halucynacje z najważniejszymi udziałowcami firmy w roli głównej?
- Ktoś mi powiedział, że tu mieszkasz - spogląda na mnie zza okularów. - Kupiłem mieszkanie numer 32, jako pied-a-terre. Będziemy sąsiadami w ciągu tygodnia.
Nie. Proszę, niech to się nie dzieje. On tu mieszka?
- Hmm... witam w naszej kamienicy! - mówię, ze wszystkich sił próbując nadać głosowi odcień szczerości. Drzwi od windy otwierają się i oboje wchodzimy do środka.
Numer 32. Zaledwie dwa piętra nade mną.
Czuję się tak, jakby wprowadził się tutaj dyrektor szkoły. Jakim cudem mam się teraz czuć odprężona? Dlaczego musiał wybrać właśnie ten budynek?
Wjeżdżamy na górę w milczeniu, ja zaś czuję się coraz bardziej nieswojo. Czy powinnam zacząć niezobowiązującą konwersację? Lekką, sąsiedzką pogawędkę?

- Robię postępy z dokumentami, które mi dałeś - mówię wreszcie.
- To dobrze - kiwa głową.
Tyle w temacie przyjacielskiej pogawędki. Powinnam od razu zacząć z grubej rury.
Czy zostanę jutro wspólnikiem?
- Cóż... dobranoc - rzucam niepewnie, wychodząc z windy.
- Dobranoc, Samantho.
Kiedy zamykają się za mną drzwi, z moich ust wydobywa się bezgłośny krzyk. Nie mogę mieszkać w tym samym budynku, co Ketterman! Będę się musiała przeprowadzić. Zamierzam właśnie umieścić klucz w zamku, kiedy uchylają się drzwi sąsiedniego mieszkania.
- Samantho?
To już koniec! Zupełnie jakbym nie miała wystarczająco wielu wrażeń tego wieczora. Pani Farley, moja sąsiadka, ma siwe włosy, trzy malutkie pieski i niezaspokojoną potrzebę dowiadywania się szczegółów o moim życiu. Jest jednak bardzo miła i odbiera moją pocztę oraz dostawy, więc po prostu pozwalam jej wściubiać nos w moje sprawy.
- Znowu przyszło coś do ciebie, złociutka - mówi. -Z pralni chemicznej. Zaraz przyniosę.
- Dziękuję - odpowiadam z ulgą, otwierając drzwi. Na wycieraczce leży kupka reklamówek. Odgarniam je na bok, na większą stertę, która wyrasta pod ścianą korytarza. W wolnej chwili zamierzam wynieść wszystko do recyklingu. Wpisałam to nawet na listę rzeczy do zrobienia.
- Znowu wróciłaś późno do domu. - Pani Farley pojawia się u mojego boku, dzierżąc w ręku bluzki opakowane w plastikowe torby. - Wy, dziewczęta, wszystkie jesteście takie zajęte! - cmoka. - Od tygodnia nie wróciłaś do domu przed jedenastą!
To właśnie miałam na myśli, mówiąc „nienasycona potrzeba dowiadywania się szczegółów o moim życiu".
Prawdopodobnie zapisuje wszystko w notatniku.

- Bardzo dziękuję - próbuję odebrać jej z rąk rzeczy z pralni, ale ku mojemu przerażeniu, pani Farley przeciska się obok mnie i wchodzi, krzycząc:
- Nie, pomogę ci je wnieść do środka!
- Hmm... przepraszam za... eee... za ten bałagan - mówię, gdy przechodzi koło kupki zdjęć ułożonej pod ścianą. - Zamierzam je w końcu powiesić... i pozbyć się tych pudełek...
Pospiesznie kieruję ją w stronę kuchni, z dala od sterty kart restauracyjnych z daniami na wynos, leżących na stoliku w przedpokoju. Natychmiast żałuję swojej decyzji. Na stole w kuchni zastaję pełno starych puszek i paczek, wraz z notką od mojej nowej sprzątaczki:
DROGA SAMANTHO
TWOJE JEDZENIE JEST PRZEDATOWANE. MAM JE WYRZUCIĆ?
CZY MASZ W DOMU JAKIEKOLWIEK ŚRODKI CZYSZCZĄCE, NP. BIELINKĘ? NIE MOGĘ ICH ZNALEŹĆ.
CZY KOLEKCJONUJESZ KARTONY PO CHIŃSZCZYŹNIE NA WYNOS? NA WSZELKI WYPADEK ICH NIE WYRZUCAŁAM.
TWOJA NOWA SPRZĄTACZKA JOANNĘ
Widzę, że pani Farley czyta list i niemal słyszę obracające się w jej głowie trybiki. W zeszłym miesiącu urządziła mi mały wykład na temat tego, że nie mam naczyń do gotowania na wolnym ogniu. Mogłabym wtedy po prostu nastawić rano kurczaka z warzywami. Przecież pokrojenie marchewki zajmuje pięć minut, prawda?
Nie mam pojęcia.
- Eee... dziękuję pani. - Pospiesznie odbieram pranie od pani Farley, rzucam je na płytę kuchenki, a potem odprowadzam staruszkę do drzwi wyjściowych, cały czas czując na sobie jej świdrujące, wszędobylskie spojrzenie. - To naprawdę miło z pani strony.
- Żaden kłopot - przeszywa mnie wzrokiem. - Nie chcę

się wtrącać, złociutka, ale bawełniane bluzki mogłabyś prać w domu. W ten sposób zaoszczędzisz sporo pieniędzy.
Spoglądam na nią w osłupieniu. Gdybym się na to zdecydowała, musiałabym je również wysuszyć. A potem wyprasować.
- Poza tym zauważyłam, że jednej z nich brakuje guzika -dodaje. - Tej w różowo-białe paski.
- O, naprawdę - mówię. - Tak... nic nie szkodzi. Odeślę ją z reklamacją. Nie policzą mi za to.
- Przecież możesz przyszyć ten guzik sama, złociutka! -Pani Farley wygląda na poruszoną. - Zajmie ci to nie więcej niż dwie minuty. Chyba masz zapasowe guziki w przyborniku do szycia?
W czym?
- Nie mam przybornika - wyjaśniam uprzejmie. - Zazwyczaj nie zajmuję się krawiectwem.
- Ale zwykły guzik przecież umiesz przyszyć! - wykrzykuje.
- Nie - odpowiadam, nieco urażona jej wyrazem twarzy. - Nic nie szkodzi. Odeślę tę bluzkę do pralni.
Pani Farley wygląda na kompletnie zdegustowaną.
- Naprawdę nie potrafisz przyszyć guzika? Matka cię tego nie nauczyła?
Na myśl o mojej rodzicielce przyszywającej guzik parskam śmiechem.
- No... nie. Nie nauczyła mnie.
- W moich czasach dobrze wychowane dziewczęta uczyło się przyszywać guziki, cerować skarpetki i wybielać kołnierzyki - mówi pani Farley, kręcąc głową.
Nie mam pojęcia, o czym opowiada. Wybielanie kołnierzyków? To jakaś bzdura.
- W moich czasach było inaczej - odpowiadam uprzejmie. - Uczono nas przygotowania się do egzaminów, żebyśmy mogły zrobić karierę. Uczono nas mieć swoje zdanie, używać mózgów - nie mogę się powstrzymać, by nie dodać tego ostatniego.

Pani Farley mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.
- Taka szkoda - mówi wreszcie i klepie mnie przyjaźnie po ramieniu.
Usiłuję zachować spokój, ale napięcie całego dnia przeradza się powoli w gniew. Mam dziś nieistniejące urodziny, jestem sterana i potwornie głodna... a ta starucha mówi mi, że powinnam umieć przyszywać guziki?
- Nie szkoda - odpowiadam sucho.
- W porządku, złociutka - mówi pani Farley uspokajającym tonem i rusza korytarzem do swojego mieszkania. Nie wiedzieć czemu, prowokuje mnie to jeszcze bardziej.
- Niby dlaczego szkoda? - pytam głośno dość oschłym tonem, stając w drzwiach. - Dlaczego? Dobrze, może i nie potrafię przyszyć guzika, ale umiem zmodyfikować korporacyjną umowę finansową i zaoszczędzić klientowi trzydzieści milionów funtów. To właśnie potrafię robić.
Pani Farley przygląda mi się z progu swojego mieszkania. Wygląda na jeszcze pełniejszą współczucia niż przed chwilą.
- Taka szkoda - powtarza, jakby nie usłyszała tego, co mówię. - Dobranoc, złociutka.
Zamyka drzwi, a ja wydaję z siebie odgłos rozpaczy.
- Słyszała pani kiedyś o feminizmie? - krzyczę. Nie odpowiada.
Ze złością wycofuję się do swojego mieszkania, zamykam drzwi i chwytam telefon. Wciskam klawisz zaprogramowany na połączenie z pizzerią i zamawiam to, co zwykle: pieczoną na ogniu z drewna pizzę capricciosa i paczkę chipsów Kettle. Nalewam sobie kieliszek wina z kartonu, który stoi w lodówce, a potem wracam do pokoju i włączam telewizję.
Przybornik! Też coś! Co jeszcze powinnam jej zdaniem mieć w domu? Druty? Krosno?
Opadam na sofę, trzymając w ręku pilota. Przerzucam kanały telewizyjne, przyglądając się nieuważnie migającym obrazom. Wiadomości... francuski film... jakiś film przyrodniczy...
Zaraz. Przerywam wędrówkę po programach, odkładam pilota i moszczę się wygodniej-na poduszkach.

Waltonowie.
Doskonale odprężający program. Tego właśnie potrzebowałam.
Właśnie rozgrywa się finalna scena. Cała rodzina zebrała się przy stole, babcia odmawia modlitwę dziękczynną.
Upijam nieco wina i czuję, że zaczynam się rozluźniać. W głębi duszy zawsze kochałam *Waltonów,* już jako dziecko.
Przesiadywałam w ciemności, gdy nikogo nie było w domu, i udawałam, że także mieszkam na Górze Waltonów.
A teraz ostatnia scena, na którą zawsze najbardziej cze

Chwiejnym krokiem docieram do łazienki i wpatruję się w swoje blade odbicie w lustrze. Dziś jest ten dzień. Cała moja praca, studia, zarwane noce... wszystko to prowadziło do tej jednej chwili.
Wspólnik. Albo nie.
O Boże. Przestań. Nie myśl o tym.
Idę do kuchni i otwieram lodówkę. Cholera! Skończyło się mleko. Kawa też. Muszę znaleźć jakąś firmę dostarczającą je

Owszem, chcę zaprosić do siebie przyjaciół i mieć hobby, oczywiście kiedy w pracy trochę się rozluźni.
Spoglądam na późniejsze wpisy, chyba sprzed niecałego roku, ponieważ atrament wciąż jest jeszcze niebieski.
41. Wybrać się na wakacje?
42. Wydać przyjęcie w domu?
43. MLECZARZ??
Wpatruję się w listę z lekkim oszołomieniem. Jakim sposobem udało mi się nie zrobić niczego z listy? Ze złością rzucam na stół długopis i nastawiam czajnik, opierając się pokusie podarcia pożółkłego papieru na strzępy. Kiedy woda zaczyna się gotować, zaparzam jakąś dziwną ziołową herbatę, którą dostałam kiedyś od klienta. Sięgam po jabłko z miski na owoce i odkrywam, że jest spleśniałe. Wyrzucam z obrzydzeniem całą zawartość naczynia do kosza i podjadam kilka płatków pszenicznych Shreddies prosto z paczki.
Nie obchodzi mnie ta głupia lista. W moim życiu liczy się tylko jedna rzecz.
Przybywam do biura z silnym postanowieniem niepokaza-nia nikomu, że to dla mnie bardzo szczególny dzień. Nie będę szalała, po prostu zabiorę się do pracy, jak zwykle. Kiedy jednak wędruję w stronę windy, ludzie mruczą: „Powodzenia", a na korytarzu gość z działu podatkowego chwyta mnie znacząco za ramię:
- Trzymam kciuki, Samantho - mówi.
Skąd on zna moje imię?
Pędzę do biura i zamykam drzwi, usiłując zignorować fakt, że przez szklaną ściankę działową widzę rozmawia-jących i spoglądających na mnie ludzi. Naprawdę nie powinnam dzisiaj przychodzić. Mogłam udać, że jestem poważnie chora.
Nieważne. Wszystko jest pod kontrolą. Po prostu zajmę się jakąś pracą. Otwieram folder podrzucony wczoruj przez

Kettermana i zaczynam przedzierać się przez dokument o transferze akcji sprzed pięciu lat.
- Samantho?
Spoglądam w górę. W drzwiach stoi Guy z dwiema kawami. Stawia jedną na moim biurku.
- Cześć - mówi. - Jak nastrój?
- W porządku - odpowiadam, przerzucając stronę w iście profesjonalnym geście. - Czuję się... tak jak zwykle. Nie rozumiem, skąd to całe zamieszanie.
Rozbawione spojrzenie Guya wytrąca mnie z równowagi. Przerzucam kolejną stronę, by pokazać mu, że naprawdę tak myślę i udaje mi się przy tym strącić na podłogę cały plik dokumentów. Dzięki Bogu za spinacze! Czerwona na twarzy zbieram papiery, wrzucam z powrotem do teczki i upijam nieco kawy.
- Uhm - kiwa głową Guy. - Właściwie to dobrze, że się nie denerwujesz ani nie jesteś podminowana, czy coś w tym stylu.
- To prawda - przytakuję, nadal siedząc. - Nie sądzisz?
- Do zobaczenia później. - Chwyta swoją kawę, unosząc ją jakby w toaście, a potem wychodzi. Spoglądam na zegarek.
Jest dopiero ósma pięćdziesiąt trzy. Nie wiem, czy zdołam to wytrzymać.
Jakoś udaje mi się przetrwać poranek. Kończę czytać pliki Kettermana i zaczynam pisać raport. Jestem w połowie trzeciego akapitu, kiedy w moich drzwiach znów pojawia się Guy.
- Hej - rzucam bez spoglądania na niego. - Czuję się dobrze. I nic jeszcze nie słyszałam.
Guy nie odpowiada.
W końcu podnoszę głowę. Stoi tuż przy biurku i spogląda na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Nigdy takiego nie widziałam. Mieszanina dumy i podniecenia, tłumione pod maską zawodowego pokerzysty.
- Nie powinienem tego robić - mruczy i pochyla się ni-

żej. - Udało ci się. Zostałaś wspólniczką. Za godzinę dowiesz się oficjalnie.
Przepływa przeze mnie fala gorąca. Zapiera mi dech w piersiach.
Udało mi się. Udało mi się.
- Nie mówiłem ci tego, dobrze? - uśmiecha się przelotnie. - Świetna robota.
- Dzięki... - udaje mi się wykrztusić.
- Do zobaczenia później. Pogratuluję ci wtedy odpowiednio - odwraca się i wychodzi, zostawiając mnie wpatrzoną niewidzącym wzrokiem w komputer.
Zostałam wspólnikiem.
O mój Boże. O mój Boże. O mój BOŻE!
Chwytam lusterko i spoglądam w swoje wyczerpane odbicie. Mam czerwone policzki. Chciałabym skoczyć na równe nogi i wrzasnąć: „HURRRRA!". Chciałabym tańczyć i krzyczeć. Jak ja przetrwam godzinę? Czy zdołam usiedzieć spokojnie na miejscu? Nie dam rady skoncentrować się teraz na raporcie Kettermana.
Wstaję i podchodzę do szafki na dokumenty. Chcę się czymś zająć, otwieram więc na oślep kilka szuflad i znów je zamykam. Potem odwracam się i mój wzrok pada na biurko zawalone dokumentami i teczkami, ze stertą książek piętrzących się na komputerze.
Ketterman ma rację, wygląda to okropnie. Zupełnie nie jak biurko wspólnika.
Posprzątam tu. To doskonały sposób na przetrwanie godziny. 12.06-13.06 sprawy biurowe. Mamy nawet na to specjalny kod w komputerowym planie dnia.
Zapomniałam, jak bardzo nienawidzę sprzątania, wprost się nim brzydzę.
Kiedy przedzieram się przez bałagan na moim biurku, znajduję najprzeróżniejsze rzeczy. Listy firmowe... kontrakty, które trzeba wprowadzić do kartoteki... stare zaproszenia... ulotka o pilatach... CD, który kupiłam trzy miesiące temu i myś-

lałam, że gdzieś zgubiłam... zeszłoroczna kartka świąteczna od Arnolda, z jego wizerunkiem jako wełniastego renifera... uśmiecham się na ten widok i odkładam pocztówkę na stertę „rzeczy, dla których muszę znaleźć miejsce". Są również „płyty nagrobkowe" - grawerowane, oprawione w ramki kawałki pleksiglasu, jakie otrzymujemy po zamknięciu wielkich kontraktów. I jeszcze... o Boże, połowa snickersa, którego najwyraźniej nie dokończyłam jeść. Wrzucam go do kosza na śmieci i zabieram się do kolejnej sterty papierzysk.
Nie powinni nam przydzielać takich wielkich biurek. Nie mogę uwierzyć, ile się tu mieści.
Wspólnik! krzyczy we mnie wszystko. W głowie wybuchają fajerwerki radości. WSPÓLNIK!
Przestań, nakazuję sobie surowo. Skoncentruj się na tym, co robisz. Kiedy wyciągam stary egzemplarz „Prawnika" i zastanawiam się, po kiego diabła go zatrzymałam, na podłogę upadają jakieś spięte dokumenty. Sięgam po nie i spoglądam na pierwszą stronę, już chwytając następną rzecz - notatkę od Arnolda.
Sprawa Third Union Bank
Załączam obligacje dla Glazerbrooks Ltd. Proszę, zarejestruj je w kancelarii sądu handlowego.
Spoglądam na dokumenty z zainteresowaniem. Third Union Bank to klient Arnolda. Ja miałam z nimi do czynienia tylko raz. Teraz chodzi o pożyczkę na pięćdziesiąt milionów dla Glazerbrooks Ltd. Wszystko, co muszę zrobić, to zarejestrować sprawę w ciągu dwudziestu jeden dni w kancelarii sądu handlowego. Jeszcze jedno z prozaicznych zadań, jakimi obciążają mnie wspólnicy. Ale koniec z tym, myślę, czując przypływ determinacji. Zamierzam zlecić to komuś innemu. Automatycznie spoglądam na datę.
A potem jeszcze raz. Dwudziesty szósty maja.
Pięć tygodni temu? To nie może być prawda.

Zaintrygowana, przerzucam szybko papiery, szukając błędu w maszynopisie. Tyle że go nie znajduję. W całym dokumencie data jest ta sama: 26 maja.
Dwudziesty szósty maja?
Siedzę skamieniała, wpatrując się w papiery. Czy to znaczy, że leżały niezauważone na moim biurku przez całe pięć tygodni?
To... to przecież niemożliwe. Jak to... no, jak to tak? To by oznaczało...
Przełykam gulę, która nagle urosła mi w gardle. Musiałam coś źle zrozumieć. Nie mogłam przecież popełnić tak podstawowego błędu. Żadną miarą nie udałoby mi się zapomnieć o rejestracji umowy przed upływem terminu. Zawsze robię to na czas.
Zamykam oczy, starając się uspokoić. Chyba po prostu coś pokręciłam. To przez podniecenie z powodu przyjęcia mnie do rady nadzorczej. Ogłupiło mnie to kompletnie. No dobrze, spójrzmy jeszcze raz, tym razem dokładniej.
Otwieram oczy i widzę dokładnie to samo, co przed chwilą. „Zarejestruj obligacje". Notatka z dnia 26 maja, czarno na białym. Oznacza to, że naraziłam naszego klienta na niezabezpieczoną pożyczkę, a zatem popełniłam najbardziej podstawowy błąd, jaki może zrobić prawnik.
Mój radosny nastrój pryska. Wzdłuż kręgosłupa zaczyna wędrować zimna ameba przerażenia. Rozpaczliwie staram się sobie przypomnieć, czy Arnold wspominał przy mnie coś o tej umowie. Nie pamiętam, żeby powiedział choćby słowo, ale z drugiej strony, po co miałby sobie strzępić język? To przecież zwykła umowa o pożyczkę, jedna z tych, którymi zajmujemy się, nie przerywając snu. Pewnie założył, że wypełniłam polecenie. Przecież mi ufa.
O Jezu!
Przeglądam jeszcze raz dokument, trochę szybciej, szukając rozpaczliwie jakiegoś kruczka, paragrafu, który sprawi, że wykrzyknę z ulgą: „Ach, no oczywiście!". Nic. Ściskam kurczowo papiery, czując zawroty głowy. Jak to się mogło

stać? Czy odłożyłam je na bok, żeby zająć się nimi później? Nie pamiętam. Nie mogę sobie przy
cholery!
Co ja teraz zrobię? Zdaję sobie sprawę z konsekwencji i ogarnia mnie panika. Third Union Bank
Glazerbrooks pięćdziesiąt milionów funtów. Bez rejestracji umowy ta multimilionowa transakcja
niezabezpieczona. Jeżeli Glazerbrooks zbankrutują, Third Union Bank ustawi się w kolejce wraz
kredytodawcami, ale prawdopodobnie nie dostanie ani grosza z powrotem.
- Samantho! - odzywa się Maggie z progu. Ze strachu podskakuję pod sufit. Instynktownie przykr
od Arnolda, chociaż wiem, że moja sekretarka i tak na nią nie patrzy, a jeśli nawet, to nie zrozum
- Właśnie się dowiedziałam! - mówi scenicznym szeptem. - Guy się wygadał. Moje gratulacje!
- Eee... dzięki! - jakimś sposobem zmuszam się do uśmiechu.
- Idę po herbatę. Przynieść ci?
- To byłoby... cudowne, dzięki.
Maggie znika, a ja chowam głowę w dłoniach. Usiłuję zachować spokój, ale w moim sercu rośni
Muszę stanąć twarzą w twarz z problemem. Popełniłam błąd.
Popełniłam błąd.
Co ja teraz zrobię? Cała jestem spięta, nie mogę myśleć jasno... A potem nagle przypominają mi
słowa Guya i czuję niemal przypływ ulgi. Pomyłka nie jest błędem... chyba że nie można jej pot
Właśnie. Przecież mogę wszystko naprawić. Zarejestrować pożyczkę.
Będzie to bardzo bolesne. Będę musiała opowiedzieć o całej sprawie bankowi, firmie Glazerbroo
Kettermanowi, przygotować nową dokumentację. Poza tym wszyscy się dowiedzą, że popełniłam
bezmyślny błąd na poziomie stażysty.
Może to oznaczać koniec mojego partnerstwa w firmie, przechodzi mi przez myśl i od razu czuję

Nie mam jednak innej możliwości. Muszę naprawić tę sytuację.
Szybko loguję się na stronę internetową sądu handlowego i wpisuję w wyszukiwarce nazwę Glazerbrooks. Jeśli tymczasem nikt nie zarejestrował innej pożyczki dla tej firmy, praktycznie rzecz biorąc, wyjdzie na to samo...
Wpatruję się w ekran z niedowierzaniem.
Nie.
To nieprawda.
W zeszłym tygodniu BLLC Holdings zarejestrowała pięć-dziesięciomilionową pożyczkę dla Glazerbrooksa. Tym samym nasz klient spadł na sam dół listy wierzycieli. W moim umyśle panuje chaos. Jest źle. Jest bardzo niedobrze. Muszę szybko z kimś porozmawiać, zrobić coś z tą sprawą, zanim zarejestruje się ktoś jeszcze. Muszę... powiedzieć wszystko Arnoldowi.
Sama myśl o tym paraliżuje mnie kompletnie.
Nie mogę tego zrobić. Nie potrafię tak po prostu oświadczyć, że popełniłam najprostszą, najbardziej elementarną pomyłkę na świecie i wystawiłam 50 milionów klienta na ryzyko. Nie. Zamiast tego... zacznę załatwiać sprawę, zanim komukolwiek o tym powiem. Ograniczę rozmiar szkód. Tak. Najpierw zadzwonię do banku. Im szybciej się dowiedzą, tym lepiej.
- Samantho?
- Co takiego? - niemal spadam z krzesła.
- Ależ jesteś dzisiaj nerwowa! - śmieje się Maggie i podchodzi do biurka z kubkiem herbaty. - Czy czujesz się, jakbyś była na szczycie świata? - mruga do mnie radośnie.
Przez chwilę naprawdę nie wiem, o czym mówi. Mój świat zredukował się do mojej osoby i popełnionego przeze mnie błędu oraz tego, co zamierzam z tym zrobić.
- Och! Tak, oczywiście! - Próbuję się uśmiechnąć i ukradkiem wycieram wilgotne od potu ręce w chusteczkę.
- Założę się, że jeszcze nie zeszłaś z Olimpu swojego sukcesu. - Opiera się o szafkę na dokumenty. - W lodówce czeka schłodzony szampan.

- Świetnie. Posłuchaj, Maggie, naprawdę muszę się skoncentrować...
- Och - wygląda na urażoną. - Oczywiście, nie ma sprawy. Zostawię cię samą.
Gdy wychodzi, w jej ruchach widzę oburzenie. Pewnie uważa, że jestem kompletną krową, niemniej każda minuta opóźnienia zwiększa ryzyko. Muszę natychmiast zadzwonić do banku.
Przeglądam dokumenty w poszukiwaniu telefonu i nazwiska osoby, z którą powinnam się skontaktować w Third Union Bank. Charles Conway. Oto człowiek, do którego muszę zadzwonić i którego dzień zakłócę, wyznając mu całą prawdę o swoim fatalnym zaniedbaniu. Drżącą ręką podnoszę słuchawkę. Czuję się, jakbym nastawiała się psychicznie na zanurkowanie w obrzydliwym bagnisku pełnym pijawek.
Przez kilka chwil siedzę bez ruchu, wpatrzona w guziki, zmuszając się do wystukania numeru. Wreszcie robię to i kiedy słyszę sygnał, moje serce zaczyna galopować.
- Charles Conway - słyszę.
- Dzień dobry! - mówię zrównoważonym głosem. - Tu Samantha Sweeting z firmy Carter Spink. Nie miałam przyjemności spotkać pana osobiście.
- Witaj, Samantho - wydaje się bardzo przyjacielski. -W czym mogę pomóc?
- Dzwonię w sprawie... w sprawie technicznej. Chodzi o... o... firmę Glazerbrooks - ostatni wyraz nie chce mi przejść przez gardło.
- Wnoszę, że już o tym słyszałaś. Wieści szybko się rozchodzą.
Pokój nagle kurczy się wokół mnie. Chwytam słuchawkę mocniej.
- Słyszałam o czym? - pytam piskliwym głosem. - O niczym nie słyszałam.
- Och! Myślałem, że dlatego właśnie dzwonisz - przerywa Conway. Słyszę, jak poleca komuś w gabinecie, żeby poszukał „tej cholernej rzeczy w Googlach". - Tak. Wczoraj

powiadomili telefonicznie odbiorców. Najwyraźniej ostatni, awaryjny plan ocalenia firmy nie zadziałał...
Mówi coś dalej, ale ja nic już nie słyszę. Kręci mi się w głowie, przed oczami tańczą czarne plamy.
Firma Glazerbrooks zbankrutowała. Chyba śnię. Zaraz zacznę bredzić coś w panice. Mam ochotę rzucić słuchawką o ziemię i uciec jak najszybciej. Głos Charlesa Conwaya nagle przywołuje mnie do rzeczywistości
- Skoro już o tym mowa, dobrze, że dzwonisz - słyszę, jak wystukuje coś na klawiaturze, zupełnie nieprzejęty całą sytuacją. - Może przy okazji sprawdzisz zabezpieczenie naszej pożyczki.
Zatyka mnie na dobre kilka chwil.
- Oczywiście - mówię wreszcie schrypniętym głosem. Odkładam słuchawkę. Cała się trzęsę i chyba zaraz zwymiotuję.
Spieprzyłam sprawę.
Spieprzyłam totalnie. Nie mogę nawet...
Nie mogę...
Na wpół przytomna odsuwam krzesło. Muszę stąd uciec. Daleko.

5

Na autopilocie przechodzę koło recepcji. Chwilę później znajduję się na słonecznej, zatłoczonej ulicy. Stawiam jedną stopę za drugą; jedna z wielu urzędniczek zdążających gdzieś w porze lunchu. Tylko że ja jestem inna. Mój klient właśnie stracił przeze mnie pięćdziesiąt milionów funtów.
Pięćdziesiąt milionów, rozbrzmiewa w mojej głowie niczym walenie bębnów.
Nie rozumiem, jak to się mogło zdarzyć. Nie mam pojęcia. Nieustannie przerabiam ten scenariusz, raz po raz, od nowa, obsesyjnie. Jak mogłam nie zauważyć... jak mogłam nie dopatrzyć...

Nie widziałam tego dokumentu, nie zanotowałam go nawet przez sekundę. Musiał zostać położony na moim biurku, a potem przykryty czymś innym, stertą kontraktów, kubkiem kawy.
Jeden błąd. Jedna pomyłka. Jedyna, jaką kiedykolwiek popełniłam. Chcę się obudzić, przekonać, że to tylko jakiś koszmarny sen, że to wszystko zdarzyło się w głupim filmie albo przytrafiło się komuś innemu. Chcę, żeby była to tylko historia, którą usłyszałam w pubie, i podekscytowana, dziękowałam szczęśliwym gwiazdom, że nie mnie dotyczy...
Tylko że zdarzyło się właśnie mnie. Moja kariera jest skończona. Ostatnią osobą, która popełniła podobny błąd w Carter Spink, był Ted Stephens, który w 1983 roku naraził klienta na stratę dziesięciu milionów funtów. Z miejsca go zwolnili.
Ja zaprzepaściłam pięć razy więcej.
Mój oddech staje się krótki, urywany. Kręci mi się w głowie i czuję się, jakby ktoś mnie dusił. Chyba zaraz będę miała atak paniki. Siadam na ławce, czekając, aż poczuję się lepiej.
Ale nie czuję się lepiej, tylko gorzej.
Nagle zrywam się w przerażeniu. Moja komórka wibruje w kieszeni. Wyciągam ją i spoglądam na identyfikator. To Guy. Nie mogę z nim rozmawiać. Nie mogę rozmawiać z nikim. Nie w tej chwili.
Sekundę później telefon informuje mnie o nowej wiadomości w poczcie głosowej. Przykładam słuchawkę do ucha, wciskam klawisz z numerem jeden i słucham niefrasobliwego głosu Guya.
„Samantho! Gdzie jesteś? Czekamy na ciebie wszyscy z szampanem, żeby publicznie ogłosić mianowanie nowego wspólnika".
Wspólnik. Chce mi się płakać, ale... nie mogę. To zbyt wiele. Wrzucam telefon do kieszeni i wstaję. Zaczynam iść, szybciej i szybciej. Przedzieram się przez tłum pieszych, ignoruję zdziwione spojrzenia. Moja głowa pulsuje z bólu. Nie mam pojęcia, dokąd idę - po prostu nie potrafię się zatrzymać.

Wędruję tak przez kilka godzin, nieprzytomna, bezmyślna. Moje stopy poruszają się ślepo wzdłuż chodnika. Słońce już zachodzi, ulice są zakurzone i po jakimś czasie czuję, że głowa mi pęka z bólu. W jakimś momencie komórka znów wibruje w kieszeni, ale ignoruję ją. W końcu, kiedy nogi sygnalizują zmęczenie, zwalniam i zatrzymuję się. Mam sucho w ustach, jestem potwornie odwodniona. Muszę się czegoś napić. Spoglądam wokoło, próbując się zorientować, gdzie jestem. Jakimś cudem dotarłam do stacji Paddington. Czemu właśnie tu?
Otępiała, kieruję kroki ku wejściu. W środku panuje hałas. Dworzec jest przepełniony podróżnymi. Fluorescencyjne oświetlenie, klimatyzacja i jarzące się tablice z rozkładem jazdy pociągów wywołują we mnie nagłe drżenie. Kiedy ruszam w stronę sklepiku z butelkowaną wodą, znowu odzywa się komórka. Wyciągam ją i spoglądam na wyświetlacz. Piętnaście nieodebranych połączeń i kolejna wiadomość od Guya sprzed dwudziestu minut.
Waham się, serce trzepocze w mojej piersi niczym ranny ptak. Potem naciskam „jedynkę" i słucham:
„Chryste, Samantho, co się stało?!" Jego głos nie jest już jowialny, lecz pełen napięcia. Czuję, jak po piecuch przechodzą mi ciarki. „O wszystkim już wiemy - ciągnie. - Wiemy o sprawie Third Union Bank. Dzwonił do nas Charles Conway, a potem Ketterman znalazł papiery na twoim biurku. Musisz wrócić do firmy, i to natychmiast. Oddzwoń do mnie".
Koniec wiadomości. Nie ruszam się, sparaliżowana strachem.
Oni wiedzą. Wszyscy wiedzą.
Czarne punkciki tańczą mi przed oczami, w żołądku wzbierają mdłości. Cały personel Carter Spink wie. że spieprzyłam sprawę. Z niezdrowym podnieceniem ludzie będą dzwonili do siebie, wysyłali wiadomości mej lem.
Słyszałeś o,..
Gdy tak stoję, chwytam coś kątem oka. Znajoma twurz, ledwo widoczna wśród tłumu. Odwracam głowę i wputruję się intensywnie w tego człowieka, próbując go umiejscowić. Po-

tem czuję nowe uderzenie strachu. To Greg Parker, jeden ze starszych wspólników. Kroczy przez halę w kosztownym garniturze, z komórką przy uchu. Jego brwi łączą się w długą kreskę niepokoju.
- Gdzie ona jest? - słyszę jego głos.
Zalewa mnie fala paniki. Muszę się ukryć, zejść mu z oczu. Natychmiast. Chowam się za wielką kobietą w beżowym berecie i próbuję przykucnąć, żeby nie było mnie widać. Ona jednak nieustannie się przemieszcza, a ja muszę przesuwać się wraz z nią.
- Chce pani czegoś? Jest pani żebraczką? - nagle odwraca się i przygląda mi podejrzliwie.
- Nie! - rzucam wstrząśnięta. - Ja tylko...
Nie mogę powiedzieć: „Próbuję się za panią schować".
- Proszę mnie zostawić w spokoju! - wykrzykuje kobieta i rusza żwawo w kierunku budki Costa Coffee. Czuję, że za chwilę serce wyskoczy mi z piersi. Stoję na samym środku hali dworcowej, w zasięgu wzroku Grega Parkera, który przystanął pięćdziesiąt metrów ode mnie, wciąż rozmawiając przez telefon. Jeżeli się poruszę, zobaczy mnie. Jeżeli będę tu tkwiła... zobaczy mnie.
Nagle tablica informacyjna aktualizuje czasy przyjazdów i odjazdów. Grupka ludzi, którzy wpatrywali się w nią, chwyta bagaże oraz gazety i rusza w kierunku peronu dziewiątego. Dołączam do nich bez namysłu. Ukryta w środku grupy przedostaję się na peron numer dziewięć. Przechodzimy przez otwarte barierki, wsiadamy razem do pociągu. Potem przemierzam kolejne wagony tak szybko, jak mogę.
Pociąg odjeżdża, a ja opadam na siedzenie, naprzeciwko rodzinki ubranej w podkoszulki z logo londyńskiego zoo. Uśmiechają się do mnie i jakimś cudem udaje mi się odwzajemnić uśmiech. Czuję się kompletnie, absolutnie nierealnie.
- Przekąski! - W wagonie pojawia się pomarszczony mężczyzna pchający wózek. Uśmiecha się do mnie przyjaźnie.
-Zimne i gorące kanapki, kawa, herbata, napoje bezalkoholowe i alkoholowe?

- To ostatnie poproszę - usiłuję nie zrobić na nim wrażenia desperatki. - Podwójną porcję... czegokolwiek.
Nikt nie sprawdza, czy mam bilet, nikt się mną nie interesuje. Wsiadłam chyba do jakiegoś ekspresu. Przedmieścia wkrótce przechodzą w pola, a pociąg jedzie dalej. Wypijam trzy małe butelki dżinu zmieszanego z sokiem pomarańczowym, pomidorowym oraz z czekoladowym napojem jogurtowym. Lodowata gula w moim żołądku zdołała już stopnieć. Czuję się dziwnie oderwana od rzeczywistości.
Popełniłam największą pomyłkę w swojej karierze. Prawdopodobnie straciłam pracę. Nigdy nie zostanę wspólnikiem.
Jedno głupie przeoczenie.
Rodzinka w podkoszulkach z londyńskiego zoo otwiera paczkę chipsów. Częstują mnie i próbują zachęcić do wspólnej gry w podróżne scrabble. Kobieta pyta nawet, czy podróżuję w sprawach zawodowych, czy prywatnie.
Nie potrafię jej odpowiedzieć.
Wreszcie serce przestaje mi walić jak oszalałe. Nabawiam się za to potwornego bólu głowy. Siedzę więc, dłonią przesłaniając oko, żeby zablokować dopływ światła.
- Panie i panowie... - odzywa się konduktor w trzeszczących głośnikach. - Bardzo nam przykro... roboty kolejowe... alternatywny transport...
Nie rozumiem, co mówi. Nie wiem nawet, dokąd jadę. Poczekam po prostu do najbliższej stacji, wysiądę z pociągu i wtedy zobaczymy.
- Rodzynek pisze się inaczej - instruuje jedno ze swoich dzieci matka z londyńskiego zoo. Nagle pociąg zaczyna zwalniać. Spoglądam przez okno, wyglądając stacji. Lower Ebury. Wszyscy ściągają z półek bagaże i wysiadają. Jak robot podnoszę się z siedzenia i podążam na peron za rodzinką z zoo. Rozglądam się dookoła. Stoję na środku malutkiej wiejskiej stacyjki, obok której widzę pub o nazwie Dzwon. Szosa zakreśla łuk w obu kierunkach. W oddali widzę pola. Na poboczu stoi autokar. Widzę, że wszyscy pasażerowie ładują się do niego.

Matka z londyńskiego zoo odwraca się i macha do mnie ponaglająco.
- Tędy - mówi usłużnie. - Chce pani złapać transport do Gloucester? Do dużej stacji?
Na myśl o podróży autokarem żołądek podchodzi mi do gardła. Nie chcę żadnego transportu dokądkolwiek. Chcę proszek na ból głowy, zanim ta rozpadnie mi się na dwie części.
- Emm... nie, dziękuję. Ja zostaję, dzięki - uśmiecham się na tyle przekonywająco, na ile potrafię i, zanim kobieta ma okazję powiedzieć coś jeszcze, odchodzę.
Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jestem.
Nagle w mojej kieszeni znów zaczyna wibrować komórka. Wyciągam ją. To Guy. Znowu. Chyba ze trzydziesty raz. Zawsze prosi, żebym oddzwoniła i pyta, czy odebrałam jego mejle.
Nie, nie odebrałam. Byłam tak przerażona i zgubiona, że zostawiłam palmtopa na biurku. Mam tylko telefon, który znowu wibruje, a ja przez kilka chwil potrafię się tylko weń wpatrywać. Potem żołądek zaciska się z nerwów w bolesny supełek, przykładam słuchawkę do ucha i odbieram połączenie.
- Hej - mój głos brzmi jak zdarta płyta. - To... to ja.
- Samantha? - słyszę jego pełen niedowierzania głos. -To ty? Gdzie ty się podziewasz?!
- Nie wiem. Musiałam się stamtąd wydostać... chyba... chyba byłam w szoku...
- Samantho, nie wiem, czy dostałaś moje wiadomości, ale... - waha się. - Wszyscy już wiedzą.
- Tak. - Opieram się o stary, rozsypujący się murek i zaciskam powieki, próbując ignorować migrenę. - Wiem.
- Jak to się stało?! - Jest tak samo oszołomiony, jak ja. -Jakim cudem zrobiłaś tak fatalnie prosty błąd? Jezu Chryste, Samantho...
- Nie wiem - odpowiadam wypranym z uczuć głosem. -Ja po prostu... nie widziałam tego dokumentu. To pomyłka...
- Ty nigdy nie popełniasz pomyłek!
- Najwyraźniej jednak tak! - Czuję, jak pod powiekami

zbierają mi się łzy, i mrugam zapamiętale, żeby powstrzymać płacz. - Co... co teraz?
- Nie jest dobrze - głośno wzdycha. - Ketterman rozmawia z prawnikami Glazerbrooksa i z bankiem na temat zminimalizowania strat... z ubezpieczycielami oczywiście również.
Ubezpieczyciele. Profesjonalna asekuracja firmy. Nagle czuję przypływ radosnej nadziei. Jeżeli ubezpieczyciele zapłacą bez dyskusji, może nie będzie tak **źle,** jak myślałam. Czuję iskierkę nadziei, chociaż wiem, **że** zachowuję się niczym tonący, który chwyta się brzytwy. Ubezpieczyciele nigdy nie wypłacają całej sumy. Zdarza się to bardzo rzadko, a wtedy podnoszą stawki składek do niewyobrażalnych sum.
- Co powiedzieli ubezpieczyciele? - mamroczę. - Czy ...
- Jeszcze nic nie wiadomo.
- Rozumiem. - Ocieram spoconą twarz i zmuszam się do zadania kolejnego pytania. - A co... co **ze** mną?
Guy milczy i wymowa tej ciszy sprawia, **że** zataczam się, jakbym za chwilę miała zemdleć. Oto moja odpowiedź. Otwieram oczy i widzę patrzących na mnie dwóch małych chłopców na rowerach.
- To już koniec, prawda? - próbuję powiedzieć to spokojnie, ale nie mogę powstrzymać drżenia głosu. - Koniec mojej kariery.
- Ja... nie wiem. Posłuchaj, Samantho, zdenerwowałaś się, to zrozumiałe, ale nie możesz się ukrywać. Musisz wrócić.
- Nie mogę - podnoszę głos przerażona. - Nie mogę stanąć twarzą w twarz ze wszystkimi.
- Samantho, bądź rozsądna!
- Nie mogę tego zrobić! Nie potrafię! Potrzebuję trochę czasu...
- Saman...-wyłączam telefon.
Czuję się słabo. Głowa mi pęka i muszę się czegoś napić, ale pub wygląda na zamknięty, w okolicy zuś nie widzę żadnego sklepu. Zataczając się, idę wzdłuż drogi, **aż** docieram do bramy wjazdowej, zawieszonej pomiędzy dwoma wysokimi rzeźbionymi słupami z wizerunkami lwów. Dom. Zadzwonię

do drzwi i poproszę o środek przeciwbólowy oraz szklankę wody. Zapytam też o jakiś hotel w sąsiedztwie.
Otwieram żelazne wrota i wlokę się po żwirowanej ścieżce w kierunku ciężkich dębowych drzwi. To ogromna posesja, zbudowana z miodowego kamienia, ze stromymi dachami, wysokimi kominami i dwoma porsche na podjeździe. Podnoszę rękę i pociągam za dzwonek u drzwi.
Cisza. Stoję tak przez chwilę, ale dom wydaje się wymarły. Zamierzam właśnie zrezygnować i powlec się z powrotem na drogę, kiedy nagle drzwi otwierają się na oścież. Widzę przed sobą kobietę z lakierowaną blond fryzurą do ramion i długimi, migoczącymi kolczykami. Ma bardzo mocny makijaż, długie jedwabne spodnie w dziwnym brzoskwiniowym odcieniu, w jednej ręce dzierży papierosa, w drugiej koktajl.
- Witam - zaciąga się i spogląda na mnie podejrzliwie. -Pani z agencji?
6
Nie mam pojęcia, o czym mówi. Głowa boli mnie tak bardzo, że ledwie widzę, nie mówiąc o słyszeniu.
- Dobrze się czujesz? - Kobieta przygląda mi się uważnie. - Wyglądasz okropnie!
- Mam potworną migrenę - udaje mi się wymamrotać. -Czy mogłabym dostać szklankę wody?
- Oczywiście! Wejdź! - Macha dłonią z papierosem tuż przed moją twarzą i wprowadza mnie do ogromnego, imponującego przedsionka ze zdobnym sklepieniem. - I tak przecież musisz obejrzeć dom. Eddie?! - krzyczy piskliwie. -Eddie, przyszła jeszcze jedna! Nazywam się Trish Geiger -mówi do mnie. - Dla ciebie pani Geiger. Tędy...
Prowadzi mnie do luksusowej kuchni wyposażonej w klonowe meble i otwiera kilka szuflad, zanim wreszcie wykrzykuje:
56

- Aha!
Wyciąga plastikowe pudełko i otwiera je. Moim oczom ukazuje się około pięćdziesięciu różnych buteleczek i opakowań z lekarstwami. Pani Geiger zaczyna grzebać w pudle po-lakierowanymi długimi szponami.
- Mam aspirynę... paracetamol... ibuprofen... bardzo łagodne valium. - Prezentuje wściekle czerwoną pigułkę. - Ta jest z Ameryki - mówi. - Tutaj nielegalna.
- Hmm... cudownie. Ma pani... dużo środków przeciwbólowych.
- Och, w tym domu uwielbiamy lekarstwa - odpowiada, spoglądając na mnie znacząco. - Po prostu je kochamy. Eddie! - Wręcza mi trzy zielone tabletki i po kilku próbach udaje się jej wreszcie zlokalizować szafkę ze szklankami.
-O, tutaj są. Te pigułki zwalczą każdy ból głowy. - Nalewa mi zimnej wody z lodówki. - Masz, wypij.
- Dziękuję - odpowiadam, przełykając tabletki z grymasem bólu na twarzy. - Jestem bardzo wdzięczna. Naprawdę, strasznie boli mnie głowa i nie mogę jasno myśleć.
- Bardzo dobrze mówisz po angielsku - przygląda mi się uważnie, jakby oceniające - Naprawdę doskonale.
- Och - odpowiadam nieco zdezorientowana. - Tak. Jestem Angielką, to pewnie dlatego.
- Jesteś Angielką? - moje słowa elektryzują Trish. - No proszę! Chodź, usiądziesz sobie. Lekarstwa zaraz zaczną działać. Jeśli nie, dam więcej.
Wyprowadza mnie z kuchni na korytarz.
- To jest salon - mówi, zatrzymując się przy kolejnych drzwiach i szerokim gestem wskazuje na ogromny pokój, przy okazji strzepując popiół z papierosa na dywan. - Jak widzisz, jest tu dużo odkurzania... wycierania kurzów... czyszczenia sreber - spogląda na mnie wyczekująco.
- Tak - kiwam głową. Nie mam pojęcia, dlaczego ta kobieta opowiada mi o robotach domowych, ale wyraźnie czeka na odpowiedź. - To bardzo piękny mebel -

- Trzeba go polerować. - Jej oczy zwężają się w szparki. - Regularnie. Takie rzeczy nie uchodzą mojej uwagi.
- Tak, oczywiście - ponownie kiwam głową, nieco speszona.
- Chodźmy tutaj - prowadzi mnie przez następny wielki pokój do przestronnej pełnej pierzastych roślin oranżerii pod szklaną kopułą, wyposażonej w wykwintne meble z drzewa tekowego i dobrze zaopatrzony barek.
- Eddie! Choć no tutaj! - stuka w szklankę. Spoglądam przed siebie i widzę opalonego, zamożnie wyglądającego mężczyznę w spodniach do golfa, który zbliża się ku nam po dobrze utrzymanym trawniku. Gospodarz domu ma już pod pięćdziesiątkę. Trish zresztą prawdopodobnie również, myślę, przyglądając się kurzym łapkom w kącikach jej oczu, kiedy odwraca się od okna. Coś jednak mi mówi, że Trish dobije czterdziestu dziewięciu lat i nie zestarzeje się ani dnia więcej.
- Piękny ogród - mówię.
- Och - przygląda się mu bez specjalnego zainteresowania. - Tak, nasz ogrodnik jest bardzo dobry. Ma mnóstwo pomysłów. A teraz usiądź - macha rękami, a ja, czując się nieco dziwnie, siadam w fotelu. Trish usadawia się na plecionym krześle naprzeciwko i sączy swój koktajl.
- Czy potrafisz przyrządzić krwawą mary? - pyta nagle. Wpatruję się w nią, przerażona.
- Nieważne - przysysa się do swojego papierosa. - Nauczę cię.
Co takiego zrobi?
- Jak tam twoja głowa? - pyta i zanim mam szansę odpowiedzieć, ciągnie dalej: - Już lepiej? Ach, oto Eddie!
- Witam. - Drzwi otwierają się i do oranżerii wchodzi pan Geiger. Z bliska nie wygląda tak imponująco, jak wtedy, gdy wędrował przez trawnik. Ma nieco przekrwione oczy i wyraźnie zarysowany brzuszek piwny.
- Eddie Geiger - przedstawia się, jowialnie wyciągając dłoń na przywitanie. - Pan domu.

- Eddie, to jest... - Trish spogląda na mnie zdziwiona. -Jak masz na imię?
- Samantha - odpowiadam. - Przepraszam, że państwa fatyguję, ale miałam okropną migrenę...
- Dałam Samancie trochę tych środków przeciwbólowych na receptę - wtrąca Trish.
- Dobry wybór. - Eddie otwiera butelkę szkockiej whisky i nalewa sobie porcję. - Powinnaś spróbować czerwonych pigułek. Letalne!
- Eee... rozumiem.
- Nie dosłownie, oczywiście! - wybucha krótkim śmiechem. - Nie zamierzamy cię otruć!
- Eddie. - Trish uderza go po ramieniu, brzęcząc bransoletkami. -Nie strasz jej!
Oboje przyglądają mi się i mam wrażenie, że oczekują jakiejś mojej reakcji.
- Naprawdę jestem bardzo wdzięczna - mówię z lekkim uśmiechem. - Byliście dla mnie państwo bardzo mili. Przepraszam, że zakłóciłam państwu wieczór.
- Bardzo dobrze mówi po angielsku, nie sądzisz? - Eddie unosi brwi i spogląda na Trish.
- Bo jest z Anglii! - Trish wyciąga królika z kapelusza. -Rozumie wszystko, co się do niej mówi!
Czegoś tutaj nie pojmuję. Czy ja wyglądam na obcokrajowca?
- Pokażemy jej dom? - pyta Eddie żonę.
Załamuję się lekko. Ludzi, którzy mają zwyczaj oprowadzania wszystkich po swojej posesji, powinno się usuwać ze społeczeństwa. Myśl o wędrowaniu po całym domu i konieczności wypowiadania się o każdym pokoju jest wręcz nieznośna. Chcę po prostu posiedzieć i poczekać, aż zaczną działać pigułki.
- To naprawdę nie jest konieczne - zaczynam. - Jestem przekonana, że cały dom jest przepiękny...
- Oczywiście, że to konieczne! - Trish gasi papierosa. -Idziemy.

Podnoszę się i czuję zawroty głowy. Muszę przytrzymać się jukki, żeby się nie przewrócić. Ból głowy zaczyna mijać, ale robię się dziwnie lekka i oderwana od rzeczywistości. Trochę jak we śnie.
Ta kobieta w ogóle nie ma życia. Wydaje się zainteresowana wyłącznie domem. Kiedy zwiedzamy kolejne wspaniale urządzone pokoje, pokazuje mi meble i przedmioty, z których należy ścierać kurze ze szczególną dbałością. Prowadzi mnie także do schowka na odkurzacz. Teraz z kolei opowiada mi o pralce.
- Wydaje się... bardzo... wydajna - odpowiadam, ponieważ wyraźnie oczekuje ode mnie jakiegoś komplementu.
- Lubimy zmieniać pościel co tydzień. Oczywiście musi być wyprasowana - spogląda na mnie ostro.
- Oczywiście - kiwam głową, starając się ukryć zdumienie. - Dobry pomysł.
- A teraz chodźmy na górę!
Wybiega z kuchni. Boże, jest tego jeszcze więcej?
- Pochodzisz z Londynu, Samantho? - pyta Eddie Geiger, gdy wchodzimy po schodach na piętro.
- Tak.
- Masz tam pełnoetatowe zajęcie?
Pyta jedynie z uprzejmości, ale przez kilka chwil nie mogę sklecić żadnej odpowiedzi. Właśnie, czy mam jeszcze pracę?
- Miałam - odpowiadam wreszcie. - Szczerze mówiąc... nie wiem, jaka w tej chwili jest moja sytuacja.
- W jakich godzinach pracowałaś? - Trish odwraca się, nagle zainteresowana konwersacją.
- We wszystkich - wzruszam ramionami. - Jestem przyzwyczajona do pracy przez cały dzień, a czasem nawet i nocą.
Geigerowie wydają się kompletnie wstrząśnięci moją odpowiedzią. Ludzie nie mają pojęcia, jak wymagające jest życie prawnika.
- Pracowałaś także nocami? - Trish jest oszołomiona. -Sama?

- Ja i pozostały personel. Ktokolwiek był akurat potrzebny.
- Zatem byłaś zatrudniona... w dużej organizacji?
- W jednej z największych w Londynie - kiwam głową na potwierdzenie.
Trish i Eddie spoglądają po sobie. Para dziwaków.
- Tutaj jesteśmy pod tym względem nieco bardziej zrelaksowani. Pewnie cię to ucieszy! - Trish chichocze. - Oto główna sypialnia... pokój gościnny...
Przechodzimy korytarzem, a ona otwiera i zamyka kolejne drzwi, pokazując mi łoża z baldachimem i ręcznie wykonane kotary. Zaczynam powoli odpływać. Nie wiem, co było w tych pigułkach, ale z minuty na minutę czuję się coraz dziwniej.
- Zielona sypialnia... powinnaś wiedzieć, że nie mamy dzieci ani zwierząt domowych... Palisz? - pyta nagle Trish, zaciągając się dymem z papierosa.
- Och... nie, dziękuję.
- Zresztą nie obchodzi nas to zbytnio.
Kiedy schodzimy małą klatką schodową, chwytam się ściany, żeby nie upaść, ale ona wydaje się odsuwać ode mnie gmatwaniną tapetowych kwiatów.
- Dobrze się czujesz? - Eddie chwyta mnie, zanim osuwam się na ziemię.
- Chyba te środki przeciwbólowe były za mocne - mamroczę.
- Rzeczywiście, są dosyć silne. - Trish przygląda mi się z uwagą. - Piłaś dzisiaj jakiś alkohol?
- Mmm... tak...
- Aaaa - krzywi się. - Nie szkodzi, chyba że zaczniesz mieć halucynacje. Wtedy trzeba będzie wezwać lekarza. A... oto jesteśmy! - ciągnie, otwierając drzwi teatralnym gestem. -Pomieszczenia dla pracowników.
Wszystkie pokoje w tym domu są ogromne. Ten tutaj ma rozmiary całego mojego mieszkania. Blade ściany, kamienne gotyckie okna wychodzące na ogród, najprostsze łóżko, jakie widziałam w całym domu, lecz również wielkie, kwadratowe,

ze świeżą białą pościelą. Z trudem pokonuję nagłe, niemal wszechogarniające pragnienie, aby się położyć, dać odpocząć mojej nieszczęsnej głowie, odpłynąć w nicość.
- Wspaniałe - mówię uprzejmie. - To piękny pokój.
- Doskonale! - Eddie klaszcze w dłonie. - W takim razie, Samantho, przyjmujemy cię do pracy!
Spoglądam na niego oszołomiona.
Pracy?
Jakiej pracy?
- Eddie - karci go Trish. - Nie możesz tak po prostu zaoferować jej posady! Nie skończyliśmy jeszcze wywiadu.
Wywiadu?
Czy coś mnie ominęło?
- Nie opisaliśmy jej jeszcze, co miałaby robić! - Trish nadal upomina Eddiego. - Nie przeszliśmy przez szczegóły!
- W takim razie zrób to! - odcina się Eddie. Trish rzuca mu rozeźlone spojrzenie i chrząka.
- Samantho - zaczyna oficjalnym tonem - do twoich obowiązków jako gospodyni domowej będzie należało...
- Słucham?-wpatruję się w nią. Trish cmoka ze złością.
- Do twoich obowiązków jako gospodyni domowej - powtarza wolniej - będzie należało sprzątanie całego domu, pranie i gotowanie. Będziesz nosiła uniform, zachowywała się uprzejmie i z szacunkiem...
Moje obowiązki jako...
Ci ludzie myślą, że chcę się zatrudnić jako ich gosposia? Przez chwilę jestem zbyt osłupiała, żeby cokolwiek powiedzieć.
- ...mieszkanie i wyżywienie - ciągnie Trish. - Do tego będziesz miała cztery tygodnie wakacji rocznie.
- Jaka jest pensja? - pyta Eddie z zainteresowaniem. -Będziemy jej płacić więcej niż ostatniej dziewczynie?
Trish spojrzała na niego tak, jakby go chciała uśmiercić wzrokiem.
- Przepraszam cię na moment, Samantho.

Zanim mam szansę otworzyć usta, wyciąga Eddiego z pokoju i z trzaskiem zamyka drzwi, spoza których zaczynają dobiegać wściekłe, tłumione odgłosy kłótni.
Rozglądam się po pokoju, próbując pozbierać się do kupy.
Myślą, że jestem gosposią. Gosposią! To śmieszne. Muszę wyjaśnić im całe to nieporozumienie.
Zalewa mnie kolejna fala zamroczenia. Przysiadam na łóżku, a potem nie mogę się powstrzymać. Kładę się na białej chłodnej pościeli i zamykam oczy. Zupełnie jakbym zapadała się w pierzaste chmury. Nie chcę wstawać. Nie chcę wychodzić z tego łóżka. To moje niebo.
Miałam ciężki dzień. Długi, wyczerpujący, boleśnie koszmarny dzień. Chcę, żeby się wreszcie skończył.
- Samantho, bardzo mi przykro. - Otwieram oczy i z trudem koncentruję się na tyle, żeby zobaczyć wracającą Trish, za którą drepcze czerwony na twarzy Eddie. - Zanim przejdziemy do następnego etapu, czy masz jakieś pytania na temat swojej posady?
Wpatruję się w nią. Potwornie kręci mi się w głowie. Teraz jest odpowiedni moment, żeby wyjaśnić im tę pomyłkę. Wytłumaczyć, że nie jestem gosposią, tylko prawnikiem. Z moich ust jednak nie wychodzą żadne słowa.
Nie chcę wychodzić. Chcę leżeć w tym łóżku i odpłynąć w zapomnienie.
Mogłabym zostać na jedną noc, przebiega mi przez myśl. Tylko jedną noc. Jutro wyjaśnię to całe nieporozumienie.
- Ja... czy mogłabym zacząć od dzisiaj? - słyszę siebie, wypowiadającą te słowa.
- Nie widzę przeszkód... - zaczyna Eddie.
- Nie podejmujmy pochopnej decyzji - przerywa mu surowo Trish. - Mamy już kilka zdolnych dziewcząt ubiegających się o tę posadę, Samantho. Niektóre z nich są naprawdę niezwykłe. Jedna potrafi nawet gotować wykwintne francuskie potrawy. Ma dyplom kucharski!
Zaciąga się znowu papierosem, spoglądając na mnie wyzywająco. Coś we mnie tężeje. To chyba odruch bezwarunko-

wy, nie mogę nic na to poradzić. Jest silniejszy ode mnie i od mego pragnienia, aby opaść na miękkie, białe piernaty. Czy ta kobieta sugeruje...
Czy ona daje mi do zrozumienia, że mogłabym nie dostać tej posady?
Przyglądam się Trish w milczeniu przez długi moment. Gdzieś wewnątrz mnie, pomimo odurzenia, czuję słabiutkie drgnięcie. To dawna Samantha. Czuję, jak zasiedziała we mnie ambicja podnosi głowę i węszy, zakasuje rękawy i zaciera ręce. Z pewnością mogę pokonać jakąś tam dziewczynę z dyplomem kucharskim. Nigdy w życiu nie odrzucono mnie na rozmowie kwalifikacyjnej i nie zamierzam dopuścić do tego w tej chwili.
- Zatem - Trish spogląda na swoją listę - masz doświadczenie w praniu różnego rodzaju rzeczy?
- W szkole dostałam nagrodę za pranie - odpowiadam, skromnie spuszczając głowę. - Dzięki temu właśnie zaczęłam myśleć o karierze gospodyni domowej.
- Mój Boże! - Trish jest zaskoczona. - Umiesz gotować wykwintne potrawy francuskie?
- Trenowałam pod okiem Michela de la Roux de la Blanc -zawieszam głos z poważną miną. - Jego nazwisko oczywiście mówi wszystko.
- Naturalnie! -. odpowiada Trish, spoglądając niepewnie na Eddiego.
Znów siedzimy w oranżerii. Trish bombarduje mnie pytaniami zupełnie jak z ulotki na temat „Jak zatrudnić gospodynię domową". Odpowiadam na każde z nich z ogromną pewnością siebie. W głowie pobrzmiewa mi wprawdzie słabiutki głosik: „Co ty robisz? Co ty do diabła wyprawiasz?". Nie słucham go jednak. Nie chcę. Jakimś cudem udało mi się zablokować rzeczywistość, moją fatalną pomyłkę, zaprzepaszczoną karierę, cały koszmar dzisiejszego dnia... cały świat. Nie istnieje nic poza tą rozmową. W głowie nadal mi się kręci i czuję się, jakbym w każdym momencie miała upaść - ale

w środku zagnieżdża się we mnie twarde ziarno determinacji. Dostanę tę pracę.
- Czy mogłabyś zaproponować mi jakieś menu, na przykład na proszony obiad? - Trish zapala kolejnego papierosa.
Potrawy... imponujące potrawy...
Nagle przypominam sobie wczorajszy obiad w Maximie i kartę dań, którą dostałam jako prezent urodzinowy.
- Zerknę tylko do swoich notatek - odpinam torbę i dyskretnie spoglądam na menu restauracji.
- Na formalny obiad zaserwowałabym... no cóż... obsmażane foie gras w morelowej glazurze... jagnięcinę z pikantnym humusem... a na deser suflet czekoladowo-miętowy z dwoma sorbetami domowej roboty.
Co powiesz na to, dziewczyno z dyplomem?
- No, no! - Trish wygląda na zdumioną. - Muszę przyznać, że to bardzo imponujące.
- Fantastyczne! - Eddie zaraz zacznie się ślinić. - Obsmażane foie gras! Czy możesz dziś przyrządzić porcyjkę dla nas?
Trish rzuca mu rozzłoszczone spojrzenie.
- Rozumiem, że masz list polecający, Samantho? List polecający?
- Oczywiście, będziemy potrzebować jakichś referencji. -Trish marszczy brwi.
- Proszę porozmawiać z lady Freyą Edgerly - odpowiadam w nagłym przypływie geniuszu.
- Lady Edgerly? - Trish unosi brwi, a na jej szyi zaczynają wykwitać czerwone plamy.
- Znam lady i lorda Edgerly od wielu lat - kiwam głową na potwierdzenie. - Jestem pewna, że lady Edgerly za mnie poręczy.
Trish i Eddie spoglądają na mnie, zelektryzowani tymi wieściami. Może powinnam dodać kilka „gospodarskich" szczegółów?
- Cudowna rodzina - zaczynam koloryzować. - Utrzymanie ich rezydencji w czystości wymagało sporej pracy... podobnie jak polerowanie tiar lady Edgerly.

Cholera. Posunęłam się za daleko.
Ku mojemu zdziwieniu jednak nie zauważam u żadnego z nich nawet cienia podejrzliwości.
- Gotowałaś dla nich, tak? - pyta Eddie. - Śniadania i tak dalej?
- Naturalnie. Lord Edgerly bardzo gustował w mojej specjalności, jajkach Benedict - upijam łyk wody.
Widzę, że Trish próbuje robić porozumiewawcze miny do Eddiego. Chyba wydaje się jej, że jest bardzo dyskretna. Wyraźnie podniecony Eddie potakuje. Równie dobrze mogliby sobie wytatuować na czołach: „Zatrudniamy ją!".
- Jeszcze jedno - Trish zaciąga się głęboko papierosem. -Podczas naszej nieobecności będziesz musiała przyjmować telefony. Zależy nam na utrzymaniu dobrego wizerunku w społeczeństwie. Proszę, zademonstruj, jak będziesz to robiła - wskazuje na telefon na pobliskim stoliku.
Chyba nie mówią tego poważnie! Tyle że... mówią to poważnie.
- Powinnaś powiedzieć: „Dobry wieczór, rezydencja państwa Geigerów" - sugeruje Eddie.
Posłusznie wstaję. Ignorując zawroty głowy, podchodzę do stolika i podnoszę słuchawkę.
- Dobry wieczór, rezydencja państwa Geigerów - mówię najbardziej czarującym, oficjalnym tonem, na jaki mnie stać. -Czym mogę służyć?
Eddie i Trish spoglądają na siebie, jakby nagle dostali gwiazdkę z nieba.

7

Następnego poranka budzę się i widzę nad sobą nieznajomy biały sufit. Wpatruję się weń zdumiona przez kilka chwil, a potem lekko przechylam głowę. Prześcieradło szeleści, kiedy się poruszam. Co się dzieje? Moje prześcieradła nie robią niczego takiego.

No tak, leżę w pościeli Geigerów.
Układam się wygodniej na poduszce i nagle uderza mnie kolejna myśl.
Kim są Geigerowie?
Pocieram twarz, próbując sobie przypomnieć. Czuję się, jakbym miała kaca i jednocześnie wciąż była pijana. Pośród zamglonych myśli pojawiają się ni stąd, ni zowąd przebłyski wspomnień z dnia wczorajszego. Nie jestem pewna, co zdarzyło się naprawdę, a co jest tylko snem. Wsiadłam do pociągu... tak... miałam migrenę... stacja Paddington... wyszłam z biura...
O Boże, nie, błagam!
Mdlącą falą strachu powracają wspomnienia mojego koszmaru. Zupełnie jakby ktoś uderzył mnie w splot słoneczny. Przeoczona notatka. Third Union Bank. Pięćdziesiąt milionów funtów. Pytanie do Guya o moją posadę... jego milczenie.
Leżę nieruchomo przez kilka minut, pozwalam, żeby wróciła mi pamięć wszystkich wczorajszych rewelacji. Moja kariera jest skończona, nie mam szans na wejście do zarządu. Prawdopodobnie straciłam pracę. O ile wiem, wszystko skończone.
Wreszcie odsuwam kołdrę i wychodzę z łóżka, słaba i rozdygotana. Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że wczoraj nie zjadłam nic poza garścią płatków rano. Wczoraj o tej porze byłam w swojej kuchni, szykowałam się do pracy, radośnie nieświadoma tego, co się ma wydarzyć. W innym świecie, w równoległym kosmosie, obudziłabym się dzisiaj wspólnikiem firmy Carter Spink, wśród gratulacji i życzeń powodzenia. Moje życie byłoby spełnione.
Zaciskam mocno oczy, próbując odpędzić od siebie myśli, które natrętnie cisną mi się do głowy, i osłabiające rozważania na temat „co by było, gdyby". Gdybym wcześniej spostrzegła notkę od Arnolda... gdybym miała większy porządek na biurku... gdyby Arnold sam załatwił sprawę, zamiast powierzać ją mi...

Nie, to nie ma sensu. Ignorując dudnienie w głowie, podchodzę do okna. Co się stało, już się nie odstanie. Muszę się z tym jakoś pogodzić. Przyglądam się ogrodowi z poczuciem surrealizmu. Do tej chwili każda godzina mojego życia była dokładnie zaplanowana. Egzaminy, praktyki wakacyjne, kolejne szczeble kariery... wiedziałam dokładnie, dokąd zmierzam. Teraz zaś znalazłam się w dziwnym pokoju, w domu na wsi, a moje życie zawodowe jest zrujnowane.

Poza tym... jest jeszcze coś. Coś, co nie daje spokoju mojemu ogłupiałemu mózgowi. Ostatnia brakująca część łamigłówki. Za chwilę sobie przypomnę.

Opieram czoło o kojąco chłodną szybę i przyglądam się widocznemu na horyzoncie mężczyźnie, który spaceruje z psem. Może da się jeszcze wszystko uratować. Może nie jest aż tak źle, jak sądzę. Czy aby na pewno Guy powiedział, że straciłam pracę? Muszę zadzwonić do niego i zapytać, jak bardzo jest źle. Oddycham głęboko i przesuwam dłonią po splątanych włosach. Boże, ależ mi wczoraj odbiło. Kiedy pomyślę, jak zareagowałam, uciekając z biura, wskakując do pierwszego lepszego pociągu... naprawdę chyba urwałam się z choinki. Gdyby Geigerowie nie okazali mi takiego zrozumienia...

Gonitwa myśli urywa się gwałtownie.

Geigerowie.

Coś związanego z nimi, czego nie pamiętam... coś, co zapala w mózgu czerwone ostrzegawcze światełko...

Odwracam się i rozglądam po pokoju. Na drzwiach szafy dostrzegam niebieską sukienkę, coś w rodzaju uniformu z lamówkami. Skąd się tu wziął...

Dzwonki alarmowe brzęczą coraz głośniej, szaleją w mojej głowie. Nagle wspomnienie powraca do mnie niczym okropny pijacki sen.

Przyjęłam posadę gospodyni domowej?

Przez chwilę nie mogę się poruszyć. O Jezu, co ja zrobiłam?! Co ja najlepszego zrobiłam?!

W mojej głowie zaczyna pulsować ból. Wreszcie zdaję so-

bie sprawę z sytuacji. Znajduję się w domu dziwnej pary i udaję kogoś innego, niż jestem. Spałam w ich łóżku, w jednym ze starych podkoszulków Trish. Po tym, jak wymyśliłam historię o skradzionej w pociągu walizce, podarowali mi szczoteczkę do zębów. Pamiętam, że zanim odpłynęłam w sen, usłyszałam, jak Trish chwali się komuś przez telefon:
- Jest Angielką! Tak, doskonale mówi po angielsku! Świetna dziewczyna. Umie gotować francuskie frykasy!
Muszę im powiedzieć, że to wszystko nieprawda. Ktoś puka. Podskakuję ze strachu.
- Samantho? Mogę wejść?
- Och! Eee... tak!
Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi Trish w bladoróżowym stroju sportowym z logo wypisanym dżetami. Jest umalowana i wyperfumowana jakimś bardzo ciężkim zapachem, od którego dławi mnie w gardle.
- Zrobiłam ci herbatę - mówi, wręczając mi kubek z dość sztucznym uśmiechem. - Pan Geiger i ja chcemy, żebyś poczuła się tu mile widziana.
- Och! - przełykam nerwowo ślinę. - Dziękuję.
Pani Geiger, muszę pani coś powiedzieć. Nie jestem gosposią.
Dziwne, ale żadne słowa nie wychodzą z moich ust. Trish mruży oczy, jakby już zaczęła żałować swojej uprzejmości.
- Oczywiście nie myśl, że będziemy cię tak traktować codziennie! Ponieważ jednak wczoraj nie czułaś się dobrze... -stuka w zegarek. - Zacznij się ubierać. Oczekujemy cię na dole za dziesięć minut. Jemy wyłącznie lekkie śniadania. Tost, kawa i tym podobne. Jadłospis na resztę dnia możemy ustalić później.
- Eee... dobrze - odpowiadam słabo.
Trish zamyka za sobą drzwi. Odstawiam herbatę. Jezu, co ja teraz zrobię? Co?! No co?!
OK, uspokój się. Ustal priorytety. Przede wszystkim musisz zadzwonić do firmy, dowiedzieć się, jak bardzo jest źle.
Czuję spazm strachu. Sięgam do torby i wyciągam telefon

komórkowy. Wyświetlacz jest pusty. Chyba wyczerpała się bateria. Wpatruję się w aparat. Wczoraj pewnie byłam tak nieprzytomna, że zapomniałam go podładować. Wyciągam prostownik, włączam do kontaktu i podłączam do telefonu, który natychmiast zaczyna ciągnąć prąd. Czekam na pojawienie się sygnału... ale nic się nie dzieje. Nie ma zasięgu! Nagle przy

- To zrozumiałe, niemniej zostawiłaś po sobie niezły bałagan.
W jowialnym zachowaniu Arnolda wyczuwam obce pokłady stresu. Arnold nigdy się nie stresuje. Musi być naprawdę źle. Mam ochotę upaść na kolana, pokajać się, krzycząc: „Tak bardzo mi przykro!". Tylko że nikomu to nie pomoże. I tak już zachowałam się wystarczająco nieprofesjonalnie.
- Powiedz... jak wygląda sytuacja? - usiłuję sprawić wrażenie opanowanej. - Czy jest coś, co może zrobić syndyk masy upadłościowej?
- Nie sądzę. Powiedzieli nam, że mają związane ręce.
- Rozumiem. - Odczuwam to niczym uderzenie młotem w żołądek. Zatem wszystko skończone. Pięćdziesiąt milionów funtów poszło do piachu. - Co z ubezpieczeniem?
- To oczywiście kolejny krok. Koniec końców uda się wyciągnąć całą sumę, ale nie bez komplikacji. Myślę, że rozumiesz.
- Tak - szepczę.
Przez kilka minut milczymy. To bardzo złe wiadomości, myślę, czując tępy ból zrozumienia. Tym razem to, co złe, nie wyjdzie na dobre. Spieprzyłam i koniec.
- Arnold - mówię załamującym się głosem. - Nie mam pojęcia, jak mogłam zrobić taką... taką głupią rzecz. Nie rozumiem, jak to się stało. Nie przypominam sobie nawet, żeby te dokumenty leżały na moim biurku...
- Gdzie jesteś? - przerywa mi Arnold.
- Jestem w... - spoglądam bezradnie za okno. - Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie, gdzie jestem, ale mogę przyjechać do firmy. Zaraz wracam - mamroczę. - Wskoczę w najbliższy pociąg... będę za kilka godzin.
- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - w głosie Arnolda słyszę coś nowego, co sprawia, że zatrzymuję się w połowie zdania.
- Czy... czy zostałam zwolniona?
- O tym jeszcze nie rozmawialiśmy - jest chyba rozdrażniony. - Mieliśmy nieco ważniejsze sprawy na głowie.

- Oczywiście - czuję uderzenie krwi do głowy. - Przepraszam, ja tylko... - czuję, jak zaciska mi się gardło. Zamykam oczy, próbując odzyskać samokontrolę. - Pracowałam dla Carter Spink przez całe życie. Nigdy nie pragnęłam niczego innego, jak...
Nie potrafię tego powiedzieć.
- Samantho, wiem, że jesteś utalentowaną prawniczką -wzdycha Arnold. - Nikt w to nie wątpi.
- Ale popełniłam błąd.
Słyszę trzaskanie na linii. Nie, to echo mojego pulsu.
- Samantho, zrobię wszystko, co w mojej mocy - mówi wreszcie Arnold. - Mogę ci powiedzieć, że dziś rano mamy zebranie w twojej sprawie.
- Uważasz, że powinnam się na nim pojawić? - przygryzam wargę.
- W tej chwili mogłoby to przynieść więcej szkody niż pożytku. Zostań tam, gdzie jesteś. Ja się wszystkim zajmę -w jego głosie słyszę wahanie. - Obiecuję, Samantho, zrobię, co w mojej mocy.
- Będę czekać - odpowiadam szybko. - Bardzo ci dziękuję - ale Arnold już się rozłączył. Powoli odkładam słuchawkę.
Nigdy w życiu nie czułam się tak bezsilna. Wyobrażam sobie nagle wszystkich wspólników, siedzących w ponurym nastroju wokół okrągłego stołu konferencyjnego. Arnold, Ket-terman, może nawet Guy zdecydują, co ze mną zrobić. Muszę myśleć pozytywnie. Nadal mam szansę. Jeżeli Arnold jest po mojej stronie, inni będą zbyt...
- Świetna dziewczyna. - Podskakuję na dźwięk głosu Trish. - Oczywiście, że sprawdzę jej referencje, ale, Gillian, doskonale potrafię ocenić charakter. Nie można mnie łatwo oszukać...
Zza rogu wychodzi Trish, rozmawiając przez komórkę. Szybko odsuwam się od telefonu.
- Samantha - mówi zdziwionym głosem. - Co ty robisz? Jeszcze nieubrana? Pospiesz się!
Rusza dalej, ja zaś wycofuję się do swojego pokoju i spo-

glądam na siebie w lustrze. Nagle czuję się źle. Właściwie to bardzo źle. Jak zareagują Geigerowie na wieść, że jestem oszustką? Że nie potrafię gotować francuskich frykasów i w ogóle nie jestem profesjonalną gosposią, tylko chciałam się tu zatrzymać przez noc?
Nagle wyobrażam sobie, jak rozzłoszczeni wypędzają mnie z domu. Będą się czuli wykorzystani. Może nawet wezwą policję, każą mnie aresztować. O Boże, to może się skończyć naprawdę źle. Ale przecież nie mam wyjścia. Nie mogę...
Nie?
Przesuwam palcami po niebieskim uniformie. Myśli wirują w mojej głowie jak na karuzeli.
Byli naprawdę mili, przygarniając mnie wczoraj wieczorem. Poza tym przecież i tak chwilowo nie mam się czym zająć ani gdzie pójść. Może drobne prace gospodarskie pomogą mi zapomnieć o ważniejszych rzeczach... Nagle podejmuję decyzję. Poudaję gosposię do śniadania. To nie może być takie trudne. Przyrządzę im tosty, pościeram kurze z mebli i tak dalej. Będzie to moje podziękowanie za ich gościnność. Po tym, jak Arnold zadzwoni z wieściami, będę miała przekonywające usprawiedliwienie do odejścia, Geigerowie zaś nigdy się nie dowiedzą, że nie jestem gosposią.
Pospiesznie wciągam na siebie uniform i przeczesuję grzebieniem włosy. Potem staję przed lustrem.
- Dzień dobry, pani Geiger - mówię do swojego odbicia. - W jaki sposób życzy sobie pani, żebym odkurzyła salon? Nie ma sprawy, poradzę sobie.
Kiedy schodzę w dół, widzę oboje Geigerów u stóp schodów, wpatrujących się we mnie. Nigdy wcześniej nie czułam się bardziej skrępowana.
Jestem gosposią. Muszę się zachowywać odpowiednio do mojej roli.
- Witamy, Samantho! - mówi Eddie, gdy zstępuję do holu. - Dobrze spałaś?

- Znakomicie, dziękuję, panie Geiger - odpowiadam skromnie.
- To świetnie! - Eddie buja się na piętach. Jest jakiś dziwny. Właściwie to oboje są dziwni. Pod makijażem, opalenizną i drogimi ciuchami Geigerów kryje się coś kuriozalnego.
Podchodzę do ławy pod ścianą i poprawiam poduszkę, starając się sprawić wrażenie starej wyjadaczki.
- Zapewne chcesz zobaczyć swoją nową kuchnię - mówi radośnie Trish.
- Oczywiście - odpowiadam z profesjonalnym uśmiechem. - Nie mogę się doczekać!
To tylko kuchnia. Tylko jeden poranek. Poradzę sobie.
Trish prowadzi mnie do obszernego pomieszczenia, wyposażonego w klonowe meble. Tym razem przyglądam się znacznie uważniej, próbując zapamiętać wszystkie szczegóły. Po lewej stronie widzę wielką płytę palnikową, wbudowaną w granitowy blat. W ścianę wmontowano rząd piekarników. Gdziekolwiek spojrzę, widzę lśniące chromowane urządzenia elektryczne. Nad naszymi głowami wiszą rzędy patelni, garnków i różnorakich utensyliów kuchennych, wszystkie z nierdzewnej stali.
Nie mam bladego pojęcia, do czego służą.
- Oczywiście możesz urządzić się tutaj po swojemu - mówi Trish, wskazując ręką wnętrze. - Zmień co tylko chcesz, ustaw tak, żeby wszystko grało. W końcu jesteś profesjonalistką!
Oboje spoglądają na mnie wyczekująco.
- Naturalnie - odpowiadam urzędowym tonem. - Mam swój własny... system. Na przykład, to nie powinno być tutaj - wskazuję na przypadkowo wybrany gadżet. - Będę musiała to przełożyć.
- Naprawdę? - Trish jest wyraźnie zafascynowana. - Dlaczego?
Zapada cisza. Nawet Eddie wydaje się zainteresowany.
- Teoria... ergonomicznej... kuchni - improwizuję. - Zatem na śniadanie chcieliby państwo tosty? - dodaję szybko.

- Tosty dla nas obojga - mówi Trish. - Plus kawa z chudym mlekiem.
- Zaraz wszystko przyszykują. - Uśmiecham się z lekką ulgą. Na pewno umiem przyrządzić tosty. Muszę się tylko najpierw zorientować, które z tych urządzeń jest opiekaczem.
- Przyniosę wszystko za kilka minut - dodaję, próbując jakoś wypchnąć ich z kuchni. - Czy mam podać w jadalni?
Z holu dobiega nas jakiś hałas.
- Dzisiejsza prasa - mówi Trish. - Tak, możesz podać śniadanie w jadalni, Samantho.
Wychodzi pospiesznie, ale Eddie zostaje.
- Chyba zmieniłem zdanie - uśmiecha się do mnie jowialnie. - Zapomnij o tostach. Zrób mi te twoje słynne jajka Benedict. Przez ciebie wczoraj w nocy nabrałem na nie apetytu!
Wczoraj w nocy? Co takiego powiedziałam wczoraj w...
O Jezu. Jajka Benedict, moja specjalność, uwielbiana przez lorda Edgerly. Co ja sobie myślałam?! Nie mam nawet pojęcia, jak wyglądają jajka Benedict.
- Jest pan pewien, że tego właśnie chce? - udaje mi się zachować spokój.
- Jakże mógłbym zrezygnować ze skosztowania twojego popisowego dania. - Eddie masuje się po żołądku. - To moje ulubione śniadanie. Najlepsze jajka Benedict, jakie jadłem, podają u Carlyle'a w Nowym Jorku, ale założę się, że twoje będą jeszcze lepsze!
- Nie jestem przekonana! - Jakimś cudem udaje mi się uśmiechnąć.
Dlaczego do cholery powiedziałam, że potrafię przyrządzić jajka Benedict? No dobrze, zachowaj spokój. To nie może być trudne. Potrzebuję jajek i... czegoś jeszcze.
Eddie opiera się o granitowy blat, spoglądając na mnie wyczekująco. Mam nieprzyjemne wrażenie, że czeka, aż zacznę gotować. Z wahaniem zdejmuję ze stojaka błyszczący garnek i w tej samej chwili w kuchni pojawia się Trish z naręczem gazet. Przygląda mi się z ciekawością.
- Po co ci garnek do szparagów, Samantho?

Cholera.
- Chciałam tylko... mu się przyjrzeć. Tak - kiwam głową, jakby garnek potwierdził moje podejrzenia, a potem ostrożnie odwieszam go na stojak. Robi mi się coraz bardziej gorąco. Nie mam pojęcia, od czego powinnam zacząć. Mam rozbić te jajka? Ugotować je? Rzucić nimi o ścianę?
- Proszę, oto jajka - Eddie kładzie na blacie ogromne pudełko i otwiera pokrywkę. - Powinno wystarczyć, prawda?
Wpatruję się w rządek brązowych jajek i czuję zawrót głowy. Co ja sobie wyobrażam? Nie potrafię zrobić cholernych jajek Benedict. Nie umiem przyrządzić tym ludziom śniadania. Muszę wszystko wyjaśnić. Odwracam się i nabieram powietrza w płuca.
- Pani Geiger... panie Geiger...
- Jajka? - przerywa mi ostro Trish. - Eddie, nie będziesz jadł jajek! Pamiętasz, co powiedział lekarz? - spogląda na mnie ze zwężonymi oczami. - O co cię prosił? Jajka na miękko?
- Ja... pan Geiger życzył sobie jajek Benedict, aleja...
- W żadnym wypadku nie dostaniesz jajek Benedict! -skrzeczy Trish. - Są pełne cholesterolu!
- Będę jadł to, na co mam ochotę! - protestuje Eddie.
- Lekarz rozpisał dla niego dietę. - Trish wściekle zaciąga się papierosem. - Dziś rano i tak zdążył już pochłonąć całą miskę płatków kukurydzianych!
- Byłem głodny! - broni się Eddie. - Ty wzięłaś sobie czekoladowego muffina!
Trish zachłystuje się, jakby ją właśnie uderzył, a na jej policzkach pojawiają się małe czerwone plamki. Przez kilka chwil nie jest w stanie wydobyć głosu.
- Proszę nam podać kawę, Samantho - rzuca wreszcie tonem pełnym godności. - Możesz ją przynieść do sali telewizyjnej. Użyj różowej porcelany. Eddie, idziemy! - I wychodzi, zanim jestem w stanie cokolwiek powiedzieć.
Rozglądam się po kuchni, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać. To idiotyczne. Nie mogę dłużej bawić się w tą szara-

dę. Muszę tam pójść i powiedzieć im prawdę. Natychmiast. Zdecydowanym krokiem wychodzę z kuchni na korytarz i zatrzymuję się w pół kroku. Zza zamkniętych drzwi małego salonu dobiega mnie świdrujący głos Trish, gromiącej Eddiego niezrozumiałym potokiem słów. Co jakiś czas słyszę jego defensywne pomrukiwania. Szybko wracam do kuchni i nastawiam czajnik. Chyba najprościej będzie, jeżeli zrobię kawę. Dziesięć minut później udaje mi się ustawić na srebrnej tacy różowy czajniczek, filiżanki, dzbanuszek na mleko, cu-kierniczkę i gałązkę różowych kwiatów, którą urwałam z doniczki na zewnątrz okna kuchennego. Jestem z siebie bardzo dumna.
Zatrzymuję się przed drzwiami sali telewizyjnej, odkładam tacę na pobliski stolik i pukam ostrożnie.
- Wejść! - woła Trish.
Kiedy wchodzę, zastaję ją na fotelu przy oknie, z jakimś czasopismem, które trzyma pod dziwacznym kątem. Eddie stoi po drugiej stronie saloniku, przyglądając się drewnianej rzeźbie.
- Dziękuję, Samantho - Trish pochyla lekko głowę, gdy nalewam jej kawy. - To wszystko na razie.
Czuję się, jakbym znalazła się nagle w dziwnym dramacie kostiumowym prosto z Merchant Ivory*, w którym egzotyczne ubrania zastąpiono różowym strojem do jogi i golfem.
- Tak jest, proszę pani - odpowiadam posłusznie, potem zaś pod wpływem głupiego impulsu dygam.
Zapada pełna zdumienia cisza. Oboje Geigerowie wpatrują się we mnie, jakby zobaczyli ducha.
- Samantho... czy ty przed chwilą... dygnęłaś? - pyta w końcu Trish.
Spoglądam na nią zmrożona. Co ja sobie wyobrażałam? Po co dygałam, do jasnej cholery? Pomyśli sobie, że się z niej nabijam. Dzisiejsze gosposie nie dygają. To nie Gosford Park!
* Firma producencka specjalizująca się w ekranizacjach dramatów kostiumowych.

Geigerowie nadal wpatrują się we mnie wyczekująco. Muszę coś powiedzieć.
- Państwo Edgerly życzyli sobie, żebym dygała - czuję, że z zażenowania piecze mnie cała twarz. - To mój nawyk. Bardzo przepraszam, proszę pani. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.
Trish przechyla głowę na bok, coraz bardziej i bardziej, mrużąc przy tym oczy. Przygląda mi się, jakby chciała mnie rozpracować. Przecież musi widzieć, że tylko udaję.
- Podoba mi się to - oznajmia nagle i kiwa głową z satysfakcją. - Tak, zdecydowanie mi się to podoba. Tutaj też możesz dygać.
Co takiego? Mogę co robić?
Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, a ja mam dygać przed kobietą o imieniu Trish? Otwieram usta, żeby zaprotestować - i zaraz je zamykam. Nieważne. To przecież nie jest na serio. Mogę przed nimi podygać przez jedno przedpołudnie.

8

Wychodzę z saloniku, wbiegam po schodach, pędem pokonuję korytarz i wchodzę do swojego pokoju. Sprawdzam komórkę, ale jest dopiero w połowie naładowana, poza tym nie mam pojęcia, gdzie złapać zasięg. Jeżeli Trish rozmawiała przez telefon, to mnie też powinno się udać. Ciekawe, w jakiej jest sieci...
- Samantho?! - woła Trish z dołu. - Samantho?!
Chyba jest czymś zirytowana. Słyszę, jak wchodzi na górę.
- Tak, proszę pani? - szybko wybiegam na korytarz.
- Ach więc tu jesteś! - marszczy brwi. - Czy mogłabyś nie znikać w swoim pokoju w godzinach pracy? Nie chcę za każdym razem po ciebie przychodzić.

- Tak, pani Geiger - odpowiadam. Razem schodzimy na dół i czuję, jak żołądek wywraca mi się na drugą stronę. Na stoliku leży „The Times", otwarty na stronie ekonomicznej. Wielki nagłówek głosi: GLAZERBROOKS POD SEKWESTREM SĄDOWYM.
Przebiegam wzrokiem tekst, podczas gdy Trish zajęta jest szukaniem czegoś w wielkiej białej torbie Chanel. Nie dostrzegam w gazecie wzmianki o Carter Spink. Dzięki Bogu! Najwyraźniej dział do spraw kontaktu z mediami zdołał powstrzymać przeciek informacji.
- Gdzie są moje klucze? - rzuca rozdrażniona Trish. -Gdzie one są? - przegrzebuje torbę coraz gwałtowniej. Wypada z niej złota szminka i ląduje u moich stóp. - Dlaczego rzeczy mają tendencję do znikania?
Chwytam szminkę i wręczam ją Trish.
- Czy pamięta pani, gdzie zgubiła pani klucze, pani Geiger?
- Nie zgubiłam ich - zachłystuje się powietrzem. - Zostały skradzione. To oczywiste. Musimy zmienić wszystkie zamki. Odbiorą nam naszą tożsamość - chwyta się za głowę. - Ci oszuści tylko na to czyhają, wiesz? W „Mail" był na ten temat obszerny artykuł...
- Czy to ten komplet? - dostrzegam breloczek od Tiffa-ny'ego, połyskujący na parapecie. Chwytam go i wręczam Trish pęk kluczy.
- Tak! - Trish jest zaskoczona - Tak, to one! Samantho, jesteś wspaniała! Jakim cudem je znalazłaś?
- Bez problemu - wzruszam skromnie ramionami.
- Jestem pod wrażeniem! - spogląda na mnie znacząco. -Opowiem to panu Geigerowi.
- Tak, proszę pani - odpowiadam, starając się zawrzeć w swoim głosie nutę ogromnej wdzięczności. - Dziękuję.
- Pan Geiger i ja za chwilę wychodzimy - ciągnie Trish, wyciągając dezodorant i spryskując się nim obficie. - Proszę, przygotuj na pierwszą po południu lekki lunch z kanapek i sprzątnij pomieszczenia na parterze. O obiedzie porozma-

wiamy później - odwraca się na pięcie. - Muszę powiedzieć, że oboje jesteśmy pod wrażeniem twojego menu z foie gras.
- Och... eee... miło mi.
Wszystko w porządku. Do tego czasu już mnie tu nie będzie.
- A teraz - Trish poprawia włosy po raz kolejny. - Pozwól ze mną do salonu.
Posłusznie drepczę za nią. Podchodzimy do kominka.
- Zanim wyjdę, a ty zabierzesz się do odkurzania, chciałabym, abyś zapoznała się z ustawieniem ozdób - mówi Trish, wskazując na rząd porcelanowych figurek stojących na gzymsie. - Niełatwo to zapamiętać. Z jakiegoś powodu sprzątaczki nigdy nie odstawiały ich na miejsce, dlatego proszę, skoncentruj się.
Posłusznie spoglądam na kominek.
- To ważne, żeby te pieski były do siebie zwrócone pyskami - Trish pokazuje parę spanieli rasy King Charles. - Widzisz? Nie spoglądają na pokój, tylko na siebie.
- Na siebie - powtarzam, kiwając głową. - Oczywiście.
- Twarze pasterek z kolei muszą być zwrócone lekko na zewnątrz, rozumiesz? Na zewnątrz - mówi powoli i wyraźnie, jakbym miała inteligencję opóźnionej w rozwoju trzylatki.
- Na zewnątrz - powtarzam usłużnie.
- Zrozumiałaś? - Trish spogląda na mnie uważnie. -Sprawdźmy. Jak mają stać psy? - mówiąc to, zasłania ręką gzyms.
Nie mogę w to uwierzyć. Ona mnie testuje.
- Porcelanowe pieski. W którą stronę patrzą? - powtarza pytanie.
O Boże. Nie mogę się powstrzymać.
- Mmm... - przez kilka chwil udaję, że się zastanawiam. -Na zewnątrz?
- Na siebie! - wykrzykuje zirytowana Trish. - Spoglądają na siebie!
- Och, tak - mówię przepraszająco. - Oczywiście. Przepraszam. Teraz już wiem.

Trish zamyka oczy i przykłada dwa palce do skroni, jakby stres spowodowany taką drobnostką był dla niej zbyt wielkim obciążeniem.
- Nieważne - mówi wreszcie. - Jutro spróbujemy znowu.
- Zabiorę tackę do kawy - sugeruję skromnie. Chwytając ją, zerkam na zegarek. Dwanaście po dziesiątej. Ciekawe, czy zaczęli już zebranie.
Zapowiada się poranek nie do wytrzymania.
Do jedenastej trzydzieści zamieniam się w kłębek nerwów. Komórka już się doładowała, w kuchni znalazłam zasięg mojej sieci, ale nikt do mnie nie zadzwonił. Nie dostałam też żadnej wiadomości, chociaż sprawdzałam telefon co minutę.
Załadowałam zmywarkę i po zaledwie pięćdziesięciu podejściach udało mi się ją włączyć. Odkurzyłam też porcelanowe pieski chusteczką. Poza tym, większą część czasu spędziłam przemierzając kuchnię w tę i we w tę.
Niemal natychmiast poddałam się z robieniem kanapek na „lekki lunch". Pokroiłam chyba ze dwa bochenki chleba, w rezultacie czego uzyskałam dziesięć ogromnych, grubych kromek, każda bardziej nierówna niż poprzednia. Reszta chleba zamieniła się w morze okruszków. Bóg jeden wie, co takiego robiłam źle. Pewnie nóż był niedobry.
Mogę jedynie podziękować niebiosom za książkę telefoniczną i usługi cateringowe. No i oczywiście za kartę American Express. Trish i Eddie będą mieli swój „wykwintny lunch kanapkowy" dostarczony przez Cotswold Caterers. Kosztowało mnie to jedyne 45,50 funta, chociaż zapłaciłabym dwa razy więcej. Szczerze mówiąc, nawet i dziesięć razy więcej.
Teraz siedzę na krześle, z dłonią zaciśniętą nerwowo na komórce, spoczywającej w kieszeni. Modlę się, żeby zadzwoniła, a jednocześnie jestem przerażona samą myślą o tym.
Wreszcie nie mogę znieść już dłużej tego napięcia. Muszę zrobić coś, cokolwiek, żeby się odprężyć. Jednym szarpnięciem otwieram lodówkę Geigerów i wyciągam butelkę białego wina. Nalewam sobie kieliszek i opróżniam go dusz-

kiem. Właśnie zamierzam nalać sobie drugą porcję, kiedy czuję dziwne mrowienie na karku. Zupełnie jakby... jakby ktoś mnie obserwował.
Odwracam się i niemal wyskakuję ze skóry. W drzwiach kuchennych stoi mężczyzna. Jest wysoki, barczysty, bardzo opalony, ma intensywnie niebieskie oczy i lekko kręcone zło-tobrązowe włosy z rozjaśnionymi końcówkami. Ubrany jest w stare dżinsy, podarty podkoszulek i najbardziej ubłocone buty na świecie.
Spogląda pełnym zwątpienia wzrokiem na niezgrabne, pokruszone kromki chleba na blacie, a potem na kieliszek wina.
- Hej - mówi wreszcie. - Czy to ty jesteś nową profesjonalną gosposią z dyplomem kucharskim?
- No... tak! - wygładzam uniform. - To ja. Mam na imię Samantha. Witaj.
- Jestem Nathaniel - wyciąga dłoń, a ja po chwili wahania ściskam ją na przywitanie. Jego ręka pokryta jest twardą i chropowatą skórą, która przypomina w dotyku korę. - Jestem ogrodnikiem Geigerów. Zapewne będziesz chciała omówić ze mną kwestię warzyw.
Spoglądam na niego niepewnie. Dlaczego niby miałabym z nim rozmawiać o warzywach?
Nathaniel opiera się o framugę i krzyżuje ręce, ja zaś nie mogę nie zauważyć, jak masywne są jego przedramiona. Nigdy przedtem nie spotkałam mężczyzny z takimi rękami. W moim prawniczym świecie tacy nie istnieją.
- Mogę wyhodować praktycznie wszystko - ciągnie. -Oczywiście sezonowo. Po prostu powiedz, co by cię interesowało.
- Och, warzywa - mówię, nagle zdając sobie sprawę, o czym mówi. - Do gotowania. Hmm... tak, zdecydowanie będę ich potrzebowała.
- Powiedziano mi, że szkolił cię jakiś mistrz kucharski uznany przez Michelina - marszczy brwi. - Nie mam pojęcia, jakich wymyślnych warzyw zechcesz używać, ale zrobię, co

w mojej mocy - wyciąga mały, umazany błotem notatnik i ołówek. - Jakich roślin krzyżowych będziesz używała? Krzyżowych?
Co to są rośliny krzyżowe?
Pewnie to jakiś rodzaj warzywa. Gorączkowo przeszukuję swój umysł, ale widzę tylko rząd krzyży rosnących na wielkiej grządce.
- Muszę sprawdzić mój jadłospis - mówię wreszcie z profesjonalnym skinieniem głowy. - Dam ci odpowiedź później.
- Ale generalnie czego używasz najczęściej? - spogląda na mnie. - Żebym wiedział, co mam posadzić.
O Boże. Nie śmiem wymienić żadnej nazwy w obawie przed popełnieniem pomyłki..
- Używam... różnych - uśmiecham się do niego. - Wiesz, jak to jest z krzyżowymi. Czasem masz ochotę na jedną, a czasem na... zupełnie inną!
Nie mam pojęcia, czy zabrzmiało to przekonywająco. Nathaniel jest skonsternowany.
- Niedługo będę zamawiał pory - mówi powoli. - Którą odmianę wolisz? Albinstar czy bleu de solaise?
Wpatruję się w niego, czując, jak na mojej twarzy pojawiają się rumieńce. Kompletnie nie wiem, o czym mówi.
- Raczej... hmm... tę pierwszą - mówię wreszcie. - Ma dobre walory... smakowe.
Nathaniel odkłada notatnik i przygląda mi się przez chwilę. Przesuwa wzrok na kieliszek. Nie jestem pewna, o czym mówi jego wyraz twarzy.
- Właśnie miałam wlać wino do sosu - rzucam pospiesznie. Nonszalancko chwytam garnek ze stojaka, stawiam na kuchence i wlewam wino. Wsypuję trochę soli, a potem mieszam drewnianą łyżką. Dopiero po chwili zdobywam się na odwagę, żeby rzucić spojrzenie Nathanielowi. Przygląda mi się z niedowierzaniem.
- Powiedziałaś, że gdzie uczyłaś się gotować? - pyta.
- U... u francuskiego mistrza kuchni. - Moje policzki płoną. Dodaję jeszcze szczyptę soli do wina i mieszam szybko.

- Nie włączyłaś palnika - zauważa Nathaniel.
- To zimny sos - odpowiadam, nie podnosząc głowy. Nadal mieszam przez chwilę, a potem odkładam łyżkę. - Teraz zostawię to, żeby... się zamarynowało - wreszcie spoglądam na niego. Nadal opiera się o framugę, obserwując mnie w milczeniu. W jego błękitnych oczach widzę coś, od czego ściska mnie w gardle.
On wie. Wie, że jestem oszustką.
Proszę, nie mów Geigerom, proszę go w myślach. Błagam. Niedługo mnie tu nie będzie.
- Samantho? - Trish wsadza głowę do kuchni. Podskakuję nerwowo. - Och, poznałaś już Nathaniela! Opowiedział ci o naszym ogródku warzywnym?
- Eee... tak. - Nie mogę na niego spojrzeć. - Opowiedział.
- Wspaniale! - zapala papierosa. - Wróciliśmy już z panem Geigerem i zjemy lunch za dwadzieścia minut.
Spoglądam z zaskoczeniem. Dwadzieścia minut? Przecież jest dopiero dziesięć po dwunastej. Ludzie z cateringu nie pojawią się tu przed pierwszą.
- Czy zechcieliby państwo najpierw się czegoś napić? -pytam desperacko.
- Nie, dziękuję, podaj tylko kanapki. Właściwie to jesteśmy dość głodni, więc gdybyś mogła się pospieszyć...
- Oczywiście - przełykam głośno ślinę. - Nie ma problemu!
Gdy Trish wychodzi, automatycznie dygam. Od strony Nathaniela dobiega mnie coś w rodzaju parsknięcia.
- Ty dygasz - mówi.
- Tak, dygam - odpowiadam wyzywającym tonem. - Czy widzisz w tym coś złego?
Wzrok Nathaniela spoczywa na pokruszonych, niezgrabnych kromkach chleba, leżących na desce.
- To ma być lunch? - pyta.
- Nie, to nie jest lunch! - odcinam się, zdenerwowana. -Czy mógłbyś wyjść z kuchni? Potrzebuję przestrzeni do pracy.

Nathaniel unosi brwi.
- W takim razie do zobaczenia. Powodzenia z sosem -kiwa głową w kierunku garnka z winem.
Kiedy zamyka za sobą drzwi, czym prędzej wyciągam z kieszeni komórkę i dzwonię do firmy cateringowej. Niestety, odzywa się tylko automatyczna sekretarka.
- Dzień dobry - mówię bez tchu po sygnale. - Zamawiałam wcześniej kanapki, ale potrzebuję ich już teraz, jak najszybciej. Dziękuję.
Odkładając telefon, zdaję sobie sprawę, że to bezowocne wysiłki. Ludzie z cateringu nigdy nie pojawią się na czas. Geigerowie czekają.
Rośnie we mnie determinacja. Dobrze, zrobię to! Potrafię przyrządzić kilka kanapek.
Szybko chwytam dwie najrówniejsze kromki chleba, biorę nóż i zaczynam obcinać skórkę, aż zmniejszają się do mikroskopijnych rozmiarów. Mimo to wyglądają w miarę dobrze. Odkrawam porcję masła stojącego w naczyniu obok i próbuję rozsmarować na kromce, rozdzierając ją przy tym na pół.
Cholera!
Nie szkodzi, skleję ją jakoś. Nikt nie zauważy.
Otwieram kredens i rozpaczliwie przebieram w słoikach... musztarda... sos miętowy... dżem truskawkowy. Wybór jest prosty. Kanapki z dżemem, angielski klasyk. Pospiesznie smaruję jedną kromkę dżemem, na drugą nakładam więcej masła i składam obie razem. Odsuwam się na krok i przyglądam swemu dziełu.
Kompletna porażka. Spomiędzy nie do końca kwadratowych kromek wycieka dżem. Nigdy w życiu nie widziałam bardziej odrażającej kanapki. Absolutnie nie mogę jej zaserwować Geigerom. Zrezygnowana, powoli odkładam nóż na blat. To koniec. Przyszedł czas na złożenie rezygnacji. Wpatruję się w upaćkaną dżemem tragedię i czuję rozczarowanie sama sobą. Myślałam, że uda mi się przetrwać chociaż do popołudnia.

Z rozmyślań wyrywa mnie pukanie. Odwracam się szybko i widzę, że przez okno kuchenne zagląda do środka dziewczyna w błękitnej aksamitnej opasce na włosy.
- Dzień dobry - mówi. - Czy to pani zamawiała kanapki dla dwudziestu osób?
Wszystko dzieje się tak szybko. Przed chwilą stałam jeszcze, bezradnie przyglądając się dżemowo-chlebowej fuszerce, a teraz dwie kobiety w zielonych fartuszkach wnoszą do kuchni kolejne półmiski pełne profesjonalnie wykonanych kanapek.
Pięknie ukrojone kromki białego i ciemnego chleba, poukładane są w zgrabne piramidki, przybrane gałązkami świeżych ziół i plasterkami cytryny. Są tam nawet malutkie chorągiewki z wypisanym składem nadzienia.
Tuńczyk, mięta i ogórek. Wędzony łosoś, ser topiony i kawior. Kurczak po tajlandzku i rokietta.
- Bardzo przepraszam za tę pomyłkę z ilością - mówi dziewczyna w błękitnej opasce, podsuwając mi rozliczenie do podpisu. - Naprawdę wyglądało to jak dwadzieścia, a że zazwyczaj nie dostajemy zamówień dla dwojga ludzi...
- Nie ma sprawy! - odpowiadam, niemal wypychając ją za drzwi. - Naprawdę nie szkodzi. Po prostu obciążcie za to moje konto.
Wreszcie zamykają się za nimi drzwi, a ja rozglądam się po kuchni, kompletnie oszołomiona. Nigdy w życiu nie widziałam tylu kanapek naraz. Talerze zajmują niemal wszystkie stoły i blaty. Musiałam nawet postawić kilka na kuchence.
- Samantho? - słyszę zbliżającą się Trish.
- Eee... chwileczkę - podbiegam do drzwi, starając się zablokować widok.
- Jest już pięć po pierwszej - mówi nieco ostrym tonem. -Prosiłam chyba wyraźnie o... - przestaje mówić, kiedy staje w drzwiach. Na jej twarzy widać zdumienie. Odwracam się i spoglądam w tym samym kierunku, na morze kanapek.
- Mój Boże! - wreszcie udaje jej się odzyskać głos. -To... niezwykłe imponujące!

- Nie byłam pewna, z czym chcielibyście państwo kanapki - mówię. - Oczywiście następnym razem nie przygotuję aż tylu...
- Och! - Trish jest chyba nieco zagubiona. Podnosi jedną z chorągiewek i odczytuje na głos: „krwista wołowina, sałata i chrzan". - Spogląda na mnie ze zdumieniem. - Nie kupowałam wołowiny od tygodni! Skąd ją wzięłaś?
- No... z zamrażarki?
Zaglądałam do niej wcześniej i znalazłam tam tyle jedzenia, że można by nim przez tydzień karmić mieszkańców małego afrykańskiego państwa.
- No jasne! - Trish cmoka z zadowoleniem. - Sprytna z ciebie dziewczyna!
- Nałożę dla państwa po kilka kanapek z każdego rodzaju i zaraz przyniosę do oranżerii.
- Wspaniale. Nathaniel! - Trish puka w okno. - Chodź, poczęstujesz się!
Staję jak wryta. Nie. Tylko nie on.
- Przecież nie możemy pozwolić, żeby się zmarnowały, prawda? - Trish unosi brwi. - Samantho, jeżeli miałabym coś krytykować, to jedynie tę... rozrzutność. Nie to, że jesteśmy biedni - dodaje nagle. - Nie chodzi o to.
- Oczywiście, proszę pani.
- Nie lubię rozmawiać o pieniądzach - Trish ścisza nieco głos. - To bardzo wulgarne, niemniej...
- Pani Geiger?
W drzwiach prowadzących do kuchni znów pojawia się Nathaniel, z zabłoconą łopatką w ręku.
- Chodź, poczęstuj się jedną z pysznych kanapek Saman-thy! - wykrzykuje Trish, wskazując na kuchnię. - Popatrz tylko! Czyż nie jest wspaniała?
Następuje długa chwila milczenia, podczas której Nathaniel przygląda się piętrzącym się stertom kanapek. Nie potrafię mu spojrzeć w oczy. Znowu strasznie pieką mnie policzki. Chyba zaraz zwariuję. Znajduję się w kuchni, w domu stojącym w szczerym polu, w niebieskim nylonowym uniformie,

udając gosposię, która czarodziejskim sposobem potrafi wyczarować kanapki z niczego.
- Niezwykłe - mówi wreszcie Nathaniel.
Zbieram się na odwagę i spoglądam na niego. Przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami, jakby nie potrafił mnie rozszyfrować.
- Nie zajęło ci to dużo czasu - mówi wreszcie, z lekkim pytaniem w głosie.
- Potrafię być bardzo szybka, kiedy muszę - uśmiecham się do niego blado.
- Samantha jest niesamowita! - wykrzykuje Trish, wgryzając się chciwie w jedną z kanapek. - A na dodatek taka porządna! Spójrz na tę lśniącą kuchnię!
- Najlepsza szkoła - odpowiadam skromnie.
- Och! - Trish wpycha kolejną kanapkę do ust i niemal osuwa się na podłogę z rozkoszy. - Ten kurczak po tajlandzku jest boski!
Ukradkiem ściągam jedną kromkę z piramidki i odgryzam kęs. Cholera, naprawdę niezły, myślę sobie.
Do wpół do trzeciej kuchnia jest wysprzątana. Trish i Eddie zdołali wtrząchnąć ponad połowę kanapek i gdzieś pojechali. Nathaniel jest w ogrodzie, a ja przechadzam się po kuchni z łyżką w dłoni, co trzydzieści sekund spoglądając na zegarek.
Niedługo powinien zadzwonić Arnold. Minęły już całe wieki.
Nie potrafię myśleć o niczym innym. Mój umysł stał się ciasnym, jednotorowym tunelem i dbam już tylko o to, co zobaczę na jego końcu.
Wyglądam za okno. Mały brązowy ptaszek wydziobuje coś z ziemi. Odwracam się i siadam na krześle, zapatrzona w stół. Obsesyjnie przesuwam kciukiem po gładkim, wypolerowanym drewnianym blacie.
Popełniłam jeden błąd. Jeden. Inni ludzie mogą robić więcej pomyłek, takie są zasady. A może nie? Już sama nie wiem.

Nagle czuję wibrowanie telefonu. W piersi eksploduje mi kula przeraźliwego strachu. Potwornie trzęsącą się dłonią wyciągam komórkę z kieszeni. Identyfikator wskazuje, że dzwoni Guy. Oddycham głęboko i odbieram.
- Guy? - usiłuję mówić z pewnością siebie, ale z mojego gardła wydobywa się piskliwy, wystraszony głosik.
- Samantha, to ty? - Guy jest niczym burza gradowa. -Gdzie ty się do cholery podziewasz? Dlaczego cię tutaj nie ma? Nie dostałaś moich mejli? '*
- Nie wzięłam ze sobą palmtopa - odpowiadam, wytrącona z równowagi. - Dlaczego nie dzwoniłeś?
- Próbowałem, ale nie odpowiadałaś! Potem byłem na spotkaniach, ale cały czas wysyłałem do ciebie mejle... Sa-mantho, na Boga, gdzie ty jesteś?! Powinnaś być tutaj, w biurze, a nie ukrywać się w jakiejś norze!
Jestem wstrząśnięta. Ukrywać się?
- Ale... ale przecież Arnold powiedział, żebym się nie pojawiała! Powiedział, że tak będzie najlepiej! Kazał mi zostać na miejscu i obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy...
- Czy masz pojęcie, jak to wygląda? - przerywa mi bezpardonowo Guy. - Najpierw ci odbija, potem znikasz z horyzontu. Ludzie mówią, że pomieszało ci się w głowie, że załamałaś się nerwowo... krążą nawet plotki o tym, że uciekłaś z kraju...
Prawda uderza we mnie falą gorącej, zapierającej dech w piersiach paniki. Nie mogę uwierzyć, że tak fatalnie wszystko rozegrałam, że okazałam się taką idiotką. Co ja tu robię, siedząc w tej kuchni, dziesiątki kilometrów od Londynu?
- Powiedz im, że zaraz przyjeżdżam - jąkam się. - powiedz Kettermanowi, że za chwilę tam będę... zaraz złapię pociąg...
- Może być za późno - Guy jest ponury, ma wyraźne wątpliwości. - Samantho, ludzie gadają o tobie różne historie.
- Historie? - serce wali mi w piersi tak mocno, że z trudem wypowiadam kolejne słowa. - Jakie znów historie?

Nie mogę tego znieść. Czuję się tak, jakby mój samochód nagle zjechał z drogi, zupełnie bez mojej woli, jakbym nie mogła go zatrzymać. Myślałam, że wszystko jest pod kontrolą, że zostając tutaj i pozwalając Arnoldowi wstawić się za mną, robię właściwą rzecz.
- Podobno ludzie twierdzą, że nie można na tobie polegać - mówi wreszcie Guy. - Że to nie był pierwszy raz, że pomyłki zdarzały ci się już wcześniej.
- Pomyłki? - zrywam się na równe nogi, krzycząc, jakby mnie obdzierano ze skóry. - Kto tak powiedział? Nigdy przedtem nie popełniłam żadnego błędu! O czym oni opowiadają?
- Nie wiem. Nie byłem na zebraniu... Skoncentruj się. Czy kiedykolwiek wcześniej popełniłaś jakiś błąd? Skoncentruj się?
Wpatruję się z osłupieniem w telefon. Nie mogę w to uwierzyć. Guy we mnie wątpi?
- Nigdy - mówię, starając się zachować spokój. - Nigdy, rozumiesz? Żadnych pomyłek! Jestem dobrym prawnikiem. Jestem dobrym prawnikiem. - Nagle, ku własnemu zdziwieniu czuję, że po policzkach spływają mi łzy. - Nie załamałam się nerwowo! Wiesz o tym doskonale, Guy.
Zapada nerwowa cisza. Niewypowiedziane słowa zawisają między nami niczym wyrok. Popełniłam błąd.
- Guy, nie wiem, jakim cudem przeoczyłam dokumentację dotyczącą Glazerbrooks - zaczynam mówić coraz szybciej i szybciej. - Nie wiem, jak to się stało. To nie ma sensu. Wiem, że na moim biurku jest bałagan, ale mam swój system, do cholery! Nigdy nie omijam takich rzeczy. Po prostu nie...
- Samantho, uspokój się.
- Jak mogę się uspokoić? - nieomal wyję. - Chodzi o moje życie! Moje całe życie! Wszystko co mam! - Wycieram łzy z twarzy. - Nie zamierzam tego stracić. Przyjeżdżam, natychmiast.
Wyłączam telefon. Narasta we mnie panika. Powinnam była wrócić. Powinnam była pojechać do firmy od razu, za-

miast tracić tutaj czas. Nie wiem, o której odjeżdżają stąd pociągi, ale nie obchodzi mnie to. Muszę się stąd wydostać. Chwytam kartkę papieru, ołówek i piszę:
Szanowna Pani Geiger,
Obawiam się, że muszę zrezygnować z posady gospodyni w Pani domu. Chociaż czas spędzony z Państwem był niezwykle miły
M
Daj spokój. Nie ma czasu na takie bzdury. Muszę wyjść w tej chwili. Kładę kartkę na stole i ruszam w kierunku drzwi. Nagle się zatrzymuję. Nie mogę wyjść, pozostawiając list urwany w połowie z dania. Będzie to za mną chodziło przez całą resztę dnia.
Chociaż czas spędzony z Państwem był niezwykle miły, wydaje mi się, że potrzebuję nowego wyzwania. Bardzo dziękuję za Państwa dobroć.
Z wyrazami szacunku
Samantha Sweeting
Odkładam ołówek i odsuwam krzesło. Kiedy jestem przy drzwiach, mój telefon znów wibruje. Guy, myślę natychmiast. Sięgam po słuchawkę i już zamierzam odebrać połączenie, kiedy spoglądam na identyfikator. To nie Guy.
Dzwoni Ketterman.
Wzdłuż kręgosłupa pełznie zimno. Wpatruję się w nazwisko na wyświetlaczu i czuję strach, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłam. To jak dziecięcy koszmar. Wszystko we mnie mówi, żebym nie odbierała. Tylko że jest już za późno. Nacisnęłam guzik. Powoli przykładam telefon do ucha.
- Halo?
- Samantha? Mówi John Ketterman.
- Tak - odpowiadam schrypniętym ze strachu głosem. -Witam.
Następuje długa przerwa. Wiem, że powinnam teraz coś

powiedzieć, ale sparaliżowało mnie. Gardło mam wypchane watą, nie potrafię znaleźć odpowiednich słów. Wszyscy wiedzą, jak bardzo Ketterman pogardza przeprosinami, wymówkami i tłumaczeniem.
- Samantho, dzwonię, żeby cię poinformować, iż twój kontrakt z firmą Carter Spink został zerwany.
Krew odpływa mi z twarzy.
- Wysłałem już list ze szczegółowymi wyjaśnieniami tej decyzji - ciągnie Ketterman formalnym, bezosobowym tonem. - Poważne zaniedbanie połączone z nieprofesjonalnym zachowaniem. Rozliczenie podatkowe zostanie ci wysłane przez kadry. Twoja przepustka została anulowana. Prosiłbym, abyś nie pojawiała się więcej w budynku naszej firmy.
To za szybko. To wszystko dzieje się za szybko.
- Proszę, nie... - wyrzucam z siebie desperacko. - Proszę mi dać jeszcze jedną szansę. Popełniłam tylko jeden błąd. Jedną szansę.
- Prawnicy w Carter Spink nie popełniają błędów, Samantho, a tym bardziej nie uciekają przed odpowiedzialnością.
- Wiem, że postąpiłam źle. Naprawdę wiem - cała się trzęsę. - Po prostu byłam w takim szoku... nie myślałam jasno...
- Naraziłaś na szwank reputację firmy i swoją. - Ketterman mówi głośniej, jakby rozmawiało mu się coraz trudniej.
-Przez twoje zaniedbanie nasz klient stracił pięćdziesiąt milionów funtów, ty zaś uciekłaś bez wyjaśnienia. Chyba nie oczekiwałaś innego zakończenia tej historii, prawda?
Znów zapada długa cisza. Przyciskam czoło do wnętrza dłoni, mocno, bardzo mocno. Próbuję skoncentrować się na oddychaniu. Wdech, wydech. Wdech, wydech.
- Nie - szepczę wreszcie.
To koniec. To naprawdę koniec.
Ketterman zaczyna uprzednio przygotowaną gadkę o spotkaniu z działem personalnym, ale ja już nie słucham.
Kuchnia wiruje wokół mnie i nie mogę złapać oddechu.
To koniec. Cała moja kariera, wszystko, na co pracowałam

od dwunastego roku życia, przepadło. W ciągu dwudziestu czterech godzin zrujnowałam sobie życie. W końcu dochodzi do mnie, że Ketterman się rozłączył. Wstaję i zataczając się, podchodzę do lśniącej lodówki. Przyglądam się swojemu szarozielonemu odbiciu. Moje oczy są niczym dwie ogromne, wypalone dziury.
Nie wiem, co robić. Nie wiem, od czego zacząć. Przez długą, długą chwilę stoję tak, wpatrując się w swoją twarz, aż wszystko przestaje mieć jakikolwiek sens, aż wirujący wokóf mnie świat się rozmywa.
Zwolniona z pracy, dźwięczy w moich uszach. Zostałam zwolniona z pracy. Mogę teraz przejść na zasiłek. Sama myśl
o tym wywołuje bolesny śmiech. Wyobrażam sobie, jak stoję w kolejce dla bezrobotnych, razem z facetami z *Goło i wesoło,* poruszając biodrami do melodii *Hot Stuff.*
Nagle słyszę odgłos klucza przekręcanego w zamku drzwi wejściowych. Moim oczom powraca ostrość widzenia. Odsuwam się od lodówki. Nie mogą mnie zastać w takim stanie. Nie zniosę wypytywania ani współczucia. Poza tym się boję, że po prostu zacznę płakać i nigdy nie przestanę. Sięgam na oślep po ściereczkę i zaczynam nią zakreślać bezsensowne kółka na blacie. Potem mój wzrok pada na list do Trish, wciąż leżący na stole. Chwytam go, zgniatam w kulkę i wrzucam do kosza. Później. Zrobię to później. W tej chwili nie wiem, czy potrafiłabym z siebie wydobyć choć jedno rozsądne zdanie, nie wspominając o przemówieniu na okoliczność rezygnacji z pracy.
- Tu jesteś! - Trish wtacza się do kuchni ze stukotem drewnianych obcasów i trzema wypchanymi siatami na zakupy.
- Samantha! - zatrzymuje się na mój widok. - Wszystko w porządku? Znowu masz migrenę?
- Ja... czuję się dobrze - odpowiadam trzęsącym się głosem. - Dziękuję.
- Wyglądasz okropnie! Mój Boże, musisz zażyć jakieś lekarstwa!
- Ja naprawdę...

- No już! Ja też sobie łyknę. Czemu nie? - dodaje radośnie. - A teraz usiądź, a ja zrobię ci filiżankę herbaty.
Rzuca siatki na ziemię i włącza czajnik, a potem zaczyna szperać w swoim ulubionym pudełku w poszukiwaniu tabletek.
- Te ci pomogły, prawda? - mówi, wyciągając pigułki, którymi poczęstowała mnie wczoraj
- Chyba wolałabym wziąć dzisiaj aspirynę - odpowiadam szybko. - Oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.
- Jesteś pewna? - Podaje mi szklankę wody i dwie tabletki aspiryny. - A teraz usiądź i odpręż się. Nawet nie myśl o robieniu czegokolwiek! Masz czas do kolacji - dodaje po namyśle.
- Jest pani bardzo miła - udaje mi się wykrztusić. I nagle uświadamiam sobie, że naprawdę tak myślę. Uprzejmość Trish może jest nieco wypaczona, ale na pewno nieudawana.
- Proszę. - Stawia przede mną filiżankę herbaty i przez chwilę przygląda mi się uważnie. - Tęsknisz za domem? -pyta wreszcie z triumfem w głosie, jakby udało jej się rozwiązać jakąś niezwykłą zagadkę. - Nasza gosposia z Filipin czasem była bardzo smutna, ale zawsze jej powtarzałam, rozchmurz się, Manuela! - przerywa nagle, jakby zdziwiona. - Potem okazało się, że naprawdę ma na imię Paula. Przedziwne.
- Nie tęsknię za domem - odpowiadam, przełykając herbatę. Myśli trzepoczą w mojej głowie jak skrzydła oszalałego motyla. Co ja teraz zrobię?
Wrócę do domu.
Sama myśl o powrocie do kamienicy, w której mieszka również Ketterman, sprawia, że czuję mdłości. Nie mogę stanąć z nim twarzą w twarz. Nie potrafię. Zadzwonię do Guya. Na pewno mnie u siebie przyjmie. Mają duży dom w Islington z wieloma pokojami gościnnymi. Zostawałam już u nich na noc. A potem... sprzedam mieszkanie i znajdę pracę.
Jaką pracę?
- To cię rozweseli. - Głos Trish przerywa moje rozmyśla-

nia. Ze źle ukrywaną radością klepie siatki z zakupami. - Po twoim niesamowitym popisie kulinarnym w porze lunchu... poszłam na zakupy i mam dla ciebie niespodziankę! Na pewno się ucieszysz!
- Niespodziankę? - spoglądam na nią przerażona. Trish zaczyna wyciągać z siatki kolejne paczki.
- Foie gras... ciecierzyca... łopatka jagnięca... - rzuca kawał mięsa na stół, spogląda na mnie wyczekująco, a potem cmoka niecierpliwie na widok mojej zaskoczonej miny#-Składniki do twojego menu! Jeżeli nie masz nic przeciwko, zjemy obiad o ósmej.

9

Wszystko będzie w porządku.

Powtarzam to sobie tyle razy, że musi to być prawda. Wiem, że powinnam zadzwonić do Guya. Kilka razy się do tego przymierzałam, trzymałam telefon w dłoni. Zawsze jednak powstrzymywało mnie updkorzenie. To prawda, jest moim przyjacielem, najbliższą mi osobą z całej firmy, ale to mnie wyrzucono z pracy. To ja okryłam się hańbą, nie on.

W końcu siadam, pocieram twarz i usiłuję zebrać się w sobie. Przecież to Guy. Na pewno chce, żebym się do niego odezwała. Pomoże mi, bez wątpienia. Otwieram klapkę telefonu i wybieram numer. Chwilę później słyszę na korytarzu coraz głośniejsze stukanie drewnianych obcasów. Trish. Wyłączam telefon, wrzucam go do kieszeni i sięgam po brokuły.

- Jak ci idzie? - pyta Trish od progu. - Jakieś postępy? -Wchodzi do kuchni i z zaskoczeniem konstatuje, że siedzę dokładnie w tym samym miejscu, w którym mnie zostawiła. -Wszystko w porządku?
- Ja tylko... po prostu szacuję składniki - improwizuję. -Wyczuwam je.

W tym momencie obok Trish pojawia się nieznajoma far-

bowana blondynka w zdobionych dżetami okularach przeciwsłonecznych zatkniętych na czubku głowy. Przygląda mi się z ogromnym zainteresowaniem.
- Jestem Petula - oznajmia. - Jak się masz?
- Petula właśnie skosztowała twoich kanapek - wtrąca się Trish. - Uważa, że były fantastyczne.
- Słyszałam opowieści o twoim foie gras w glazurze mo-relowej ! - Petula unosi brwi. - Imponujące!
- Samantha potrafi ugotować absolutnie wszystko! -oznajmia zarumieniona z dumy Trish. - Szkoliła się u Miche-la de la Roux de la Blanc! U samego mistrza!
- Jak będziesz robiła polewę do foie gras? - pyta Petula z zainteresowaniem. W kuchni zapada cisza. Obie kobiety czekają, wyraźnie podekscytowane.
- Cóż - chrząkam kilka razy. - Prawdopodobnie użyję... klasycznej metody. Słowo „glazura" naturalnie wskazuje na przezroczystość... wykończenia... i dopełnia gras. Foie -dodaję. - De gras. Mieszanina... smaków.
Gadam kompletne bzdury, ale ani Trish, ani Petula zdają się tego nie zauważać. Obie są wyraźnie pod wrażeniem.
- Skąd ty ją wytrzasnęłaś? - pyta Petula szeptem, który, jak zapewne sobie wyobraża, jest dyskretny. - Moja dziewczyna jest beznadziejna. Nie potrafi gotować i nie rozumie ani słowa z tego, co do niej mówię.
- Sama się zgłosiła, nagle i niespodziewanie! - odpowiada przyciszonym głosem Trish, nadal zarumieniona z zadowolenia. - Angielka! Z dyplomem kucharskim! Nie mogliśmy w to uwierzyć!
Spoglądają na mnie obie, jakbym była jakimś rzadkim zwierzęciem z rogami wyrastającymi z głowy. Nie potrafię tego dłużej znieść.
- Czy mam przygotować paniom herbatę i podać w oranżerii? - pytam desperacko.
- Nie. Wychodzimy na manikiur - odpowiada Trish. - Do zobaczenia później, Samantho.
Następuje pauza, pełna oczekiwania. Nagle zdaję sobie

sprawę, że Trish chce, abym dygnęła. Z zakłopotania zaczynam się rumienić. Po jaką cholerę to robiłam?
- Tak jest, pani Geiger - pochylam głowę i wykonuję dziwaczny ukłon. Kiedy spoglądam w górę, widzę ogromne jak talerze oczy Petuli. Kiedy obie kobiety wychodzą z kuchni, dobiega mnie szept znajomej Trish:
- Ona dyga? Przed tobą?
- To po prostu wyraz szacunku - odpowiada Trish beztrosko. - Bardzo efektywny. Wiesz, Petula, powinnaś wypróbó* wać tego ze swoją gosposią...
O Boże, co ja narobiłam?!
Czekam, aż ucichnie odgłos stukania obcasów, a potem na wszelki wypadek przenoszę się do spiżarki, otwieram telefon i jeszcze raz dzwonię do Guya. Odbiera po trzecim sygnale.
- Samantha - wydaje się nieco spięty. - Cześć. Czy już...
- Wszystko w porządku, Guy. - Na chwilę zaciskam powieki. - Rozmawiałam z Kettermanem. Wiem wszystko.
- Chryste, Samantha - głośno wypuszcza powietrze z płuc. - Tak mi przykro, naprawdę...
Nie mogę znieść jego współczucia. Jeśli powie coś jeszcze, chyba się rozpłaczę.
- Nie ma sprawy - przerywam mu. - Naprawdę. Nie rozmawiajmy już o tym, tylko... o przyszłości. Muszę wrócić do normalności.
- Jezu, ależ ty jesteś opanowana! - W jego głosie słyszę cień podziwu. - Nic cię nie wytrąca z równowagi, prawda?
Odgarniam włosy z twarzy. Wydają się przesuszone, zaniedbane i pełne rozdwojonych końcówek.
- Po prostu muszę... jakoś sobie radzić - udaje mi się utrzymać kontrolę nad głosem. - Powinnam wrócić do Londynu, ale nie mogę pojechać do domu. Ketterman kupił mieszkanie w mojej kamienicy. Teraz będzie tam mieszkał.
- Tak, słyszałem o tym. - Guy przełyka głośno ślinę. - Co za niemiły zbieg okoliczności.
- Nie mogę stanąć z nim twarzą w twarz, Guy. - Czuję, że znowu jestem bliska płaczu i zmuszam się do zaczerpnięcia

kilku głębokich oddechów. - Dlatego zastanawiałam się, czy nie mogłabym zatrzymać się u ciebie na jakiś czas. Tylko kilka dni.
Zapada cisza. Nie spodziewałam się jej.
- Samantho, chciałbym ci pomóc, ale muszę się porozumieć z Charlotte - mówi wreszcie Guy.
- Oczywiście - odpowiadam, nieco zbita z tropu.
- Nie rozłączaj się, zaraz do niej zadzwonię.
Przełącza mnie na tryb oczekiwania. Siedzę więc i czekam, słuchając jakiejś cichej melodyjki wygrywanej na klawesynie i usiłując nie poddać się konsternacji. To nierozsądne z mojej strony spodziewać się, iż zgodzi się od razu. Oczywiście, że musi najpierw uzgodnić to ze swoją dziewczyną.
Wreszcie znowu zgłasza się na linii.
- Samantho, nie jestem pewien, czy to możliwe.
- Rozumiem. - Nie wierzę własnym uszom. Usiłuję się uśmiechnąć, mówić naturalnym tonem, jakby nic wielkiego się nie stało. - Nie szkodzi. To nieważne.
- Charlotte jest teraz bardzo zajęta... przerabiamy nasze sypialnie... to nie jest najlepszy moment...
Wydaje się niepewny, jakby chciał skończyć rozmowę. Nagle zaczynam rozumieć. Nie chodzi o Charlotte. To tylko wymówka. Guy nie chce się ze mną zadawać. Zupełnie jakby moja hańba była zaraźliwa i jego kariera mogła przez to ucierpieć. Jeszcze wczoraj byłam jego najlepszą przyjaciółką. Wczoraj, kiedy miałam zostać mianowana nową wspólniczką, stał przy moim biurku, uśmiechając się i żartując. Dzisiaj nie chce mnie znać.
Wiem, że nie powinnam nic mówić, zachować godność, ale nie mogę się powstrzymać.
- Nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego, prawda? - wybucham.
- No coś ty! - broni się. - Nie bądź głupia.
- Nadal jestem tą samą osobą. Myślałam, że jesteś moim przyjacielem, Guy.
- Bo jestem! Nie możesz jednak oczekiwać ode mnie...

muszę się liczyć z Charlotte... nie mamy aż tylu wolnych pokoi... Posłuchaj, zadzwoń do mnie za kilka dni, może spotkamy się przy drinku...
- Naprawdę się nie martw - usiłuję kontrolować emocje. - Przepraszam, że zawracam ci głowę.
- Poczekaj! - wykrzykuje. - Nie rozłączaj się. Co zamierzasz zrobić?
- Och, Guy - udaje mi się roześmiać. - Mówisz, jakbyś rzeczywiście chciał wiedzieć. *
Wyłączam komórkę z niedowierzaniem. Wszystko się zmieniło. A może nie? Może Guy zawsze był taki właśnie, tylko ja nie zdawałam sobie z tego sprawy?
Wpatruję się w wyświetlacz komórki, oddychając ciężko. Mijają kolejne sekundy. Zastanawiam się, co robić dalej. Nagle telefon wibruje w mojej dłoni, a ja niemal wyskakuję ze skóry. Tennyson, odczytuję na wyświetlaczu. Mama.
Czuję spazm lęku. Pewnie już się dowiedziała. Powinnam się tego spodziewać. Mogłabym zatrzymać się u niej. Dziwne, że nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Otwieram klapkę telefonu i robię głęboki oddech.
- Cześć, mamo.
- Samantho - jej głos wwierca mi się w uszy. - Jak długo zamierzałaś przede mną ukrywać swoje niepowodzenie? -pyta bez dalszych wstępów. - Czy muszę się dowiadywać o hańbie własnej córki z *Humoru internetowego'?* - wypluwa te słowa z obrzydzeniem.
- Humor internetowy? - powtarzam słabym głosem. - Co masz na myśli?
- Nie wiedziałaś? Najwyraźniej pewne kręgi określają stratę pięćdziesięciu milionów funtów terminem „Samantha". Daję ci słowo, wcale nie było mi do śmiechu, kiedy to czytałam.
- Mamo, tak mi przykro...
- Na szczęście cała ta historia nie wyszła poza świat prawniczy. Rozmawiałam z ludźmi w Carter Spink i zapew-

niono mnie, iż wieść nie rozniesie się dalej. Powinnaś się cieszyć.
- Pewnie... pewnie masz rację.
- Gdzie jesteś? - przerywa mi bezpardonowo. - Gdzie teraz jesteś?
Stoję w spiżarce, otoczona opakowaniami płatków śniadaniowych.
- Jestem... w czyimś domu, poza Londynem.
- Jakie masz plany?
- Nie wiem - pocieram twarz. - Muszę... muszę się zebrać w sobie, znaleźć pracę.
- Pracę - mówi zjadliwie. - Sądzisz, że teraz zatrudni cię jakaś dobra firma prawnicza?
Wzdrygam się, słysząc jej ton.
- Ja... nie wiem, mamo. Dopiero co dowiedziałam się o zwolnieniu z pracy. Nie mogę...
- Owszem, możesz. Dzięki Bogu, załatwiłam to za ciebie. Załatwiła to za mnie?
- Co masz...
- Uruchomiłam wszystkie moje kontakty. Nie było to proste, ale starszy wspólnik w Fortescues przyjmie cię u siebie jutro o dziesiątej.
Wpatruję się w telefon z niedowierzaniem.
- Zorganizowałaś mi rozmowę kwalifikacyjną?
- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, przyjmą cię na stanowisko starszego asystenta - mówi mama szorstko. - Dostaniesz tę szansę jako osobistą przysługę dla mnie. Jak niewątpliwie się domyślasz, Fortescues ma pewne... wątpliwości co do twojej osoby. Jeżeli więc chcesz coś osiągnąć, Samantho, musisz naprawdę dobrze się spisać, poświęcić pracy każdą chwilę swojego życia.
- Tak - zamykam oczy. W głowie wirują myśli. Mam spotkanie w sprawie przyjęcia do pracy. Nowy początek. Rozwiązanie moich koszmarów. Dlaczego nie czuję ulgi, wszechogarniającego szczęścia?
- Będziesz musiała dać z siebie więcej niż w Carter

Spink - tokuje mama prosto do mojego ucha. - Żadnych luzów ani popadania w samozadowolenie. Będziesz musiała podwójnie udowodnić, że jesteś coś warta. Rozumiesz?
- Tak - odpowiadam automatycznie.
Więcej godzin. Więcej pracy. Więcej siedzenia w biurze po nocy. Niemal czuję, jak ramiona przygniata mi podwójny ciężar. Więcej i więcej, ciężej i ciężej.
- To znaczy nie - słyszę własne słowa. - Nie, nie chcę tego. Nie chcę. Nie mogę... to zbyt wiele... *
Słowa same wychodzą z moich ust. Nie planowałam ich, nigdy nawet o nich nie myślałam, ale teraz, kiedy je wypowiedziałam, wydają mi się... właściwe.
- Słucham? - pyta ostro mama. - Samantho, co ty, do diabła, wygadujesz?
- Nie wiem - masuję czoło, próbując zrozumieć cokolwiek z tego, co powiedziałam. - Pomyślałam... że mogłabym sobie zrobić przerwę.
- Przerwa oznacza koniec twojej kariery - ucina bezpardonowo. - Ostateczny.
- Mogłabym robić coś innego.
¡W innym zawodzie nie przetrwałabyś nawet dwóch minut! - wydaje się urażona. - Jesteś prawnikiem. Do tego byłaś trenowana.
- Są inne rzeczy na świecie poza prawem! - wykrzykuję zdenerwowana.
Zapada złowieszcza cisza.
- Samantho, jeżeli przechodzisz jakieś załamanie nerwowe...
- Nic z tych rzeczy! - podnoszę głos z rozpaczy. - To, że kwestionuję swoje dotychczasowe życie, nie oznacza, że przechodzę załamanie! Nigdy cię nie prosiłam, żebyś znalazła mi pracę. Nie wiem, czego chcę. Potrzebuję trochę czasu... do namysłu.
- Pojawisz się na tym spotkaniu, Samantho - głos mamy jest niczym uderzenie bata. - Pojawisz się tam jutro o dziesiątej.

- Nie!
- Powiedz, gdzie jesteś. Zaraz wyślę po ciebie samochód.
- Nie! Zostaw mnie w spokoju.
Rozłączam się, wychodzę ze spiżarki i brutalnie rzucam telefon na stół. Moja twarz płonie żywym ogniem, a oczy pieką od gorących łez. Komórka zaczyna wibrować gniewnie na blacie, ale ignoruję ją. Nie zamierzam odbierać. Nie chcę z nikim rozmawiać. Teraz się czegoś napiję, a potem ugotuję ten cholerny obiad.
Nalewam sobie trochę białego wina do kieliszka i wychylam kilkoma łykami, po czym spoglądam na stertę surowych produktów, czekających na mnie na stole.
Potrafię gotować. Jestem w stanie przyrządzić ten obiad. Nawet jeżeli całe moje życie legło w gruzach, to na pewno potrafię zrobić. Umiem myśleć, jakoś to sobie wykombinuję.
Nie zwlekając, zdejmuję plastikowe opakowanie z jagnięciny. Włożę ją do pieca na jakiejś tacce. Proste. Ciecierzycę też upiekę, a potem rozgniotę i zrobię humus.
Otwieram szafkę i wyciągam z niej cały zestaw błyszczących czystością form do pieczenia. Wybieram jedną i wrzucam do niej ciecierzycę. Część ziaren odbija się od dna i spada na podłogę, ale nie przejmuję się tym. Chwytam butelkę oleju z blatu i polewam groch. Już zaczynam się czuć jak kucharka. Wkładam formę do pieca i włączam go na pełny gaz. Następnie wsadzam jagnięcinę do głębokiego żaroodpornego naczynia i także wkładam do piekarnika. Jak dotychczas idzie mi nieźle. Teraz muszę przewertować książki kucharskie Trish i znaleźć przepis na obsmażane foie gras w glazurze morelowej.
Nie znalazłam żadnego przepisu na obsmażane foie gras, nie wspominając już o glazurze morelowej. Najbardziej zbliżoną potrawą był flan morelowo-malinowy. Może uda mi się jakoś dostosować ten przepis?
- Wymieszaj palcami mąkę i masło, aż mieszanina zacznie przypominać tartą bułkę - odczytuję na głos. To nie ma

sensu. Bułka tarta? Z mąki i masła? Wpatruję się w kartkę nierozumiejącym wzrokiem. W mojej głowie szaleje burza myśli. Przed chwilą zaprzepaściłam prawdopodobnie moją jedyną szansę nowego startu. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam. Jestem prawnikiem, do tego zostałam stworzona. Co innego miałabym robić? Co teraz ze mną będzie? O Boże! Dlaczego z piekarnika wydobywa się dym?!

Jest siódma, a ja wciąż gotuję, a przynajmniej wydaje mi się, że to robię. Oba piekarniki nastawione są na pełny gaz. Na palnikach gotują się różne rzeczy, a mikser pracuje na najwyższych obrotach. Dwa razy poparzyłam sobie prawą dłoń, próbując wyciągnąć coś z pieca. Na stole i blatach leży osiem otwartych książek kucharskich. Jedna z nich jest urna-zana olejem, inna znowu surowym żółtkiem. Czerwona na twarzy, spocona jak mysz, co jakiś czas usiłuję wkładać rękę pod strumień zimnej wody.

Gotuję tak od trzech godzin i nie zrobiłam jeszcze niczego, co dałoby się przełknąć. Jak do tej pory wyrzuciłam do śmieci zapadnięty suflet, dwie porcje przypalonej cebuli prosto z patelni oraz garnek z zakrzepniętymi morelami, już na sam ich widok zrobiło mi się niedobrze.

Nie potrafię zrozumieć, co robię źle. Zresztą nie mam na to czasu. Nie pora na analizy. Po każdym niepowodzeniu wyrzucam wszystko do kosza i zaczynam od nowa. Geigerowie oczywiście nie mają pojęcia, co się tu wyrabia. Popijają cherry w salonie, myśląc, że wszystko idzie fantastycznie. Pół godziny temu Trish próbowała zajrzeć do kuchni, ale udało mi się jej nie wpuścić. Za niecałą godzinę oboje zasiądą w jadalni przy stole, oczekując na wykwintny obiad. Rozłożą serwetki i z niecierpliwością naleją sobie wody mineralnej.

Zalewa mnie fala histerii. Wiem, że nie potrafię tego zrobić, ale nie wiedzieć czemu, nie umiem się poddać. Wciąż mam nadzieję na cud, na to, że jakoś uda mi się opanować...

O Boże, sos do pieczeni zaczyna kipieć!

Zamykam piekarnik, chwytam łyżkę i zaczynam mieszać. Sos wygląda jak obrzydliwa, grudkowata brązowa woda. Rozpaczliwie przeglądam szafki w poszukiwaniu czegoś do zagęszczenia. Mąki pszennej albo kukurydzianej, czegoś w tym stylu. Chwytam mały słoiczek wypełniony białym proszkiem i wsypuję sporą porcję do garnka. Wycieram spocone czoło. Co teraz?

Nagle przypominam sobie o białkach, które nadal ubijają się w mikserze. Chwytam książkę kucharską i przesuwam palcem po przepisie. Zmieniłam deser na torcik beżowy po tym, jak przeczytałam, że „bezy przyrządza się bardzo łatwo".

Jak do tej pory idzie dobrze. Co dalej? Na pergaminie do pieczenia uformuj łyżką duże koło ze sztywnej masy beżowej.

Spoglądam na miskę. Sztywna masa? Moja wygląda raczej na płynną.

Musi być w porządku, mówię sobie gorączkowo. Musi. Zrobiłam wszystko tak, jak w przepisie. Może jest gęstsza, niż przypuszczam? Może kiedy zacznę ją wylewać z miski, zgęstnieje pod wpływem nieznanych mi fizycznych praw kulinarnych?

Powoli zaczynam wylewać masę do foremki. Wcale nie gęstnieje. Zamiast tego rozlewa się jak białe jezioro i zaczyna wyciekać z tacki na podłogę, tworząc na niej wielkie lepkie kleksy. Coś mi mówi, że nie zdążę przygotować na ósmą torciku beżowego z białą czekoladą.

Biała breja spada mi na stopę. Krzyczę z frustracji. Czuję napływające do oczu łzy. Co poszło źle? Przecież zrobiłam wszystko jak w przepisie i w ogóle. Wzbiera we mnie wściekłość na samą siebie, na wybrakowane, beznadziejne białka, na książki kucharskie, na kucharzy, na jedzenie... a przede wszystkim na tego, kto napisał, że „bezy przyrządza się bardzo łatwo".

- Nieprawda! - słyszę swój własny krzyk. - Wcale nie przyrządza się ich łatwo! - Ciskam książką przez kuchnię, prosto w drzwi.

- Co do diabła... - wykrzykuje ze zdziwieniem męski głos.

Sekundę później drzwi się otwierają i staje w nich Nathaniel, z udami niczym dwa pnie drzew w dżinsach i włosami lśniącymi w zachodzącym słońcu. Na ramieniu trzyma plecak. Wygląda, jakby wybierał się do domu.
- Wszystko w porządku? - pyta.
- Tak - odpowiadam, wystraszona. - Wszystko w porządku, dziękuję. Bardzo dziękuję. - Macham ręką, ale Nathaniel nie rusza się z miejsca. *
- Słyszałem, że gotujesz dziś wykwintny obiad - mówi wolno, spoglądając na bałagan w kuchni.
- Tak, to prawda. Jestem właśnie w... najbardziej newralgicznym stadium... - spoglądam na palnik i odruchowo wykrzykuję - Cholera! Sos!
Nie mam pojęcia, co się stało. Z garnka wydostają się wielkie brązowe bąble, wyciekając na kuchenkę i stamtąd na podłogę. Zupełnie jak w bajce o czarodziejskim młynku, który nie przestawał mleć soli.
- Na miłość boską, zdejmij to z ognia! - wykrzykuje Nathaniel. Chwyta garnek i odsuwa go z ognia. - Co ty tam dodałaś?
- Nic! - odpowiadam. - Tradycyjne składniki... Nathaniel spostrzega stojący na blacie słoiczek z białym proszkiem. Bierze go do ręki i wpatruje się weń z niedowierzaniem.
- Proszek do pieczenia? Dodajesz do sosu proszek do pieczenia? Czy tego cię uczono w... - przerywa i pociąga nosem. - Chwileczkę, czy coś się tu nie przypala?
Przyglądam się bezradnie, jak otwiera drzwiczki dolnego piekarnika i wprawną ręką chwyta tackę pełną małych czarnych kulek.
Moja ciecierzyca. Kompletnie o niej zapomniałam.
- A co to ma być? - pyta zaskoczony. - Bobki zajęcze?
- Ciecierzyca - odpowiadam naburmuszona. Policzki mi płoną, ale unoszę dumnie czoło, starając się zachować resztki godności. - Skropiłam je oliwą z oliwek i włożyłam do piekarnika, żeby się... roztopiły.

Nathaniel wpatruje się we mnie.
- Roztopiły?
- Zmiękły - poprawiam się pospiesznie. Nathaniel odkłada tackę i krzyżuje ramiona.
- Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek o gotowaniu? - pyta. Zanim jestem w stanie odpowiedzieć, z mikrofalówki dochodzi nas bardzo głośny wybuch.
- O mój Boże - skrzeczę przerażona. - O Boże! Co to było?
Nathaniel zagląda do środka przez szybkę w drzwiczkach.
- Co ty tam, do cholery, włożyłaś? - pyta. - Coś wybuchło.
Gorączkowo usiłuję sobie przypomnieć, co takiego włożyłam do mikrofalówki. Wszystko mi się miesza.
- Jajka! - przypominam sobie nagle. - Gotowałam jajka na twardo, do kanapek.
- W mikrofalówce? - wykrzykuje.
- Żeby oszczędzić na czasie! - niemal wrzeszczę w odpowiedzi. - Chciałam być wydajna!
Nathaniel wyciąga wtyczkę od mikrofalówki z kontaktu i odwraca się. Na jego twarzy maluje się niedowierzanie.
- Nie masz pojęcia o gotowaniu! To wszystko jeden wielki blef! Nie jesteś gosposią. Nie wiem, co zamierzasz, ale...
- Niczego nie zamierzam!
- Geigerowie to dobrzy ludzie - patrzy mi prosto w oczy. -Nie pozwolę, żeby ktoś ich wykorzystywał.
Nagle wydaje mi się bardzo groźny. Agresywny. Co on sobie wyobraża? Że jestem jakąś oszustką?
- Posłuchaj... proszę - ocieram spoconą twarz. - Nie usiłuję nikogo nabierać. W porządku, nie potrafię gotować, ale znalazłam się tutaj z powodu... nieporozumienia.
- Nieporozumienia? - unosi brwi z niedowierzaniem.
- Tak - odpowiadam ostrzej, niż zamierzałam. Opadam na krzesło i masuję zbolały krzyż. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem wykończona. - Uciekałam przed... przed czymś. Musiałam się gdzieś zatrzymać na noc.

uznali, że jestem kandydatką na nową pomoc domową. Następnego dnia rano czułam się bardzo źle, pomyślałam więc, że mogę poudawać gosposię przez połowę dnia. Nie zamierzam zostać ani przyjąć od nich żadnych pieniędzy, jeśli tak właśnie pomyślałeś.
Zapada cisza. Wreszcie spoglądam na niego. Nathaniel opiera się o szafkę, krzyżuje ramiona. Rysy jego twarzy nieco złagodniały. Sięga po plecak i wyjmuje butelkę piwa. Podaje mi ją, potrząsam przecząco głową.
- Od czego uciekasz? - pyta, zdejmując kapsel.
Czuję w żołądku bolesny skurcz. Nie mogę się zdobyć, by opowiedzieć mu całą okropną historię.
- To pewna... sytuacja. - Spuszczam wzrok.
- Toksyczny związek? - Pociąga łyk piwa.
Przez chwilę milczę. Spoglądam wstecz na wszystkie łata, które spędziłam w Carter Spink. Niezliczone godziny mojego życia, które oddałam firmie, wszystko, co dla niej poświęciłam, wszystko zakończone jedną trzyminutową rozmową przez telefon.
- Tak - odpowiadam powoli. - Toksyczny związek.
- Jak długo trwał?
- Siedem lat. - Ku swojemu przerażeniu czuję łzy spływające po policzkach. Nie mam pojęcia, skąd się wzięły.
-Przepraszam - zachłystuję się. - To był bardzo stresujący dzień.
Nathaniel odrywa kawałek papierowego ręcznika z zamontowanej w ścianie rolki i wręcza mi go.
- Jeżeli to był toksyczny związek, to lepiej, że się od niego uwolniłaś - mówi spokojnie. - Nie ma sensu oglądać się za siebie ani myśleć o powrocie.
- Masz rację. - Wycieram oczy. - Tak. Po prostu muszę zdecydować, co mam zrobić ze swoim życiem. Nie mogę tu zostać. - Sięgam po butelkę likieru miętowego, który miałam dodać do sufletu czekoladowego, nalewam sobie trochę do kieliszka na jajko i upijam łyk.
- Geigerowie są dobrymi pracodawcami - mówi Nathaniel z lekkim wzruszeniem ramion. - Mogłaś trafić gorzej.

- Tak - uśmiecham się delikatnie. - Niestety, nie umiem gotować.
Nathaniel odstawia butelkę na stół i wyciera usta. Ma porządnie umyte ręce, ale nadal widzę ślady ziemi pod jego paznokciami i w bruzdach popękanej od pracy i słońca skóry.
- Mógłbym pogadać z mamą. Ona wspaniale gotuje. Mogłaby nauczyć cię podstaw.
Patrzę na niego ze zdumieniem. Chce mi się śmiać.
- Sugerujesz, że powinnam zostać? Myślałam, że jestem oszustką i naciągaczką. - Potrząsam głową, krzywiąc się na smak likieru miętowego. - Muszę iść.
- Szkoda - wzrusza ramionami. - Miło by było mieć na gospodarstwie kogoś, kto mówi po angielsku i robi takie doskonałe kanapki - dodaje z udawaną powagą.
- To był catering. - Nie mogę powstrzymać uśmiechu.
- Ach. Tak myślałem.
Oboje spoglądamy nagle w stronę drzwi, od których dochodzi nas delikatne pukanie.
- Samantho? - słyszę ponaglający, przyciszony głos Trish. - Słyszysz mnie?
- Eee... tak? - odkrzykuję nieco spięta.
- Nie martw się, nie będę wchodziła. Nie chcę przeszkadzać! Zapewne jesteś teraz w krytycznym stadium gotowania.
- Coś w tym rodzaju...
Chwytam spojrzenie Nathaniela i nagle wzbiera we mnie wybuch histerycznego śmiechu.
- Chciałam tylko zapytać, czy będziesz podawała przed posiłkiem sorbet?
Spoglądam na Nathaniela. Jego ramiona drgają od tłumionego śmiechu. Nie mogę się powstrzymać i parskam cicho. Natychmiast zatykam usta dłonią i staram się uspokoić.
- Samantho?
- Nie - udaje mi się wreszcie wykrztusić. - Nie będzie żadnego sorbetu.
Nathaniel chwyta jedną z patelni, pełną przypalonej cebuli i udaje, że ją zjada. „Pycha" oznajmia bezgłośnie.

Łzy lecą ciurkiem po mojej twarzy i jestem bliska uduszenia się ze śmiechu.
- W takim razie do zobaczenia wkrótce!
Trish odchodzi, stukając obcasami, a ja zaczynam bezradnie chichotać. Nigdy przedtem tak się nie śmiałam. Bola mnie żebra i brzuch, kaszlę i czuję się niemal, jakbym za chwilę miała się pochorować. Wreszcie udaje mi się jakoś uspokoić. Wycieram oczy i nos. Nathaniel też przestał się śmiać i rozgląda się teraz po brudnej kuchni.
- A tak na serio, co zamierzasz z tym zrobić? Geigerowie oczekują wykwintnego posiłku - mówi.
- Wiem - czuję, że zbliża się kolejny atak śmiechu, ale jakoś udaje mi się go powstrzymać. - Wiem, że oczekują. Muszę... muszę coś wymyślić.
Zapada cisza. Widzę, że Nathaniel przygląda się ciekawie białym kleksom na podłodze.
- No dobrze - oddycham głęboko z lekkim drżeniem i odgarniam wilgotne kosmyki z twarzy. - Uratuję sytuację.
- Uratujesz sytuację? - pyta z niedowierzaniem.
- Myślę, że rozwiążę w ten sposób wszelkie problemy. -Wstaję i zaczynam wrzucać wszystko do kosza. - Najpierw jednak muszę nieco ogarnąć kuchnię...
- Pomogę ci. - Nathaniel podnosi się z krzesła. - Muszę to zobaczyć.
Solidarnie opróżniamy garnki, patelnie i formy. Niejadalne resztki wyrzucamy do kosza. Potem ja szoruję zabrudzone blaty i kuchenkę, Nathaniel zaś zmywa z podłogi bezy.
- Jak długo tu pracujesz? - pytam, gdy płucze mop w zlewie.
- Trzy lata. Pracowałem dla ludzi, którzy mieszkali tu przed Geigerami. Nazywali się Ellisowie. Dwa lata temu wprowadzili się tutaj Trish i Eddie i zatrzymali mnie.
Przetrawiam tę informację.
- Dlaczego Ellisowie się wyprowadzili? To taki piękny dom.

- Geigerowie złożyli im propozycję nie do odrzucenia -usta Nathaniela wykrzywiają się w... czy to rozbawienie?
- Co takiego? - pytam zaintrygowana. - O co chodzi?
- Cóż - odkłada mop na ziemię. - To było dość komiczne. BBC wykorzystało ten dom jako plener do jakiegoś dramatu kostiumowego. Dwa tygodnie po jego emisji u progu stanęli Trish i Eddie, wymachując czekiem. Zobaczyli dom w telewizji, zdecydowali, że chcą go kupić, odnaleźli go i tyle.
- No, no - uśmiecham się. - Pewnie zapłacili niezgorszą sumkę.
- Cholera wie, ile dali Ellisom. Nigdy mi tego nie powiedzieli.
- Czy wiesz, w jaki sposób Geigerowie dorobili się takiej fortuny? - Wiem, że jestem wścibska, ale przyjemnie jest zajrzeć do życia innych ludzi choćby na chwilę, żeby zapomnieć o własnym.
- Założyli firmę przewozową. Zaczynali od zera, rozkręcili ją, a potem sprzedali. Zarobili na tym kupę forsy. - Nathaniel zaczyna wycierać ostatni kleks beżowy.
- A co z tobą? Co robiłeś przed podjęciem pracy u Elli-sów? - Z dreszczem obrzydzenia wyrzucam zakrzepnięte morele do miksera na odpadki.
- Pracowałem w Marchant House. To rezydencja koło Oksfordu. Wcześniej byłem na studiach.
- Na studiach? =- nadstawiam uszu. - Nie wiedziałam... -przerywam, pąsowiejąc. Zamierzałam powiedzieć: „Nie wiedziałam, że ogrodnicy studiują na uniwersytecie".
- Nauki biologiczne. - Spogląda na mnie i zdaję sobie sprawę, że wie, o czym pomyślałam.
Otwieram usta, żeby zapytać, gdzie i kiedy studiował, ale po namyśle zamykam je i włączam mikser na odpadki. Nie chcę wdawać się w szczegóły, dowiadywać się, czy mamy ze sobą coś wspólnego. Chwilowo wolałabym się obejść bez pewnego rodzaju wspomnień.
Wreszcie kuchnia zaczyna wyglądać w miarę normalnie.

Chwytam kieliszek na jajko, dopijam resztką likieru miętowego i biorę głęboki oddech.
- No dobrze. Czas na przedstawienie.
- Powodzenia. - Nathaniel unosi brwi.
Otwieram drzwi do kuchni i widzę Trish oraz Efldiego, szwendających się w przedpokoju z kieliszkami cherry.
- Samantho! Wszystko gotowe? - Twarz Trish jest rozjaśniona oczekiwaniem. Czuję nieprzyjemny skurcz, gdy opada mnie poczucie winy za to, co muszę zrobić. Nie widzę jednak innego wyjścia. Oddycham głęboko i przybieram jedną z wypracowanych min, których używam, gdy muszę przekazać klientowi złe wieści.
- Pani Geiger, panie Geiger - spoglądam im w oczy, upewniając się, że mnie słuchają. - Jestem zdruzgotana. - Zamykam oczy i potrząsam głową.
- Zdruzgotana? - powtarza nerwowo Trish.
- Zrobiłam, co w mojej mocy - otwieram oczy. - Obawiam się jednak, że nie mogę pracować z państwa wyposażeniem kuchennym. Obiad, który przygotowałam, nie dorównał moim profesjonalnym standardom. Nie mogłam pozwolić, aby wyszedł poza kuchnię. Oczywiście zwrócę pieniądze za składniki... i natychmiast złożę rezygnację. Odejdę jutro rano.
Proszę bardzo. Załatwione. Obeszło się bez ofiar.
Nie mogę powstrzymać się przed spojrzeniem na Natha-niela, który stoi w drzwiach kuchni. Kiwa głową z lekkim uśmiechem i pokazuje mi zwrócony w górę kciuk.
- Odejdziesz? - Trish spogląda na mnie z konsternacją, wytrzeszczając przeraźliwie błękitne oczy. - Nie możesz odejść! Jesteś najlepszą gosposią, jaką kiedykolwiek mieliśmy! Eddie, zrób coś!
- Pani Geiger, po dzisiejszej porażce uważam, że nie mam innego wyboru - mówię. - Szczerze powiedziawszy, obiad był niezjadliwy.
- To nie twoja wina! - rzuca pospiesznie Trish. - To przez nas! Zaraz zamówimy nowe wyposażenie.
- Ale...

- Po prostu powiedz, czego potrzebujesz. Bez względu na koszty! Poza tym, damy ci podwyżkę! - Nagle przychodzi jej do głowy nowy pomysł. - Ile chcesz? Wymień sumę!
Ta rozmowa naprawdę nie idzie w spodziewanym kierunku.
- Ja... właściwie to nigdy nie rozmawialiśmy o pensji... -Spoglądam w ziemię, lekko zażenowana.
- Eddie! - Trish spogląda na męża wściekła. - To twoja wina! Samantha odchodzi, bo nie płacisz jej wystarczająco dużo!
- Nie powiedziałam... - zaczynam bezradnie.
- Poza tym potrzebuje nowych garnków i patelni. Najlepszych firm. - Dźga Eddiego w żebra łokciem i mruczy: - Powiedz coś.
- A... Samantho. - Eddie chrząka niepewnie. - Będziemy bardzo szczęśliwi, jeśli rozważysz możliwość pozostania z nami. Byliśmy zachwyceni twoją dotychczasową pracą i jakiekolwiek są twoje oczekiwania płacowe... jesteśmy w stanie im dorównać. - Trish znów dźga go w żebra. - A nawet je przewyższyć - dodaje Eddie.
- Poza tym wykupimy ci ubezpieczenie zdrowotne -mówi Trish. Oboje spoglądają na mnie z nadzieją. Zerkam na Nathaniela, który kiwa głową, jakby chciał powiedzieć: „Czemu nie?". Czuję coś bardzo dziwnego. W ciągu ostatnich dziesięciu minut troje ludzi pokazało mi, że mnie potrzebuje.
Mogłabym zostać. Jestem pewna, że potrafię nauczyć się tego wszystkiego.
Cisza przeradza się w napięcie. Nawet Nathaniel spogląda na mnie wyczekująco z progu kuchni.
- Cóż... zgadzam się - czuję, jak na moją twarz wypełza uśmiech. - Dobrze. Jeżeli państwo nalegają... zostanę.
Później, wieczorem, po spożyciu chińszczyzny na wynos, wyciągam komórkę i dzwonię do biura matki. Czekam, aż włączy się automatyczna sekretarka.
- Wszystko w porządku, mamo - mówię. - Nie musisz

wykorzystywać dla mnie swoich znajomości. Sama znalazłam pracę. - Z tymi słowy się rozłączam.
Zupełnie jakby ktoś przeciął niewidoczne więzy. Czuję się wolna.

10
Jedyny problem polega na tym, że teraz naprawdę muszę być gosposią.
Nastawiam budzik na bardzo wczesną godzinę i następnego poranka pojawiam się w kuchni przed siódmą, przystrojona w fartuszek. W ogrodzie zalega mgła. Nie słychać żadnych odgłosów poza skrzeczeniem srok siedzących na trawniku. Czuję się, jakbym była jedyną osobą na całym świecie, która już nie śpi.
Tak cicho, jak potrafię, opróżniam zmywarkę i wkładam wszystko na miejsce, do szafek. Poprawiam wsunięte pod stół krzesła, przyrządzam sobie filiżankę kawy i rozglądam się po błyszczących granitowych blatach.
Moje królestwo.
Tylko że nie wygląda na moje królestwo, ale na obcą, przerażającą kuchnię.
No dobrze... co powinnam teraz zrobić? Już samo przebywanie tutaj wywołuje we mnie strach. Powinnam się czymś zająć. Mój wzrok pada na stary egzemplarz „Ekonomisty" leżący w stojaku obok stołu. Wyciągam go, wertuję i popijając kawę, zaczynam czytać interesujący artykuł o międzynarodowym systemie kontroli monetarnej.
Nagle z góry dobiegają mnie jakieś odgłosy. Szybko odkładam gazetę. Gosposie nie powinny czytywać artykułów o międzynarodowym systemie kontroli monetarnej, lecz krzątać się po kuchni, szykując dżem.
Tyle że w szafce jest już cała półka dżemów, a poza tym
1 tak nie wiedziałabym, jak go zrobić.
120

Co jeszcze? Co robią gosposie przez cały dzień? Rozglądam się po kuchni, która wygląda na idealnie wysprzątaną. Przychodzi mi do głowy, że mogłabym przyszykować śniadanie, ale nie wiem, czego sobie życzą Geigerowie... Nagle przypominam sobie wczorajszy poranek, kiedy Trish zrobiła mi herbatę. Może dzisiaj powinnam się odwdzięczyć?! Może oboje czekają teraz na górze, stukając niecierpliwie palcami o stolik nocny i zastanawiając się, gdzie jest ta cholerna herbata?!
Szybko wstawiam czajnik i zaparzam cały dzbanek herbaty. Stawiam go na tacy wraz z filiżankami i spodeczkami. Po chwili zastanowienia dorzucam jeszcze kilka herbatników. Wchodzę na górę, przemierzam cichy, opustoszały korytarz i zatrzymuję się przed drzwiami prowadzącymi do sypialni Trish i Eddiego.
I co teraz?
Jeśli jeszcze śpią, a ja ich obudzę?
Postanawiam, że bardzo cichutko zapukam. Tak, to będzie krótkie, dyskretne gosposiowe pukanie do drzwi. Unoszę dłoń, ale taca jest zbyt ciężka, żeby utrzymać ją w jednej ręce. Przechyla się niebezpiecznie w jedną stronę i cała zastawa z alarmującym brzęczeniem zsuwa się na bok. Przestraszona, chwytam tacę drugą ręką w ostatnim momencie, zanim spada z niej dzbanek herbaty. Pocąc się obficie, odstawiam wszystko na ziemię, pukam cicho i ponownie chwytam tacę w obie ręce.
Nikt nie odpowiada. Co teraz? Z wahaniem pukam jeszcze raz.
- Eddie! Przestań! - dobiega spoza drzwi stłumiony głos Trish.
Dlaczego mnie nie słyszą?
Czuję rozlewające się po całym ciele gorąco. Taca jest cholernie ciężka. Nie mogę stać przed ich drzwiami z dzbankiem herbaty przez cały poranek. Czy mam się wycofać?
Już zamierzam się odwrócić i odejść, kiedy nagle wstępuje we mnie determinacja. Nie. Nie bądź taka niezdecydowana.

Przygotowałaś herbatę i podasz ją Geigerom. A przynajmniej spróbujesz. Zawsze mogą cię odesłać na dół.
Chwytam tackę mocniej i stukam jej rogiem w drzwi. To już musieli usłyszeć.
Po chwili słyszę podniesiony głos Trish:
- Proszę!
Czuję przypływ ulgi. Wszystko w porządku. Spodziewali się mnie. Wiedziałam, że tak będzie. Jakimś cudem udaje mi się przekręcić klamkę w drzwiach, jednocześnie trzymając w ręku tacę. Popycham drzwi i wchodzę do pokoju. Trish spogląda na mnie z łóżka, na którym leży rozparta na poduszkach. Jest sama. Ma na sobie jedwabną koszulę nocną, włosy w nieładzie i rozmazany wokół oczu makijaż. Przez chwilę wygląda na zaskoczoną moim widokiem.
- Samantho, o co chodzi? - pyta ostro. - Czy coś się stało?
Mam okropne wrażenie, że zrobiłam coś niewłaściwego. Nie spuszczam z niej wzroku, ale kątem oka zaczynam rejestrować kilka szczegółów pokoju. Na przykład leżącą na podłodze książkę pod tytułem *Zmysłowe rozkosze,* buteleczkę olejku do masażu o zapachu piżma i... bardzo zużyty egzemplarz *Radość seksu,* leżący tuż przy łóżku. Otwarty na „stylu tureckim".
Ach tak. Czyli jednak nie oczekiwali porannej herbaty. Przełykam, usiłując zachować spokój, desperacko udaję, że niczego nie zauważyłam.
- Przyniosłam państwu herbatę - mówię zdenerwowanym głosem. - Pomyślałam, że zechcieliby się państwo napić.
Nie patrz na *Radość seksu.* Spoglądaj prosto przed siebie. Trish wyraźnie się odpręża.
- Jesteś prawdziwym skarbem! Postaw tutaj. - Macha niedbale w kierunku szafki nocnej.
Ruszam w jej kierunku, kiedy nagle drzwi do łazienki otwierają się i staje w nich Eddie, ubrany jedynie w przyciasne bokserki. Ma niesamowicie owłosioną klatkę piersiową.
Jezu!

Jakimś cudem udaje mi się nie upuścić tacy na ziemię.
- Ja... ja przepraszam - wycofuję się, jąkając. - Nie wiedziałam...
- Nie bądź głuptasem! No dalej! - wykrzykuje Trish, nagle zadowolona z mojej obecności w jej sypialni. - Nie jesteśmy pruderyjni.
Tak, widzę, chociaż wolałabym, żeby byli. Ostrożnie podchodzę do łóżka, starając się po drodze nie podeptać fioleto-woróżowego koronkowego stanika. Odsuwam na bok stojące na szafce nocnej zdjęcie Trish i Eddiego w jacuzzi, trzymających kieliszki z szampanem, i stawiam tacę z herbatą. Szybko nalewam do filiżanek i podaję Geigerom. Nie mogę spojrzeć Eddiemu w oczy. W jakim innym zawodzie człowiek ma okazję widywać swojego szefa nago? Przychodzi mi na myśl tylko jeden, niezbyt zachęcający.
- W takim razie... już pójdę - mamroczę ze spuszczoną głową.
- Nie tak szybko. - Trish z lubością popija herbatę. - Skoro już tu jesteś, chciałam z tobą porozmawiać. Dowiedzieć się, na czym stoimy.
- Rozumiem.
Ramiączko zsunęło jej się z ramienia i tuż nad rąbkiem koszuli nocnej widzę brzeg jej sutka. Szybko uciekam wzrokiem w bok, wprost na *Radość seksu,* otwarte na zdjęciu brodatego faceta, wygiętego w dziwacznej pozie. Wbrew swojej woli wyobrażam sobie Trish i Eddiego w takiej pozycji.
Nie. Przestań!
Czuję, że twarz płonie mi z zażenowania. Co to za surrealistyczne dziwactwo? Stoję w sypialni dwojga właściwie nieznanych mi ludzi, którzy niemal demonstrują mi sposób, w jaki uprawiają seks, a przy tym wszystkim wcale nie wydają się zmieszani... Nagle przychodzi olśnienie. Oczywiście! Jestem ich pomocą domową. Nie liczę się.
- Czy wszystko w porządku, Samantho? - Trish odstawia filiżankę i spogląda na mnie świdrującym wzrokiem. - Wypracowałaś sobie plan działania? Wszystko pod kontrolą?

- Oczywiście - szukam słów o odpowiednio profesjonalnym brzmieniu. - W istocie posuwam... - Cholera! - To znaczy, wszystko jest stosunkowo... - Do diabła! - Wszystko jest pod kontrolą.
- Znakomicie! - wykrzykuje Trish. - Tak myślałam! Nie trzeba cię oprowadzać! Wiesz, gdzie wszystko jest, prawda?
- Tak sądzę!
Trish uśmiecha się do mnie promiennie i upija nieco herbaty.
- Rozumiem, że będziesz dzisiaj robiła pranie. Pranie. O tym nie pomyślałam.
- Chciałabym również, żebyś zmieniła pościel, kiedy będziesz ścieliła łóżka.
Ścieliła łóżka? To również nie przyszło mi wcześniej do głowy. Czuję delikatny skurcz paniki. Nie tylko nie mam wszystkiego pod kontrolą, ale wręcz nie mam bladego pojęcia, co składa się na owo „wszystko".
- Oczywiście mam swoją ustaloną... rutynę - mówię pozornie niedbałym tonem. - Myślę, że byłoby dobrze, gdyby sporządziła pani dla mnie listę obowiązków.
- Och. - Trish wygląda na nieco zirytowaną. - Jeżeli rzeczywiście jej potrzebujesz...
- Ja z kolei muszę z tobą później porozmawiać o warunkach kontraktu - odzywa się Eddie, który stoi przed lustrem z ciężarami. - Dowiesz się wtedy, w co się wplątałaś - chichocze, a potem^z lekkim stęknięciem podnosi sztangę nad głowę. Jego brzuch marszczy się przy tym wysiłku. Nie wygląda to zbyt dobrze.
- W takim razie... wracam do... swoich spraw. - Ze wzrokiem utkwionym w ziemi zaczynam się wycofywać w kierunku drzwi.
- Do zobaczenia później, przy śniadaniu. - Trish macha do mnie radośnie z łóżka. - Ciao, ciao!
Nie mogę nadążyć za jej zmianami nastroju. Co chwila przeskakujemy od relacji między pracownikiem a pracodawcą

do przyjacielskich więzi między pasażerami płynącymi na tym samym luksusowym statku.
- W takim razie... do zobaczenia - odpowiadam, starając się przybrać równie radosny ton. Dygam, przestępuję nad stanikiem Trish i wychodzę z pokoju tak szybko, jak potrafię.
Śniadanie okazuje się małym koszmarem. Dopiero za trzecim podejściem udaje mi się odkryć, jak przekraja się grejpfruta na pół. Dlaczego to musi być takie skomplikowane? Powinni sprzedawać grejpfruty z jakimiś rysunkami pomocniczymi albo jakoś je nacinać dla ułatwienia.
Tymczasem wygotowuje mi się kawa i kipi mleko. Kiedy zaś przepycham na dół sitko kafeterki, płyn eksploduje z niej na blat. Na szczęście Trish i Eddie są pochłonięci kłótnią o to, gdzie pojechać na najbliższe wakacje, i nie dostrzegają tego, co dzieje się w kuchni. Wydają się również nie słyszeć moich wrzasków.
Dobra nasza, chyba udało mi się opanować posługiwanie się tosterem.
Kiedy Geigerowie kończą śniadanie, wkładam brudne naczynia do zmywarki i desperacko próbuję sobie przypomnieć, jak udało mi się ją nastawić wczoraj wieczorem. W tej chwili w kuchni pojawia się Trish:
- Samantho, pan Geiger prosi cię do gabinetu. Chce porozmawiać o kontrakcie i twojej pensji. Nie każ mu czekać!
- Tak jest, proszę pani - dygam, wygładzam fartuszek i wychodzę na korytarz. Podchodzę do drzwi gabinetu Eddie-go i pukam dwukrotnie.
- Proszę! - słyszę jowialny głos. Wchodzę.
Eddie siedzi za ogromnym biurkiem z mahoniu i garbowanej skóry. Na szczęście jest już ubrany w beżowe spodnie i podkoszulek. Przed sobą ma bardzo kosztowny laptop. W całym pokoju pachnie wodą po goleniu.
- Ach, Samantha! Gotowa na nasze małe spotkanie?

wskazuje na drewniane krzesło z wysokim oparciem. Siadam. - No dobrze! Oto dokument, na który czekałaś!
Z namaszczeniem podaje mi folder zatytułowany UMOWA O PRACĘ NA STANOWISKU GOSPODYNI DOMOWEJ. W środku znajduję kartkę papieru welinowego, wyglądającego niczym stary zwój papirusu. Na nim ozdobną czcionką w stylu średniowiecznym napisano:
UMOWA Między Samanthą Sweeting oraz Panią i Panem Geiger Zawarta drugiego dnia lipca Roku Pańskiego dwa tysiące czwartego.
- Niesamowite - mówię zaskoczona. - Czy... czy przygotował to jakiś prawnik?
Nie potrafię sobie wyobrazić żadnego profesjonalisty, który wypisywałby kontrakty disnejowską czcionką, nie mówiąc już o umieszczaniu ich na fałszywym pergaminie.
- Nie potrzebuję prawnika - chichocze Eddie. - Nie dam się nabrać na te gierki. Za kilka bajeranckich łacińskich słówek zedrą z ciebie fortunę. Uwierz mi, Samantho, tego typu rzeczy łatwo jest spisać samemu, jeśli się ma odrobinę oleju w głowie - puszcza do mnie oko.
- Jestem pewna, że ma pan rację - odpowiadam wreszcie. Przewracam kartkę i czytam kolejne punkty umowy.
O mój Boże, co to za bełkot? Muszę zagryzać usta, kiedy widzę kolejne sformułowania.
...Samanthą Sweeting (od chwili tej zwana POWÓDKĄ)...
Powódką? Czy on w ogóle wie, co to znaczy?
...o ile, pomimo dostarczania usług kulinarnych w sposób, który ustalono prima facie, włączając w to, lecz nie wykluczając, lekkie posiłki i przekąski...

Zaciskam usta. Nie wolno mi się roześmiać.
Zgodnie z powyższym, ipso facto, wszystkie strony zachowają wyżej wymienione prawa ponad wszelką wątpliwość.
Co? Co takiego? To kompletny, nonsensowny miszmasz. Wyrażenia z żargonu prawniczego wyrwane z kontekstu i połączone w nic nieznaczący tekst, który prawdopodobnie miał zrobić na mnie wrażenie. Przeglądam resztę dokumentu, rozpaczliwie starając się zachować powagę. Jednocześnie myślę o jakiejś rozsądnej odpowiedzi.
- Wiem, wygląda to bardzo groźnie! - mówi Eddie, źle odczytując moje milczenie. - Nie bój się tych wszystkich trudnych słów. To naprawdę bardzo proste! Przeczytałaś już ustęp o wysokości swoich zarobków?
Spoglądam szybko na sumę wydrukowaną tłustą czcionką> opatrzoną tytułem „Wypłata tygodniowa". Wynosi nieco mniej niż moja stawka godzinowa za pracę w firmie prawniczej.
- To niezwykle hojne z państwa strony - odpowiadam po chwili. - Bardzo panu dziękuję.
- Czy jest coś, czego nie rozumiesz? - Eddie uśmiecha się dobrodusznie. - Nie bój się, po prostu powiedz.
Od czego mam zacząć.
- No... ten fragment - wskazuję na punkt 7: „Godziny pracy". - Czy to oznacza, że będę miała wolne weekendy? Wszystkie?
- Oczywiście - Eddie wydaje się zaskoczony. - Nie możemy oczekiwać od ciebie pracy w dni wolne! Chyba że jest po temu specjalna okazja, w którym to przypadku zapłacimy ci dodatkowo... mówi o tym punkt dziewiąty.
Nie słucham go. Wszystkie weekendy wolne. Nie mogę tego pojąć. Od dwunastego roku życia nie miałam ani jednego weekendu dla siebie.
- To wspaniale. - Spoglądam na niego i nie mogę powstrzymać uśmiechu. - Bardzo dziękuję.

- Czy twoi poprzedni pracodawcy kazali ci pracować w weekendy? - Eddie jest zaskoczony.
- Hmm, zazwyczaj tak - odpowiadam zgodnie z prawdą.
- Co za wyzysk. Istne niewolnictwo! Przekonasz się, że my jesteśmy znacznie rozsądniejsi. - Rozpromienia się. -A teraz zostawię cię na chwilę samą, żebyś uważnie przeczytała umowę, zanim ją podpiszesz.
- Właściwie to już przeczytałam... - przerywam, kiedy Eddie unosi dłoń w geście nagany. ^
- Samantho - mówi dobrodusznie, potrząsając głową. -Dam ci dobrą radę, która pomoże ci przetrwać w tym niebezpiecznym świecie. Zawsze czytaj bardzo uważnie wszelkie legalne dokumenty.
Spoglądam na niego przez dłuższą chwilę w milczeniu i aż kręci mnie w nosie z wysiłku, by utrzymać poważną minę.
- Tak proszę pana - odpowiadam wreszcie. - Postaram się to zapamiętać.
Eddie wychodzi, a ja przeglądam raz jeszcze kontrakt, wywracając oczami. Biorę do ręki ołówek i automatycznie zaczynam poprawiać tekst, zmieniając szyk i treść zdań, dodając uwagi na marginesie i wykreślając niepotrzebne fragmenty. Potem nagle przerywam. Co ja robię, do cholery?
Chwytam gumkę i pospiesznie ścieram wszystkie poprawki. Potem biorę do ręki długopis i spoglądam na dół strony, gdzie rysunkowa sowa w czapce prawnika wskazuje na linię kropkowaną.
Imię: Samantha Sweeting Zawód:
Waham się przez chwilę, a potem podaję: „Gospodyni domowa". Wpisując te słowa, czuję rosnące niedowierzanie. To wszystko dzieje się naprawdę. Zaakceptowałam pracę gosposi, kompletne przeciwieństwo mojego poprzedniego życia i to w każdym znaczeniu tego słowa. Nikt ze znanych mi osób nie wie, co robię.

Nagle przed oczami staje mi twarz matki. Wyobrażam sobie, jaką minę by zrobiła, gdyby się dowiedziała, gdzie teraz jestem... Jeśli zobaczyłaby mnie w tym fartuszku, chyba... wpadłaby w szał. Przez chwilę mam ochotę zadzwonić do niej i opowiedzieć wszystko. Nie robię tego jednak. Poza tym nie mam czasu o tym myśleć. Muszę zrobić pranie.
Dopiero za drugim obróceniem udaje mi się przynieść wszystkie brudne rzeczy do pralni. Rzucam przeładowane kosze na wyłożoną terakotą podłogę i spoglądam na supernowoczesną pralkę. To powinno być proste.
Nie jestem zbyt doświadczona w tych sprawach. Dotychczas odsyłałam wszystko, z wyjątkiem bielizny, do pralni. To przecież jednak nie znaczy, że nie potrafię zrobić prania. Muszę po prostu ruszyć głową. Otwieram drzwiczki i natychmiast elektroniczny wyświetlacz zaczyna mrugać na mnie pytająco: „PRANIE? PRANIE?". Wytrąca mnie to z równowagi. Oczywiście, że pranie, chcę odwarknąć głupiej maszynie. Daj mi szansę załadować do środka rzeczy.
Biorę głęboki oddech. Tylko spokój może mnie uratować. Wszystko po kolei. Najpierw napełnić pralkę. Biorę z koszyka naręcze brudnych rzeczy - i zatrzymuję się w połowie ruchu.
Nie. Pierwszy krok to sortowanie. Jestem zadowolona, że przyszła mi do głowy tak genialna myśl. Zaczynam segregować brudne rzeczy na osobne kupki, w zależności od informacji zawartej na metkach.
Produkt biały. Prać w 40°C.
Produkt biały. Prać w 90°C.
Prać po lewej stronie.
Rzeczy kolorowe prać osobno.
Prać ostrożnie.
Prać bardzo delikatnie.
Zanim rozprawiam się z pierwszym koszem, jestem kompletnie zdezorientowana. Rozdzieliłam rzeczy na dwadzieścia różnych kupek, z których większość zawiera tylko jedną sztu-

kę ubrania. To idiotyczne. Nie mogę nastawić dwudziestu osobnych prań. Zajmie mi to cały tydzień.
Co mam zrobić? Jakim cudem mam się z tym rozprawić? Czuję się otumaniona. Spędziłam tu już dwadzieścia minut i nawet nie zaczęłam prania.
No dobrze. Bądźmy rozsądni. Ludzie na całym świecie robią to codziennie. Pranie nie może być aż tak trudne. Po prostu będę musiała nieco inaczej to posegregować. Podnoszę z podłogi jedną kupkę i wrzucam do pralki. Potem otwieram pobliską szafkę, w której stoi cały zestaw proszków do prania. Który mam wybrać? W mojej głowie roi się od słów zasłyszanych w reklamach telewizyjnych. „Pranie bielsze, niż myślisz". „Jeszcze bielsza biel". „Niebiologiczny". „Dłuższe życie twojej pralki to Calgon".
Nie obchodzi mnie, czy pralka będzie żyła dłużej. Chcę po prostu wyprać te cholerne rzeczy!
Koniec końców biorę pudełko, na którym widnieje zdjęcie białych podkoszulków, wsypuję trochę proszku do pojemnika na górze i dla wszelkiej pewności dodaję jeszcze małą porcyjkę bezpośrednio do bębna. Zamykam drzwiczki. Co teraz?
PRANIE?, mruga do mnie maszyna. PRANIE?
- Eee... tak - mówię. - Pranie. -1 naciskam guzik.
WYBIERZ PROGRAM, odpowiada wyświetlacz. Szukam wzrokiem wskazówek i znajduję opis techniczny, wetknięty za butelkę sprayu. Chwytam go i zaczynam wertować.
„Opcja prania oszczędnego przy małej ilości rzeczy jest dostępna tylko dla programów z praniem wstępnym A3-E2 oraz programów z dodatkowym płukaniem G2-L7, z wyjątkiem programu H4".
Co takiego? Chwileczkę. Mam dyplom uniwersytetu w Cambridge, znam łacinę, powinnam to rozumieć. Przenoszę wzrok na następną stronę.
„Programy E5 i FI nie wykonują wirowania, chyba że przycisk z napisem «S» zostanie włączony na pięć sekund przed uruchomieniem programu lub na dziesięć sekund w trakcie trwania programu E5 (wyłączywszy tkaniny wełniane)".

Nie mogę tego pojąć. Egzamin z sądownictwa korporacyjnego był milion razy łatwiejszy niż to. Dobrze, zapomnijmy o opisie technicznym. Na pewno wystarczy zwykły zdrowy rozsądek. Z profesjonalnym wyrazem twarzy gospodyni domowej wciskam klawisz.
PROGRAM K3, wyświetla pralka. PROGRAM K3. Nie podoba mi się ta nazwa. Brzmi złowrogo, jak bardzo stromy szczyt albo kod spisku rządowego.
- Nie - mówię na głos, waląc pięścią w maszynę. - Chcę jakiś inny program.
WYBRANO PROGAM K3, odpowiada pralka.
- Ale ja nie chcę programu K3! - krzyczę zdenerwowana. - Wybierz coś innego! - Naciskam wszystkie klawisze, ale pralka kompletnie mnie ignoruje. Słyszę, jak do bębna wlewa się woda, a potem nagle zapala się zielone światełko.
PROGRAM K3 ROZPOCZĘTY, pojawia się na wyświetlaczu. PRANIE TAPICERKI PRZEMYSŁOWEJ.
Przemysłowej? Tapicerki?
- Zatrzymaj się - mówię bez tchu i zaczynam walić w klawisze. - Stop! - Kopię pralkę rozpaczliwie. - Zatrzymaj się!
- Wszystko w porządku? - dobiega mnie z kuchni głos Trish. Odskakuję od pralki i przygładzam włosy.
- O tak, wszystko w porządku! - uśmiecham się profesjonalnie, gdy staje w drzwiach. - Ja tylko... nastawiałam właśnie pranie.
- Wspaniale. - Trish wyciąga w moim kierunku prążkowaną koszulę. - Pan Geiger chciał, żebyś przyszyła mu guzik, jeśli możesz...
- Naturalnie! - Biorę od niej koszulę, przełykając nerwowo ślinę.
- A oto spis twoich obowiązków - wręcza mi kartkę papieru. - Oczywiście nie jest pełny, ale na początek powinno wystarczyć...
Przebiegam wzrokiem po niekończącej się liście i czuję nagłą słabość.
Posłać łóżka... zamieść i umyć schody przed wejściem...

ułożyć kwiaty w wazonach... wypolerować wszystkie lustra... utrzymywać porządek w szafkach... pranie... codziennie sprzątać w łazience...
- Chyba nie będziesz miała z tym problemu, prawda? -pyta Trish.
- Nie! Oczywiście, że nie! - odpowiadam stłumionym głosem. - Powinnam sobie poradzić.
- Najpierw jednak zrób prasowanie - ciągnie zdecydowanie Trish. - Obawiam się, że sporo się tego nazbierałoffcjak zresztą pewnie zauważyłaś. Zazwyczaj nie dopuszczamy do tego... - Z jakiegoś powodu Trish spogląda w górę.
Mając coraz gorsze przeczucia, podążam za jej wzrokiem. Na drewnianym stojaku do suszenia bielizny piętrzy się sterta pogniecionych koszul. Jest ich przynajmniej ze trzydzieści. Wpatruję się w nie z drżeniem. Nie potrafię prasować koszul. Nigdy w życiu nie używałam żelazka. Co ja teraz zrobię?
- Z pewnością nie zabierze ci to zbyt wiele czasu - rzuca beztrosko Trish. - Deska do prasowania jest tam - pokazuje głową.
- Ach, dziękuję - udaje mi się wykrztusić.
Najważniejsze, żeby sprawić odpowiednie wrażenie. Wyciągnę to urządzenie, poczekam, aż wyjdzie... a potem coś wymyślę.
Sięgam po deskę, usiłuję wyglądać, jakbym robiła to przez całe życie. Pociągam jedną z metalowych nóg, ale ona ani drgnie. Próbuję tego samego z drugą, bezskutecznie. Szarpię coraz mocniej, wreszcie robię się czerwona z wysiłku, ale ta cholerna noga nie chce się ruszyć. Jak, do cholery, mam rozłożyć tę deskę?
- Ma zatrzask - mówi Trish, przyglądając mi się ze zdziwieniem. - Pod spodem.
- Ach! No tak! - Uśmiecham się w odpowiedzi, pochylam się nad deską, rozpaczliwie obmacując spód, aż wreszcie bez zapowiedzi wszystko się rozkłada. Rozsuwane nóżki rozjeżdżają się na boki i zatrzymują, umieszczając deskę na wysokości pół metra nad podłogą.

- Tak! - chichoczę nerwowo. - Zaraz to... ustawię na odpowiednią wysokość.
Podnoszę deskę i usiłuję przestawić nogi, które nie chcą się ruszyć na milimetr. Moje policzki płoną ze wstydu, gdy tak szarpię się bezskutecznie z deską do prasowania, obracając ją na wszystkie strony. Jak to działa, do stu diabłów?
- Z drugiej strony lubię prasować nisko. Zostawię to tak, jak jest - rzucam niezobowiązującym tonem.
- Nie możesz prasować na takiej wysokości! - Trish, zaskoczona, wybucha śmiechem. - Pociągnij za dźwignię. Musisz zrobić to dość gwałtownie... pokażę ci.
Przejmuje deskę i w dwie sekundy ustawia ją na odpowiedniej wysokości.
- Zapewne używałaś innego modelu - rzuca wyrozumiałym tonem, kończąc swe dzieło. - Producenci zawsze dodają do nich swoje małe sztuczki.
- Właśnie - odpowiadam, chwytając się z ulgą tego wytłumaczenia. - Oczywiście. Jestem przyzwyczajona do korzystania z... Nimbusa 2000.
Trish spogląda na mnie zdziwiona.
- Czy to nie była przypadkiem ta miotła z *Harry'ego Pottera!*
- Owszem - odpowiadam czerwona jak burak. - Przy okazji jest to również dobrze znana deska do prasowania. Moim zdaniem, miotła została nazwana na cześć owej deski.
- Naprawdę? - Trish jest autentycznie zafascynowana. -Nie wiedziałam o tym! - Ku mojemu przerażeniu opiera się wyczekująco o drzwi i zapala papierosa. - Nie przejmuj się mną. Zaczynaj!
Zaczynaj?
- Żelazko jest za tobą - macha ręką.
- Aaa... tak, świetnie, dziękuję! - Chwytam je i włączam do kontaktu, tak powoli, jak to tylko możliwe. Serce kołacze mi ze strachu. Nie mogę tego zrobić. Muszę znaleźć jakieś wyjście, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Czuję się kompletnie odmóżdżona.

- Pewnie już się wystarczająco nagrzało - podpowiada Trish.
- O tak! - uśmiecham się do niej blado.
Nie mam wyboru, muszę zacząć prasować. Sięgam po jedną z koszul i rozkładam ją niezdarnie na desce, grając na zwłokę. Nie mam pojęcia, od czego zacząć.
- Pan Geiger nie lubi zbyt wykrochmalonych kołnierzyków - rzuca Trish.
Jakich kołnierzyków? Rozglądam się z paniką i "mój wzrok pada iia butelkę podpisaną: „Krochmal w sprayu".
- Rozumiem - przełykam, starając się ukryć przerażenie. - Ja... krochmalić będę dopiero... za chwilę.
Nie mogę w to uwierzyć, ale chwytam żelazko w dłoń. Jest dużo cięższe, niż przypuszczałam, i wypuszcza z siebie przerażające ilości pary. Bardzo ostrożnie zaczynam opuszczać je w kierunku bawełnianej koszuli. Nie mam pojęcia, gdzie celuję. Chyba mam zamknięte oczy. Nagle w kuchni rozlega się dzwonek telefonu. Dzięki Bogu... dzięki Bogu... stokrotne dzięki...
- Kto to może być? - Trish marszczy brwi. - Przepraszam, Samantho, chyba powinnam odebrać...
- Ależ nie ma sprawy! - skrzeczę. - Zajmę się tu wszystkim sama...
Gdy tylko Trish wychodzi z pomieszczenia, odkładam z łomotem żelazko i chowam twarz w dłoniach. Chyba zwariowałam. To się nie może udać. Nie jestem stworzona do roli gospodyni domowej. Żelazko wydmuchuje parę prosto w moją twarz. Piszczę ze strachu, po czym wyłączam je i opieram się bezsilnie o ścianę. Nie minęło jeszcze wpół do dziesiątej, a jestem już na skraju załamania nerwowego.
A myślałam, że to praca prawnika jest stresująca.

11

Do czasu, gdy Trish wraca z kuchni, udaje mi się jakoś pozbierać. Potrafię to zrobić. Oczywiście, że tak! To nie jest fizyka kwantowa, tylko prace domowe.

- Samantho, obawiam się, że będziemy cię musieli dziś opuścić - mówi Trish zmartwionym głosem. - Pan Geiger pojechał na partię golfa, ja zaś wybieram się z odwiedzinami do mojej drogiej przyjaciółki, zobaczyć jej nowego mercedesa. Nie przeszkadza ci, że zostaniesz tu całkiem sama?

- O nie, absolutnie! - usiłuję ukryć radość. - Proszę się o mnie nie martwić, naprawdę. Po prostu zrobię, co do mnie należy...

- Skończyłaś już prasowanie? - Spogląda z uznaniem w stronę pralni.

Czy skończyłam? Co ona sobie wyobraża, że jestem super-manką?

- Właściwie to chciałam zostawić prasowanie na później, najpierw posprzątam dom - mówię z przekonaniem. - Tak zazwyczaj robię.

- Oczywiście. - Trish kiwa głową gorliwie. - Cokolwiek ci odpowiada. Obawiam się, że nie będzie mnie tutaj, gdybyś miała jakieś pytania, ale Nathaniel ci pomoże! - Gestem przywołuje kogoś zza drzwi. - Poznaliście się już, prawda?

- Och, ja... tak - odpowiadam, gdy wchodzi do kuchni w swoich znoszonych dżinsach, z rozwianym włosem. - Witam znowu.

To bardzo dziwne, zobaczyć go o poranku po nocy tak pełnej dramatów i wrażeń. Patrzy mi w oczy i na jego twarzy pojawia się delikatny uśmieszek.

- Cześć. Jak ci leci? - pyta.

- Świetnie - odpowiadam radośnie. - Naprawdę dobrze.

- Nathaniel zna ten dom na wylot - wtrąca Trish, malując usta szminką. - Jeżeli nie będziesz mogła czegoś znaleźć... albo otworzyć zamka w drzwiach... cokolwiek... oto mężczyzna dla ciebie.

- Zapamiętam to - odpowiadam. - Dziękuję.
- Nathanielu, nie życzę sobie jednak, żebyś przeszkadzał Samancie - dodaje Trish, spoglądając na niego surowo. - Ona ma swój własny plan działania.
- Oczywiście.
Nathaniel kiwa poważnie głową i rzuca mi rozbawione spojrzenie za plecami Trish. Czuję, że moje policzki przybierają kolor buraczkowy.
Co on sobie wyobraża? Skąd wie, że nie mam ustalonego planu działania? To, że nie umiem gotować, nie oznacza, iż nie potrafię robić innych rzeczy!
- Jesteś pewna, że sobie poradzisz? - Trish chwyta torebkę. - Znalazłaś środki czyszczące?
- No... - rozglądam się dookoła.
- W pralni. - Trish znika na chwilę i pojawia się z gigantyczną niebieską balią pełną plastikowych butelek i pojemników. Stawia ją na stole. - Proszę bardzo! I nie zapomnij o „nagietkach"!
O czym?
- O gumowych rękawiczkach - mówi Nathaniel. Wyciąga z miednicy parę wielkich żółtych rękawic i wręcza mi z lekkim ukłon

Zaczynam się czuć urażona. Czy ja wyglądam na kogoś, kto nie potrafi posprzątać w domu?
- Naturalnie - wywracam oczami.
- Wczoraj wieczorem opowiedziałem o tobie mamie. -Uśmiecha się do mnie nagle, jakby przypomniał sobie coś z tej rozmowy. Spoglądam na niego podejrzliwie. Co on takiego o mnie naopowiadał? - W każdym razie powiedziała, że nauczy cię gotować. - Nathaniel patrzy mi w oczy. - I może przyda ci się nieco porad dotyczących sprzątania...
- Nie potrzebuję pomocy przy sprzątaniu! - przerywam niegrzecznie. - Robiłam to tysiące razy. A teraz muszę się zabrać do roboty.
- Nie przeszkadzaj sobie - wzrusza ramionami.
Już ja mu pokażę! Zdecydowanym ruchem wyciągam puszkę ze sprayem z balii i rozpylam jej zawartość na blacie. Proszę bardzo! Kto powiedział, że nie wiem, co robię?
- Mówisz, że sprzątałaś w wielu domach, tak? - pyta Nathaniel, obserwując mnie uważnie.
- W milionach.
Substancja z puszki krystalizuje się w malutkie zielone kropelki. Szybko przesuwam po nich ściereczką, ale nie chcą zejść. Cholera. Przyglądam się uważniej napisowi na pojemniku: NIE UŻYWAĆ NA POWIERZCHNIACH GRANITOWYCH. Cholera!
- W każdym razie - rzucam pospiesznie, przykrywając ścierką zielone kropelki - przeszkadzasz mi. - Chwytam miotełkę do wycierania kurzu i zaczynam strącać okruszki chleba ze stołu. - Przepraszam...
- W takim razie zostawię cię tu samą - mówi Nathaniel, a jego usta drgają podejrzanie. Spogląda na miotełkę do kurzu. - Nie lepiej by było użyć do tego zmiotki i szufelki?
Spoglądam niepewnie na miotełkę do kurzu. Co jest nie tak? A tak w ogóle to kim on jest, policjantem z wydziału usuwania kurzu?
- Mam swoje metody - rzucam, unosząc dumnie głowę. -Dziękuję.

- W porządku - uśmiecha się szeroko. - Do zobaczenia.
Nie pozwolę na to, żeby mnie speszył. Potrafię sprzątnąć ten dom. Potrzebuję po prostu... planu. Tak. Rozkładu dnia, tak jak w pracy.
Gdy tylko Nathaniel wychodzi, chwytam długopis i kartkę, i zaczynam spisywać listę obowiązków do wypełnienia w dniu dzisiejszym. Wyobrażam sobie, jak gładko przechodzę od jednej do drugiej czynności, ze szczotką w jednej ręce i miotełką do kurzu w drugiej, przywracając wszystMemu ład i porządek. Zupełnie jak Mary Poppins.
9.30-9.36 posłać łóżka
9.36-9.42 wyjąć rzeczy z pralki i włożyć do suszarki 9.42-10.00 posprzątać łazienki
Dochodzę do końca i z nowym przypływem optymizmu odczytuję listę ponownie. Tak lepiej. To mi się bardziej podoba. W takim tempie powinnam spokojnie wyrobić się do lunchu.
9.36 Cholera! Nie potrafię posłać łóżka. Dlaczego prześcieradło nie chce leżeć prosto?
9.42 I dlaczego materace muszą być takie ciężkie?
9.54 To czysta tortura. Nigdy w życiu tak mnie nie bolały ramiona. Koce ważą chyba tonę, prześcieradła nie chcą się wyprostować i nie mam pojęcia, jak je założyć na tych cholernych rogach łóżka. Jak te pokojówki to robią? No jak?
10.30 Nareszcie. Po godzinie harówki udało mi się pościelić jedno łóżko. Jestem daleko w tyle za grafikiem, ale to nie szkodzi. Czeka mnie pranie.
10.36 Nie. Błagam, nie! Nie mogę na to patrzeć. Kompletna katastrofa. Wszystko w pralce zrobiło się różowe. Wszy-ściuteńko. Co się stało?

Drżącą dłonią wyciągam wilgotny kaszmirowy sweterek. Przedtem był kremowy, teraz ma kolor różowej waty cukrowej. Wiedziałam, że K3 oznaczało coś niedobrego. Wiedziałam!
Tylko spokojnie. Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji, po prostu musi. Zaczynam przeglądać zestaw pojemników i butelek ustawionych na półkach w pralni. Stain Away... Vanish... musi być na to jakiś sposób. Potrzebuję tylko chwilę do namysłu...
10.42 Tak jest, już wiem. Może nie zadziałać, ale to najlepsze, co potrafiłam wymyślić.
11.00 Właśnie wydałam 852 funty, kupując nowe rzeczy w zastępstwie tych, które wyprałam. Musiałam wybrać najbardziej podobne ubrania, jakie się dało. Sprzedawcy w Har-rodsie byli bardzo pomocni i obiecali, że wyślą wszystko jutro ekspresem. Mam tylko nadzieję, że Trish i Eddie nie zauważą magicznej odnowy ich garderoby. Teraz już tylko muszę się pozbyć wszystkich poróżowiałych ciuszków i zabrać do reszty rzeczy z listy.
11.06 O nie! Prasowanie. Co mam zrobić z tym fantem?
11.12 No dobrze. Przejrzałam lokalną gazetę i na to również znalazłam rozwiązanie. Dziewczyna z miasteczka zabierze koszule do siebie, wyprasuje je przez noc za jedyne trzy funty za sztukę i przy szyje guzik Eddiemu. Jak do tej pory moja nowa posada kosztowała mnie już niemal tysiąc funtów, a nie minęło jeszcze południe.
11.42 Wszystko idzie dobrze. Znakomicie. Włączyłam odkurzacz i wędruję z nim gładko po pokojach...
Cholera, co to było? Co się nagle stało? Dlaczego odkurzacz wydaje takie dziwne rzężące odgłosy? Czyżbym go zepsuła?

11.48 Ile kosztuje nowy odkurzacz?
12.24 Potwornie bolą mnie nogi. Całe wieki spędziłam, klęcząc na twardej terakocie, czyszcząc łazienkę. Ostre brzegi płytek wbijają mi się w kolana, gotuję się z gorąca, a płyny do mycia wanny wywołują u mnie kaszel. Chciałabym odpocząć, ale muszę pracować dalej. Nie mogę przerwać nawet na chwilę. Mam jeszcze tyle do roboty...
12.30 Co się dzieje z tą butelką bielinki? W którą Itronę skierowany jest wylot spryskiwacza? Zdezorientowana przekręcam końcówkę, wpatrując się w strzałki odciśnięte w plastiku... dlaczego nic nie wylatuje ze środka? OK, zamierzam ścisnąć to naprawdę mocno...
Cholera. Prawie trafiłam sobie wybielaczem w oko.
12.32 CHOLERA! Co się stało z moimi WŁOSAMI?!
O trzeciej po południu jestem totalnie wyczerpana. Nie dotarłam jeszcze nawet do połowy listy i nie wyobrażam sobie, że mogłabym skończyć wszystko, co miałam na dzisiaj zaplanowane. Nie wiem, jak ludzie sprzątają w domach. To najtrudniejsza praca, jaką kiedykolwiek wykonywałam.
Nie wypełniam moich obowiązków płynnie i z gracją Mary Poppins, już raczej rzucam się od jednego do drugiego niewykonanego zadania niczym bezgłowy kurczak. Teraz stoję na krześle, usiłując wyczyścić lustro w salonie. To prawdziwy koszmar. Im bardziej je wycieram, tym bardziej rozmazuję na nim brud.
Co rusz chwytam swoje odbicie. Nigdy w życiu nie wyglądałam bardziej niechlujnie. Włosy sterczą mi na wszystkie strony, a na grzywce tam, gdzie dotarła bielinka, mam groteskowy zielono-biały kosmyk. Moja twarz jest jaskrawoczer-wona i lśniąca od potu, oczy przekrwione ze zmęczenia, dłonie zaróżowione i obolałe od ciągłego tarcia.
Dlaczego to cholerne lustro nie chce się wyczyścić? Dlaczego?

- Umyj się! - krzyczę, niemal płacząc z frustracji. - Umyj się ty cholerne... cholerne...
- Samantha.
Przerywam gwałtownie szorowanie lustra i odwracam się. W drzwiach stoi Nathaniel, spoglądając na brudną szklaną powierzchnię.
- Próbowałaś octu?
- Octu? - Spoglądam na niego podejrzliwie.
- Pomaga rozpuścić tłusty osad. Zwłaszcza na szkle.
- Ach, tak. - Odkładam szmatkę, starając się odzyskać spokój i godność. - Wiedziałam o tym.
- Nieprawda. - Nathaniel potrząsa głową.
Spoglądam na jego stanowczy wyraz twarzy. Nie ma sensu dłużej udawać. Doskonale wie, że nigdy w życiu nie sprzątałam w żadnym domu.
- Masz rację - przyznaję wreszcie. - Nie wiedziałam. Gdy schodzę z krzesła, czuję ogarniającą mnie słabość. To ze zmęczenia. Przytrzymuję się kominka, próbując odzyskać jasność widzenia.
- Powinnaś trochę odpocząć - mówi zdecydowanym tonem. - Pracowałaś przez cały dzień, widziałem cię. Jadłaś coś na lunch?
- Nie miałam czasu.
Opadam na krzesło, nagle zbyt osłabiona, żeby cokolwiek zrobić. Boli mnie każdy mięsień, włączając te, z których istnienia dotychczas nie zdawałam sobie sprawy. Czuję się, jakbym właśnie ukończyła maraton albo przepłynęła kanał La Manche. A tu jeszcze czeka mnie polerowanie drewna i trzepanie mat.
- To... to jest trudniejsze, niż przypuszczałam - mówię w końcu. - Dużo trudniejsze.
- Uhm - kiwa głową, przyglądając mi się uważnie. - Co się stało z twoimi włosami?
- Bielinka. Sprzątałam toaletę.
Nathaniel parska śmiechem, ale nie przejmuję się tym. Szczerze mówiąc, niewiele mnie w tej chwili obchodzi.

- Jesteś bardzo pracowita - mówi. - Trzeba ci to przyznać. A z czasem będzie ci coraz łatwiej...
- Nie potrafię tego robić - słowa wychodzą z moich ust, zanim udaje mi się je powstrzymać. - Nie umiem być gosposią. Jestem... beznadziejna.
- Pewnie, że potrafisz. - Nathaniel sięga do plecaka i wyciąga puszkę coli. - Masz, napij się. Nie możesz pracować bez paliwa.
- Dziękuję. - Przyjmuję napój z wdzięcznością. Otwieram puszkę z psyknięciem i upijam łyk coli. To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek piłam. Popijam jeszcze trochę, a potem jeszcze.
- Oferta nadal jest aktualna - rzuca Nathaniel po chwili milczenia. - Moja mama nauczy cię paru rzeczy, jeśli chcesz.
- Naprawdę? - Wycieram usta, odgarniam spocone włosy i spoglądam na niego z nadzieją. - Zrobiłaby to... dla mnie?
- Lubi wyzwania. - Nathaniel uśmiecha się lekko. - Nauczy cię pracy w kuchni i wszystkiego, czego będziesz potrzebowała. - Spogląda z lekkim zdziwieniem na usmarowane lustro.
Czuję nagle piekące upokorzenie i uciekam wzrokiem w bok. Nie chcę okazać się osobą bezużyteczną. Chciałabym nie potrzebować tych lekcji. Nie jestem tego typu osobą. Chcę zrobić to wszystko sama, bez proszenia kogokolwiek o pomoc. Muszę być jednak realistką. Prawda jest taka, że potrzebuję pomocy. Poza tym, jeśli dalej będzie mi szło tak jak dziś, zbankrutuję po dwóch tygodniach. Spoglądam na Nathaniela.
- To wspaniale - mówię z pokorą. - Naprawdę to doceniam. Dziękuję.

12

W sobotę budzę się z sercem walącym w piersi. Zrywam się na równe nogi, myśląc w panice o wszystkim, co muszę

dzisiaj zrobić... a potem zatrzymuję się jak samochód, z piskiem hamulców. Przez chwilę nie mogę się poruszyć, a potem z wahaniem kładę się do łóżka, ogarnięta najdziwniejszym, najbardziej niezwykłym uczuciem w życiu. Nie mam nic do roboty.

Żadnych kontraktów do przeczytania, żadnych mej li czekających na odpowiedź, żadnych posiedzeń nadzwyczajnych w biurze. Nic.

Marszczę brwi, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałam wolne, ale chyba mi się to nie uda. Od siódmego roku życia zawsze miałam coś do roboty. Wstaję z łóżka, podchodzę do okna, spoglądam na poranny krajobraz, przejrzyste niebo i usiłuję zorientować się w sytuacji. To mój wolny dzień. Nikt nie może mi kazać pracować, wezwać mnie, zażądać mojej obecności. To mój prywatny czas. Czas dla mnie.

Kiedy tak stoję przy oknie, kontemplując ów fakt, narasta we mnie bardzo dziwne uczucie lekkości i radości. Jestem niczym balonik wypełniony helem. Wolna. Spoglądam na swoje odbicie w szybie i na mojej twarzy pojawia się euforyczny uśmiech. Po raz pierwszy w życiu mogę robić to, na co mam ochotę.

Sprawdzam godzinę - jest dopiero siódma piętnaście. Dzień jawi się przede mną niczym biała kartka papieru. Co mam zrobić? Od czego zacząć? Czuję kolejną falę radości zalewającą moje serce i mam ochotę roześmiać się w głos. Zaczynam w myślach układać plan dnia. Zapomnijmy o sześcio-minutowych segmentach, o ciągłym pośpiechu. Zamierzam zacząć odliczać czas w godzinach. Godzina na pławienie się w wannie i ubieranie. Godzina na zjedzenie śniadania, następna na przeczytanie gazety od deski do deski. Zamierzam spędzić dziś najbardziej leniwy, wolny od wszelkich trosk, radosny poranek, jaki kiedykolwiek nastał w moim dorosłym życiu.

Ruszam do łazienki i czuję, jak wszystkie mięśnie kurczą się z bólu i przemęczenia. Nawet te, których istnienia nie byłam dotychczas świadoma. Naprawdę powinni wprowadzić

sprzątanie domu jako nową odmianę gimnastyki. Napuszczam wody do wanny, wlewam trochę olejku do kąpieli, wchodzę do pachnącej wody i rozluźniam się. Cudownie. Zamierzam tu siedzieć całymi godzinami. Zamykam oczy, woda omywa mi ramiona, pozwalam swobodnie upływać czasowi. Chyba nawet na chwilę zasypiam. Nigdy przedtem nie siedziałam tak długo w wannie.
W końcu otwieram oczy i sięgam po ręcznik. Wycierając się, z ciekawości spoglądam na zegarek.
Siódma trzydzieści. .
Co takiego?
Spędziłam w wannie jedynie piętnaście minut?
Jestem bardzo zaskoczona. Jakim cudem kąpałam się tylko przez kwadrans? Stoję, ociekając wodą, niepewna, czy powinnam wrócić do wanny i powtórzyć wszystko, tyle że znacznie wolniej.
Nie. To byłoby zbyt dziwaczne. Nic nie szkodzi, że wykąpałam się za szybko. Po prostu nie mogę się spieszyć ze śniadaniem i smakować każdy kęs.
Przynajmniej mam co na siebie włożyć. Wczoraj po południu Trish zabrała mnie do centrum handlowego kilka kilometrów stąd, żebym kupiła trochę bielizny, jakieś szorty i letnie sukienki. Powiedziała, że sama mam zdecydować o doborze rzeczy, a potem ciągała mnie po sklepach, pokazując, co mam kupić. Jakimś cudem udało mi się nie wybrać ani jednej czarnej rzeczy.
Dość niepewnie wkładam różową sukienkę z halką i sandały. Przyglądam się sobie. Nigdy przedtem nie nosiłam różowych rzeczy. Ku mojemu zdziwieniu nie wyglądam wcale źle. Tylko ten kosmyk wybielonych włosów, z którym muszę coś zrobić.
Przechodzę korytarzem obok sypialni Geigerów. Nie dobiega mnie stamtąd żaden dźwięk. W milczeniu mijam drzwi do ich pokoju i nagle czuję się dziwnie. Spędzę w ich domu cały weekend, nic nie robiąc. Chyba lepiej, jeżeli wieczorem wyjdę gdzieś na miasto, zejdę im z oczu.

Kuchnia jak zwykle jest pusta i lśniąca, ale przestaje mnie już tak onieśmielać. Wiem, jak obsługiwać toster i czajnik, a w spiżarce znalazłam spory zapas dżemów. Na śniadanie przygotuję sobie grzankę z marmoladą z pomarańczy i imbiru oraz filiżankę kawy. No i oczywiście przeczytam gazetę od deski do deski. To powinno mi zająć czas do jedenastej, a wtedy pomyślę, co robić dalej.
Na wycieraczce leży dzisiejsze wydanie „The Times". Przynoszę je do kuchni dokładnie w chwili, kiedy moja grzanka wyskakuje z tostera.
To dopiero jest życie!
Siadam przy oknie z chrupiącą kanapką i popijając kawę, wertuję gazetę. Po pochłonięciu trzech grzanek, dwóch filiżanek kawy i wszystkich artykułów, wyciągam w górę ramiona, ziewam głośno i spoglądam na zegarek.
Nie mogę w to uwierzyć. Jest dopiero za cztery ósma.
Co się ze mną dzieje? Miałam jeść śniadanie godzinami -spędzić tu cały poranek, a nie skończyć wszystko w ciągu ledwie dwudziestu minut. No dobrze, nie szkodzi. Nie stresujmy się tym. Odprężę się w jakiś inny sposób.
Wkładam brudne naczynia do zmywarki i ścieram z blatu okruszki. Potem siadam przy stole i rozglądam się, zastanawiając się nad kolejnym krokiem. Jest za wcześnie, żeby wychodzić na miasto.
Nagle przyłapuję się na stukaniu paznokciami w blat stołu. Natychmiast przestaję i przyglądam się dłoniom. Co za idiotyzm. To mój pierwszy wolny dzień od niemal dziesięciu lat. Powinnam czuć się zrelaksowana. Na pewno jestem w stanie wymyślić jakąś przyjemną rozrywkę.
Co robią ludzie z wolnym czasem? Przypominam sobie obrazki zapamiętane z telewizji. Mogłabym zrobić sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, tyle że wypiłam już dwie i chyba nie mam ochoty na kolejną. Po raz kolejny przejrzeć gazetę? Problem w tym, że mam pamięć fotograficzną, więc czytanie czegoś dwa razy jest pozbawione sensu. Moje spojrzenie wędruje w kierunku ogrodu za oknem. Na kamiennym słupie

przysiadła wiewiórka, rozglądając się wokoło lśniącymi oczkami. Może wyjdę na zewnątrz, nacieszę się ogrodem i w ogóle przyrodą skąpaną w porannej rosie? Doskonały pomysł.
Tyle że poranna mgła strasznie moczy nogi. Wędruję przez wilgotną trawę, żałując, że włożyłam sandałki albo nie poczekałam trochę z tym spacerem. Ogród jest dużo większy, niż przypuszczałam. Idę po trawniku w kierunku zdobnego żywopłotu, gdzie chyba ogród się kończy. Na miejscu jednak okazuje się, że za zieloną barierą rozciąga się dalsza cześć terenu, zakończona sadem, a po lewej stronie ogrodem.
Wszystko tu jest przepiękne, nawet ja to dostrzegam. Kwiaty mają intensywne, choć łagodne kolory, każda ściana budynku pokryta jest pnączami lub winoroślą, a przechodząc przez sad, dostrzegam na drzewach małe złote gruszki. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam gruszki wiszącej na gałęzi.
Mijam drzewa owocowe i zbliżam się do ogromnej, kwadratowej działki, na której rosną w rządkach rośliny, zapewne warzywa. Ostrożnie szturcham jedną z nich stopą. To pewnie kapusta albo sałata. Albo liście jakiejś bulwy. Szczerze powiedziawszy, równie dobrze mógłby to być przybysz z kosmosu. I tak nie zrobiłoby mi to różnicy.
Spaceruję jeszcze przez chwilę, a potem siadam na obrośniętej mchem drewnianej ławeczce i spoglądam na pobliski krzak obsypany białym kwieciem. Hmmm, piękne.
Co teraz? Co ludzie zazwyczaj robią w ogrodzie? Czuję, że powinnam mieć ze sobą coś do czytania. Albo zadzwonić do kogoś. Dłonie mnie świerzbią z bezczynności. Spoglądam na zegarek. Dopiero szesnaście po ósmej. O rany!
Nie, nie mogę się poddać tak łatwo. Posiedzę tutaj chwilkę, porozkoszuję się ciszą i spokojem. Usadawiam się wygodniej na ławeczce i przyglądam małemu ptaszkowi, który wydziobuje coś z pobliskiego trawnika. Potem zerkam na zegarek. Ósma siedemnaście.
Nie potrafię tak.
Nie umiem lenić się przez cały dzień. Oszaleję z bezczyn-

ności. Muszę pójść do wioski i kupić nową gazetę. Jeżeli przypadkiem będą mieli *Wojną i pokój,* to chyba też się zdecyduję. Wstaję i zaczynam szybko maszerować przez trawnik w kierunku domu, gdy nagle zatrzymuje mnie krótki pisk dobywający się z kieszeni. Komórka.
Otrzymałam wiadomość. Ktoś właśnie do mnie napisał, wczesnym niedzielnym porankiem. Wyciągam telefon i zdenerwowana spoglądam na wyświetlacz. Przez ponad jeden dzień nie miałam kontaktu ze światem zewnętrznym. Wiem, że w skrzynce są jeszcze inne wiadomości - nie przeczytałam żadnej z nich. Zdaję sobie również sprawę, że w poczcie głosowej czekają nagrania do odsłuchania, ale tego też do tej pory nie zrobiłam. Nie chcę. Próbuję odsunąć od siebie pamięć dawnych dni.
Obracam komórkę w dłoniach, nakazując sobie ją odłożyć, ale jestem zbyt ciekawska. Ktoś napisał do mnie wiadomość. Kilka sekund temu jakiś człowiek trzymał w dłoni swój telefon, pisząc do mnie list. Nagle przed oczami pojawia mi się wizja Guya w jego „prywatnym" stroju - drelichowych spodniach i niebieskiej bluzce, siedzącego przy biurku i marszczącego brwi podczas pisania SMS-a.
Z przeprosinami.
Z nowinami. Z nowym zakończeniem mojej historii - takim, którego nie byłabym w stanie wczoraj przewidzieć...
Nie mogę się powstrzymać. Choć wiem, co się zdarzyło, czuję iskierkę nadziei. Stoję tak na środku trawnika i czuję, jak mój umysł ulatuje z ogrodu, przenosząc się z powrotem do Londynu, do firmy. Nie było mnie tam całą dobę. W ciągu dwudziestu czterech godzin wiele się mogło zmienić, może na lepsze.
Albo... na gorsze. Chcą mnie pozwać do sądu. Wnieść przeciwko mnie sprawę.
Czuję narastające napięcie. Zaciskam mocniej palce na telefonie. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi, nieważne, czy to dobre, czy złe wiadomości. Otwieram klapkę i wchodzę do

skrzynki. Wiadomość została wysłana z numeru, którego nie rozpoznaję. Kto to? Kto do diabła do mnie napisał? Czuję lekkie mdłości, ale otwieram list i czytam:

hej samantha, tu nathaniel.

Nathaniel? Nathaniel?

Czuję tak ogromną ulgę, że zaczynam się śmiać na głos. Oczywiście! Wczoraj dałam mu numer telefonu, żeby przekazał go mamie. Odczytuję resztę wiadomości:

mama mówi, że może zacząć cię uczyć gotowania dzisiaj, jeśli chcesz, nat

Lekcja gotowania. Czuję radosne podniecenie. To jest to! Doskonały sposób na wypełnienie dnia. Wybieram opcję „odpowiedź" i szybko piszę:

z przyjemnością, dzięki, sam

Wysyłam wiadomość z lekkim uśmiechem. Szykuje się doskonała zabawa. Chwilę później telefon znowu piszczy.

o której? 11 to za wcześnie? nat

Spoglądam na zegarek. Do jedenastej jest jeszcze dwie i pół godziny. Dwie i pół godziny nierobienia niczego z wyjątkiem czytania gazety oraz unikania Trish i Eddiego. Odpowiadam:

możemy zacząć o 10? sam

za pięć dziesiąta jestem już w holu. Podobno trudno jest trafić do domu mamy Nathaniela, więc plan jest taki, że spotkamy się tutaj i zaprowadzi mnie. Spoglądam na swoje odbicie w lustrze i krzywię się z przerażeniem. Biały kosmyk razi

w oczy. Próbuję ułożyć włosy inaczej, ale nie mogę go ukryć. Może powinnam trzymać rękę na głowie, tak jak gdybym nad czymś rozmyślała? Wypróbowuję kilka zadumanych póz przed lustrem.
- Boli cię głowa?
Odwracam się przerażona i widzę Nathaniela, stojącego w otwartych drzwiach. Ma na sobie dżinsy i koszulę w szkocką kratę.
- Tak... nie - odpowiadam z dłonią wciąż przyklejoną do głowy. - Ja tylko...
Och, nie ma sensu udawać. Opuszczam ramiona. Nathaniel przygląda się przez chwilę białemu kosmykowi.
- Fajnie z tym wyglądasz - mówi wreszcie. - Jak borsuk.
- Jak borsuk? - pytam urażona. - Wcale nie wyglądam jak borsuk. - Spoglądam w lustro, żeby się upewnić. Nie, nie wyglądam.
- Borsuki to piękne stworzenia. - Nathaniel wzrusza ramionami. - Wolałbym wyglądać jak borsuk niż jak gronostaj.
Chwileczkę. Od kiedy to mam do wyboru borsuka i gronostaja? Nie wiem nawet, jak zaczęliśmy tę rozmowę.
- Może powinniśmy już iść - mówię z godnością. Chwytam torebkę i już przy drzwiach po raz ostatni rzucam spojrzenie w lustro.
No dobrze, może rzeczywiście wyglądam trochę jak borsuk.
Na dworze powietrze zdążyło się ogrzać w letnim słońcu. Gdy idziemy żwirowanym podjazdem, z zachwytem wdycham przepiękny kwiatowy zapach, w którym zdecydowanie rozpoznaję nuty...
- Kapryfolium i jaśmin! - wykrzykuję w nagłym zrozumieniu. W domu mam olejek do kąpieli Jo Malone o takim samym zapachu.
- Kapryfolium porasta ścianę. - Nathaniel wskazuje na plątaninę łodyżek usianych bladożółtymi kwiatami, wspinających się po murze ze starego piaskowca. - Zasadzone rok temu.

Spoglądam na delikatne kwiatki z zainteresowaniem. A więc tak wygląda kapryfolium.
- Natomiast jaśminu tu nie ma. Naprawdę czujesz jego zapach?
- No... - rozkładam ręce w geście niepewności. - Może nie.
Nie sądzę, że powinnam w tej chwili wspominać o olejku do kąpieli Jo Malone. Chyba w ogóle nie powinnam o tym wspominać.
Wychodząc za bramę, nagle zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy od mojego tu przybycia opuszczam posiadłość Geigerów - nie licząc wypadu po zakupy z Trish, ale wtedy byłam zbyt zajęta poszukiwaniem kompaktu Celinę Dion w schowku jej samochodu, żeby podziwiać krajobrazy. Nathaniel skręca w lewo i oddala się drogą, ale ja nie mogę się ruszyć. Wpatruję się w rozciągający się przede mną widok z otwartą buzią. Ta wioska jest niesamowicie piękna. Nie miałam pojęcia, jak bardzo.
Rozglądam się, patrzę na stare kamienne mury koloru dojrzałego miodu, rzędy starodawnych dworków z dwuspadowymi dachami, małą rzeczkę przemykającą pomiędzy wierzbami. Przede sobą widzę pub, na który natknęłam się zaraz po przyjeździe tutaj. Jest udekorowany wiszącymi koszami pełnymi kwiatów. Z oddali dobiega stukot końskich podków. Wszystko w idealnej harmonii, miękkie i łagodne, można, by pomyśleć, że nic się tu nie zmieniło od setek lat.
- Samantha? - Nathaniel zauważył wreszcie, że stanęłam w miejscu.
- Przepraszam - pospiesznie dołączam do niego. - Po prostu nie zdawałam sobie sprawy, jak tu pięknie!
- To prawda, jest nieźle. - W jego głosie słyszę nutkę dumy. - Zbyt wielu turystów, ale... - Wzrusza ramionami.
- Nie miałam pojęcia! - Ruszamy drogą, a ja nie przestaję rozglądać się z zachwytem. - Popatrz na rzekę! A ten mały kościółek?! - Czuję się jak dziecko odkrywające nową zabawkę. Przedtem prawie nigdy nie odwiedzałam angielskiej

wsi. Zawsze zostawaliśmy w Londynie albo wyjeżdżaliśmy za granicę. Byłam w Toskanii więcej razy, niż jestem w stanie spamiętać, a kiedyś spędziłam pół roku w Nowym Jorku, dlatego że mama została tam tymczasowo oddelegowana do pracy. Nigdy w życiu nie byłam jednak w Cotswold*.
Przechodzimy przez rzekę po starym, łukowatym kamiennym moście. Na jego szczycie przystaję, żeby przyjrzeć się kaczkom i łabędziom.
- Prześliczne - wzdycham. - Absolutnie cudowne.
- Nie zauważyłaś tego zaraz po przyjeździe? - Nathaniel przygląda mi się rozbawiony. - Spadłaś z nieba czy co?
Przypominam sobie moją panikę, desperacką ucieczkę, wysiadanie z pociągu, przeszywający ból głowy, rozmywające się obrazy.
- Coś w tym stylu - odpowiadam wreszcie. - Nie wiedziałam dobrze, dokąd zmierzam.
Oboje przyglądamy się parze łabędzi, która z dostojeństwem wpływa pod mostek. Zerkam na zegarek. Już pięć po dziesiątej.
- Powinniśmy iść - mówię lekko zaniepokojona. - Twoja mama na nas czeka.
- Nie ma pośpiechu - woła za mną Nathaniel, gdy ruszam szybkim krokiem w dalszą drogę. - Mamy cały dzień. - Powoli schodzi z mostka i dołącza do mnie. - Wszystko w porządku, możesz zwolnić.
Rusza dalej drogą, ja zaś idę obok, próbując dopasować się do jego rytmu. Nie jestem jednak przyzwyczajona do takiego leniwego tempa. Zawsze gdzieś się spieszę, gnam przed siebie chodnikami, przepycham się łokciami przez tłum przechodniów.
- Wychowałeś się tutaj? - pytam, zmuszając nogi do zwolnienia.
- Uhm. - Skręca w lewo, na wąską brukowaną dróżkę. -
* Cotswold Hills, pasmo wzgórz wapiennych w środkowo-południowej Anglii.

Wróciłem tu, kiedy zachorował mój tata. Po jego śmierci musiałem pozałatwiać różne sprawy i zająć się mamą. To było dla niej ciężkie przeżycie. W finansach panował bałagan... wszystko było w totalnym nieporządku.
- Przykro mi z powodu taty - odpowiadam niepewnym tonem. - Masz jeszcze kogoś z najbliższej rodziny?
- Brata, Jake'a. Wrócił tutaj na tydzień - mówi Nathaniel z ociąganiem. - Prowadzi własną firmę. Odnosi wielkie sukcesy. - Jego głos jest nadal swobodny, ale wyczuwam w nim nutkę... czegoś. Może nie powinnam dalej pytać.
- Ja z pewnością bym tu zamieszkała - rzucam entuzjastycznie.
Nathaniel spogląda na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.
- Przecież tu mieszkasz - przypomina mi.
Czuję ukłucie zdziwienia. Chyba ma rację. Technicznie rzecz biorąc, rzeczywiście, już tutaj mieszkam. Kilka kolejnych metrów pokonuję w milczeniu, trawiąc tę nową myśl. Nigdy przedtem nie mieszkałam nigdzie indziej niż w Londynie, wyłączywszy trzy lata studiów w Cambridge. Od kiedy pamiętam, mój kod pocztowy zaczynał się od liter NW*, a mieszkanie miało numer 0207. To ja... to byłam ja. Dawna ja. Coraz bardziej mgliste pojęcie. Kiedy myślę o sobie choćby sprzed tygodnia, czuję się tak, jakbym spoglądała na siebie przez kalkę kreślarską. Wszystko, co kiedyś ceniłam, zostało zniszczone. Nadal jestem obolała i zraniona, ale z drugiej strony... bardziej niż kiedykolwiek ożywiona nowymi możliwościami. Oddycham pełną piersią, zachłystując się zdrowym wiejskim powietrzem i czuję nagły przypływ optymizmu, niemal euforii. Pod wpływem impulsu zatrzymuję się pod ogromnym drzewem i wpatruję w jego zieloną gęstą koronę.
- Jest taki piękny wiersz Walta Whitmana o dębie. - Podnoszę dłoń i delikatnie głaszczę chłodną, popękaną korę.
-Widziałem w Luizjanie dąb dziarsko rosnący, Samotnie stał

a mech zwisał mu z konarów*. - Spoglądam na Nathaniela, oczekując, że jest pod wrażeniem.
- To buk - mówi, kiwając głową w kierunku drzewa. Ach tak.
Nie znam żadnych wierszy o bukach.
- Jesteśmy na miejscu. - Otwiera żelazną furtkę i zaprasza mnie do przejścia. Wkraczam na kamienną ścieżkę prowadzącą do małego domku wiejskiego z niebieskimi zasłonami w kwiaty w oknach.
- Za chwilę poznasz swoją nauczycielkę gotowania.
Mama Nathaniela jest zupełnie inna, niż się spodziewałam. Wyobrażałam sobie kogoś w rodzaju ciepłej, miłej pani Tiggywinkle z siwymi włosami spiętymi w kok i półokrągłymi okularami. Tymczasem staję przed żylastą kobietą z żywotną, piękną twarzą, jasnoniebieskimi oczami i z malutkimi kurzymi łapkami w ich kącikach. Siwiejące włosy są zaplecione w dwa warkocze, pod fartuchem kuchennym ma na sobie podkoszulek, dżinsy i espadryle. Z zapałem wygniata jakieś ciasto.
- Mamo. - Nathaniel uśmiecha się i wpycha mnie do kuchni. - To jest Samantha. Samantho, poznaj moją mamę, Iris.
- Witaj, Samantho. - Iris spogląda na mnie, nie przerywając pracy. Niemniej czuję, że mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. - Pozwól, że skończę zagniatać ciasto.
Nathaniel prosi gestem, żebym spoczęła, więc nieśmiało przysiadam na drewnianym krześle. Kuchnia znajduje się na tyłach domu i jest pełna słońca. Wszędzie stoją kamionkowe wazoniki wypełnione kwiatami. Widzę staroświecki piekarnik na gaz, stary drewniany stół i dwuskrzydłowe drzwi otwarte na oścież. Kiedy zastanawiam się, o czym porozmawiać, do kuchni wkracza kurczak i zaczyna drapać łapką o podłogę.
- O kurczę! - wykrzykuję, zanim jestem w stanie się powstrzymać.
* Przełożył Andrzej Szuba, 1991.

- Zgadza się, kurczę. - Iris spogląda na mnie z lekką kpiną. - Nigdy przedtem nie widziałaś kurczaka?
Tylko w zamrażarce w Waitrose. Kurczak zbliża się, dziobiąc, do moich odzianych w sandały stóp. Szybko chowam je pod krzesło, usiłując sprawić wrażenie, że właśnie i tak miałam to zrobić.
- No dobrze. - Iris unosi ciasto, formuje zeń kształtną kulkę i odkłada na tackę do pieczenia, po czym otwiera drzwiczki do piekarnika i wkłada wszystko do środka. Myje ubrudzone mąką ręce i spogląda na mnie.
- Rozumiem, że chciałaś się nauczyć gotować - nąówi przyjacielskim, lecz jednocześnie rzeczowym tonem. Wyczuwam, że ta kobieta nie rzuca słów na wiatr.
- Tak - uśmiecham się. - Dziękuję.
- Kuchnia francuska i takie tam bajery - wtrąca Nathaniel, opierając się o kuchenkę.
- Ile wiesz o gotowaniu? - Iris wyciera ręce w czerwony kratkowany ręczniczek. - Nathaniel powiedział, że zero. To chyba nie może być prawda. - Składa ściereczkę i uśmiecha się do mnie po raz pierwszy od naszego spotkania. - Co potrafisz ugotować? Jakie są twoje podstawy? - Jej intensywnie niebieskie spojrzenie sprawia, że czuję się nieco zdenerwowana. Rozpaczliwie przeszukuję umysł, usiłując przypomnieć sobie, co potrafię przyrządzić.
- Ja... umiem... umiem zrobić... grzanki - mówię. -Grzanki to moja podstawa.
- Grzanki? - Iris wygląda na nieprzyjemnie zaskoczoną. -Tylko tyle?
- I racuszki - dodaję szybko. - Bułeczki z rodzynkami... wszystko, co da się podgrzać w opiekaczu...
- Ale ja pytałam o gotowanie. - Przerzuca ręczniczek przez metalową poręcz na kuchence i przygląda mi się uważnie. - Co... na przykład z omletem? Na pewno potrafisz usmażyć omlet.
Przełykam głośno.
- Raczej nie. - Iris spogląda na mnie z takim niedowie-

rzaniem, że czuję, jak policzki płoną mi ze wstydu. - Nigdy nie miałam zajęć ZPT w szkole - wyjaśniam. - Nie nauczyłam się gotować.
- Ale twoja matka na pewno... albo babcia... - przerywa, kiedy potrząsam przecząco głową. - Ktokolwiek?
Zagryzam wargi. Iris gwałtownie wypuszcza powietrze z płuc, jakby pierwszy raz słyszała o czymś równie dziwacznym.
- Rozumiem w takim razie, że w ogóle nie potrafisz gotować. Co obiecałaś przyrządzić dla Geigerów?
O Boże.
- Trish chciała, żebym podała jej przykładowe menu na tydzień, więc... oparłam się na tym. - Wyciągam nieśmiało z torebki pogniecione menu od Maxima i wręczam jej.
- Assemblé z duszonej jagnięciny i młodych cebulek, kar-melizowane ziemniaki purée z chrupiącą panierką z sera koziego oraz kardamonowy szpinak - odczytuje Iris z niedowierzaniem.
Słyszę parsknięcie i widzę, że Nathaniel ledwo powstrzymuje się od śmiechu.
- To wszystko, co miałam! - wykrzykuję obronnym tonem. - Co miałam im zaproponować, rybę z frytkami?
- Assemblé to tylko ładna nazwa. - Iris nadal uważnie studiuje kartę dań. - To taka podrasowana zapiekanka z mięsa i ziemniaków. Mogę cię nauczyć to gotować. Duszonego pstrąga z migdałami też bardzo prosto przygotować... - przesuwa palcem w dół strony i wreszcie spogląda na mnie, marszcząc brew. - Mogę cię nauczyć przygotowania tych potraw, Samantho, ale to nie będzie proste, jeżeli nigdy przedtem nie gotowałaś. - Spogląda na Nathaniela. - Nie jestem pewna...
Widzę wyraz jej twarzy i ogarnia mnie strach. Proszę, niech tylko nie mówi, że chce się wycofać.
- Szybko się uczę. - Pochylam się ku niej. - Poza tym jestem bardzo pracowita. Zrobię, cokolwiek pani każe. Naprawdę bardzo mi na tym zależy.

Spoglądam na nią szczerze, próbując przekazać pozawer-balną wiadomość: Proszę, bardzo potrzebuję pomocy.
- W porządku - mówi wreszcie Iris. - Nauczymy cię gotować.
Sięga do szafki i wyciąga stamtąd wagę i kubki miarowe. Wykorzystuję tę chwilę, żeby wyciągnąć z torebki plik papieru i długopis. Iris odwraca się i spogląda na mnie nieco zdezorientowana.
- Po co to? - Kiwa w kierunku kartek.
- To do robienia notatek - odpowiadam. Zapisuję datę oraz tytuł: „Lekcja gotowania nr 1", podkreślam ws^stko i spoglądam na nią. Iris powoli potrząsa głową.
- Samantho, nie będziesz robiła żadnych notatek. Gotowanie nie polega na pisaniu, tylko na smakowaniu, wąchaniu, wyczuwaniu, dotykaniu.
- Rozumiem. - Kiwam głową ze znawstwem.
Muszę to zapamiętać. Szybko zdejmuję skuwkę z długopisu i zapisuję: „Gotowanie = smakowanie, wąchanie, wyczuwanie, dotykanie itd.". Zakładam skuwkę i spoglądam na Iris, która przygląda mi się z niedowierzaniem.
- Smakowanie - mówi, odbierając mi kartki i długopis. -Nie pisanie. Musisz zacząć używać swoich zmysłów. Instynktów - uchyla pokrywkę garnka, w którym coś gotuje się na wolnym ogniu, i zanurza w nim łyżkę. - Spróbuj tego.
Ostrożnie wkładam łyżkę do ust.
- Sos do pieczeni - mówię natychmiast. - Pyszny! - dodaję uprzejmie.
Iris potrząsa głową.
- Nie mów mi, co to jest. Powiedz mi, co czujesz? Spoglądam na nią z niezrozumieniem. To zdecydowanie podchwytliwe pytanie.
- Czuję... sos.
Jej wyraz twarzy się nie zmienia. Zdecydowanie czeka na coś innego.
- Eee... mięso? - ryzykuję.
- Co jeszcze?

Mój umysł jest kompletnie pusty. Nie potrafię wymyślić niczego więcej. Przecież to sos. Co można więcej powiedzieć
o sosie?
- Spróbuj jeszcze raz. - Iris jest nieustępliwa. - Musisz się bardziej postarać.
Policzki czerwienieją mi z wysiłku, kiedy próbuję wymyślić kolejne słowa. Czuję się jak głupi dzieciak siedzący w ostatniej ławce, który nie potrafi wykonać mnożenia przez dwa.
- Mięso... woda. - Desperacko próbuję wymyślić, co jeszcze może składać się na sos. - Mąka! - wykrzykuję w nagłej inspiracji.

478.9 Tm[S

składników do następujących dań. - Spisuje długą listę i wręcza mu ją. - Pobiegnij do sklepu, kochanie.
Nathaniel wychodzi, a Iris spogląda na mnie z lekkim uśmiechem.
- Teraz było lepiej.
- Na Boga, pojęłam to w mig? - pytam z nadzieją. Iris odrzuca głowę do tyłu i śmieje się w głos.
- Jeszcze nie, kochanie. Jesteś na samym początku. Proszę, włóż to - wręcza mi fartuszek w biało-czerwone paski. Zawiązuję go wokół talii, zawstydzona.
- Dziękuję, że mi pani pomaga - jąkam się, gdy Ii* wyciąga cebule i jakieś pomarańczowe warzywa, których nie rozpoznaję. - Jestem naprawdę wdzięczna.
- Lubię wyzwania. - Spogląda na mnie błyszczącymi oczami. - Nudzę się. Nathaniel wszystko za mnie robi. Czasem nawet za dużo.
- No tak, ale przecież mnie pani nie zna...
- Spodobało mi się to, co o tobie usłyszałam. - Iris kładzie na stole deskę do krojenia. - Nathaniel opowiedział mi, jak wyszłaś z kryzysu ostatniej nocy. Trzeba mieć do tego niezły charakter.
- Musiałam coś zrobić - uśmiecham się żałośnie.
- A oni w rezultacie zaoferowali ci podwyżkę. Cudownie - uśmiecha się, a wokół jej oczu wykwitają zmarszczki jak gwiazdy. - Trish Geiger jest bardzo głupią kobietą.
- Lubię Trish. - Czuję ukłucie lojalności.
- Ja też. - Iris kiwa głową. - Była bardzo dobra dla Na-thaniela. Mimo to zapewne zauważyłaś, że ma bardzo mały rozumek, jeżeli w ogóle. - Mówi to tak poważnie, że chce mi się śmiać. Obserwuję ją, kiedy stawia ogromny lśniący garnek na kuchence, a potem odwraca się do mnie z założonymi rękoma. - Rozumiem, że kompletnie ich nabrałaś.
- Tak - uśmiecham się. - Nie mają pojęcia, kim jestem.
- A kim jesteś?
Jej pytanie całkowicie mnie zaskakuje. Otwieram usta, ale nie jestem w stanie wydać z siebie głosu.

- Naprawdę masz na imię Samantha?
- Tak! - wykrzykuję poruszona.
- To było trochę niemiłe - Iris unosi dłoń, przyznając się do winy. - Ale kiedy w małej wiosce nie wiadomo skąd pojawia się nagle dziewczyna i podejmuje pracę, o której nie ma zielonego pojęcia... - przerywa, jakby szukała odpowiednich słów. - Nathaniel powiedział mi, że uciekasz przed toksycznym związkiem.
- Tak - mamroczę ze spuszczoną głową. Czuję na sobie oceniające, bystre spojrzenie Iris.
- Nie chcesz o tym mówić, prawda?
- Nie, nie chcę.
Spoglądam na nią i widzę cień zrozumienia w jej oczach.
- W porządku. - Chwyta nóż. - Zaczynajmy. Podwiń rękawy, zepnij włosy i umyj ręce. Nauczę cię siekać cebulę.
Gotujemy przez cały weekend.
Uczę się, jak należy kroić cebulę w cienkie plasterki, a potem w malutką kostkę, jak siekać zioła specjalnym zaokrąglonym nożem, jak panierować kawałki mięsa w mące i imbirze, a potem wrzucać je na rozgrzaną żeliwną patelnię. Dowiaduję się, że ciasto należy zagniatać szybko, zimnymi rękoma przy otwartym oknie oraz w jaki sposób blanszuje się fasolkę przed obsmażeniem jej na maśle. Tydzień temu nie wiedziałabym nawet, na czym polega choćby obsmażanie.
W przerwach między gotowaniem siadamy z Iris na schodkach, obserwujemy grzebiące w ziemi kurczaki, popijamy świeżo zaparzoną kawę i jemy babeczki dyniowe albo kanapki z domowego chleba ze słonym serem i sałatą.
- Jedz i delektuj się - mówi Iris za każdym razem, gdy wręcza mi moją porcję, a potem z konsternacją potrząsa głową, gdy zaczynam jeść. - Nie tak szybko! Powoli! Smakuj jedzenie!
W niedzielę po południu pod przewodnictwem Iris przygotowuję pieczonego kurczaka nadziewanego szałwią i cebulą, gotowane na parze brokuły, przyprawiane kminkiem mar-

chewki i pieczone ziemniaki. Gdy wystawiam wielką formę z kurczakiem z piekarnika, przez chwilę delektuję się wonią pieczystego. Nigdy w życiu nie czułam bardziej domowego zapachu. Kurczak jest pokryty złotawą, chrupiącą skórką usianą piegami pieprzu, który rozkruszyłam tuż przed pieczeniem. Soki z pieczystego wciąż jeszcze bulgoczą w foremce.
- Czas na sos - woła Iris z drugiego kąta kuchni. - Wyjmij kurczaka z formy, przełóż na talerz... i przykryj. Trzeba trzymać go w cieple... teraz przechyl nieco foremkę. Widzisz te kuleczki tłuszczu pływające po powierzchni? Musisz je usunąć łyżką.
W tym samym czasie kończy posypywać placek ze śliwkami kruszonką. Dorzuca na wierzch kilka kawałków masła, wsuwa ciasto do piekarnika, a potem sięga po ścierkę i sprząta z blatu. Obserwowałam ją cały dzień, jak płynnie i precyzyjnie porusza się po kuchni, próbuje potrawy i cały czas kontroluje sytuację. Wszystko tu dzieje się tak, jak powinno, bez paniki, w absolutnym porządku.
- Bardzo dobrze - staje obok mnie, obserwując, jak miksuję sos. - Nie przerywaj... za chwilę zgęstnieje...
Nie mogę uwierzyć, że przyrządzam sos do pieczeni. Sama.
Co więcej - jak wszystko w kuchni Iris - wychodzi mi! Składniki mnie słuchają. Mieszanina sosu z upieczonego kurczaka, rosołu i mąki jakimś sposobem przekształca się w gładki, wonny gęsty płyn.
- Doskonale! - mówi Iris. - A teraz przelej to do ciepłego dzbanka... przez sitko, żeby odcedzić wszelkie grudki... widzisz, jakie to proste?
- Myślę, że jesteś czarodziejką - odpowiadam bezradnie. - To dlatego wszystko się tutaj udaje. Jesteś czarownicą kuchenną.
- Czarownica kuchenna! - chichocze Iris. - Podoba mi się to. No dobrze, ściągaj fartuch. Czas na delektowanie się tym, co przygotowałyśmy. - Zdejmuje swój fartuszek i wyciąga rękę po mój. - Nathanielu, nakryłeś już do stołu?

Nathaniel przewijał się przez kuchnię przez cały weekend i zdążyłam się przyzwyczaić do jego obecności. Właściwie to byłam tak zafrapowana gotowaniem, że prawie go nie zauważałam. Teraz obserwuję, jak układa na drewnianym stole plecione z sitowia maty, stare sztućce z rękojeściami z kości i miękkie kratkowane serwetki.
- Wino dla kucharek - mówi Iris, wyciąga butelkę z lodówki i odkorkowuje. Nalewa mi kieliszek i pokazuje na stół.
-Siadaj, Samantho. Już dosyć pracy na ten weekend. Musisz być wykończona.
- Czuję się świetnie! - odpowiadam automatycznie, jednak gdy opadam na najbliższe krzesło, uświadamiam sobie, jaka jestem zmęczona. Zamykam oczy i rozluźniam się po raz pierwszy tego dnia. Ramiona i plecy bolą mnie od całodniowego szatkowania i mieszania, a zmysły są zdezorientowane od całodniowego bombardowania ich mieszaniną nowych smaków, zapachów i sensacji.
- Nie zasypiaj! - Głos Iris sprowadza mnie z powrotem na ziemię. - To nasza nagroda! Nathanielu, kochanie, postaw na stole kurczaka Samanthy. Możesz go pokroić.
Otwieram oczy i widzę, jak Nathaniel zbliża się do stołu z pieczonym kurczakiem, chrupiącym, złotym, soczystym. Czuję przypływ dumy. Mój pierwszy pieczony drób. Mam ochotę zrobić mu zdjęcie.
- Chcesz powiedzieć, że sama to zrobiłaś? - pyta Nathaniel z niedowierzaniem.
Ha, ha, ha, bardzo śmieszne. Doskonale wie, że tak. Mimo wszystko nie mogę powstrzymać się od uśmiechu.
- To nic wielkiego, zrobiłam to mimochodem... - wzruszam ramionami. - Typowe dla dyplomowanych kucharzy.
Nathaniel kroi kurczaka z profesjonalną łatwością, podczas gdy Iris nakłada nam warzywa. Gdy wszyscy mają już pełne talerze, siada i unosi kieliszek.
- Za twoje zdrowie, Samantho. Doskonale sobie poradziłaś.
- Dziękuję. - Uśmiecham się i już zamierzam upić nieco

wina, kiedy dostrzegam, że żadne z nich nie wykonuje najmniejszego gestu.
- I za Bena - dodaje cicho Iris.
- W niedzielę zawsze wspominamy tatę - wyjaśnia Nathaniel.
- Och - waham się przez chwilę, a potem unoszę kieliszek.
- A teraz - Iris odstawia swoje wino z błyskiem w oku -nadeszła chwila prawdy.
Wkłada kawałek pieczeni do ust. Obserwuję, jak przdzuwa mięso, i staram się za wszelką cenę ukryć zdenerwowanie.
- Bardzo dobre. Naprawdę znakomite.
Nie mogę się powstrzymać od promiennego uśmiechu.
- Naprawdę? Naprawdę jest dobre?
Iris wznosi kieliszek do ponownego toastu.
- Na Boga. Nauczyła się przyrządzać pieczyste w błyskawicznym tempie.
Siedzę w poświacie wieczornego światła, nie mówię wiele, tylko jem i słucham Nathaniela i Iris. Opowiadają mi o tym, jak Eddie i Trish chcieli kupić miejscowy kościółek i przekształcić go w domek gościnny. Słucham i nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Nathaniel przedstawia nam plany ogrodu Geigerów. Rysuje alejkę cytrusową, jaką stworzył w Marchant House. Podekscytowany, zaczyna szkicować coraz szybciej, tępiąc ołówek, który trzyma w dłoni. Iris widzi, że przyglądam się rysunkom z podziwem i wskazuje palcem na akwarelę na ścianie, przedstawiającą staw z naszej wioski.
- To dzieło Bena. - Kiwa głową w kierunku Nathaniela: -Odziedziczył talent po ojcu.
Jest tak spokojnie i miło, zupełnie inaczej niż podczas posiłków w moim domu. Nikt nie wisi na telefonie, nikt nigdzie się nie spieszy. Mogłabym tu siedzieć i siedzieć.
Wreszcie obiad dobiega końca. Chrząknięciem oczyszczam gardło.
- Iris, chciałam ci jeszcze raz podziękować.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Iris wkłada do ust następny kawałek placka śliwkowego. - Lubię rozkazywać ludziom.
- Nie, naprawdę, jestem ci bardzo wdzięczna. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.
- W przyszłym tygodniu zrobimy lasagne i gnocchi! -Upija nieco wina i wyciera usta. - Zrobimy sobie włoski weekend.
- W przyszłym tygodniu? - wpatruję się w nią. - Ale...
- Chyba nie sądzisz, że to już koniec, co? - wybucha śmiechem. - Dopiero zaczęliśmy nad tobą pracować!
- Ale... ja nie mogę zajmować ci wszystkich weekendów...
- Jeszcze nie zdałaś egzaminu - odpowiada z udawaną surowością. - Nie masz więc wyboru. A teraz powiedz, w czym jeszcze potrzebujesz pomocy. Sprzątanie? Pranie?
Czuję ukłucie zażenowania. Najwyraźniej Iris dobrze wie, jakiego wczoraj narobiłam bałaganu.
- Chyba nie bardzo wiem, jak używać pralki - przyznaję w końcu.
- Nie ma sprawy - kiwa głową Iris. - Wpadnę do domu Geigerów podczas ich nieobecności i wszystko ci pokażę.
- Nie umiem też przyszywać guzików...
- Guziki - Iris sięga po kawałek papieru, ołówek i zapisuje to, nadal przeżuwając ciasto. - Umiesz obrębiać rzeczy?
- Eeee...
- Obrębianie - zapisuje Iris. - Co z prasowaniem? - spogląda na mnie uważnie. - Chyba potrafisz prasować, inaczej jakim cudem tego nie zauważyli?
- Oddaję rzeczy Stacey Nicholson - przyznaję się. -W naszej wiosce. Trzy funty za koszulę.
- Stacey Nicholson? - Iris odkłada ołówek. - Ta siusiu-majtka?
- W swoim ogłoszeniu napisała, że ma duże doświadczenie w praniu i prasowaniu.
- Ma dopiero piętnaście lat! - Iris odgarnia włosy, wyraźnie zdenerwowana. - Samantho, nie będziesz płaciła Stacey

Nicholson za wyręczanie cię w prasowaniu. Nauczysz się to robić sama.
- Ale ja nigdy...
- Pokażę ci. Każdy to potrafi. - Iris znika na chwilę w małym pokoiku i wyciąga stamtąd starą deskę do prasowania w kwiecistym pokrowcu. Ustawiają i przywołuje mnie do siebie.
- Jakie rzeczy musisz prasować?
- Przeważnie koszule pana Geigera - odpowiadam nerwowo, dołączając do niej.
- W porządku. - Włącza żelazko i nastawia termostat? -Do prasowania bawełny musi być bardzo gorące. Zaczekaj, aż się rozgrzeje. Nie ma sensu zaczynać, dopóki nie osiągnie odpowiedniej temperatury. A teraz pokażę ci, jak się prawidłowo zabrać do prasowania koszuli...
Marszcząc brwi, grzebie przez chwilę w stercie upranych rzeczy, leżących w koszu w składziku.
- Koszule... koszule... Nathanielu, zdejmij na chwilę swoją koszulę.
Sztywnieję. Kiedy spoglądam na Nathaniela, widzę, że on też czuje się nieswojo.
- Mamo! - uśmiecha się niepewnie.
- Och, nie bądź śmieszny, kochanie - rzuca Iris niecierpliwie. - Możesz jakiś czas postać bez koszuli. Nikt z nas nie jest wstydliwy, prawda, Samantho?
- Eee... - odpowiadam zachrypniętym głosem. - Nie, oczywiście, że nie...
- Popatrz tutaj, w tym miejscu włączasz wydzielanie pary. - Iris naciska guzik na żelazku i w powietrzu pojawia się biaława chmurka. - Zawsze sprawdzaj, czy w pojemniku jest wystarczająca ilość wody... Nathaniel! Czekamy!
Przez kłęby pary obserwuję, jak Nathaniel powoli odpina guziki. Widzę kawałek gładkiej, opalonej skóry i pospiesznie spuszczam wzrok. Nie bądźmy dziećmi. Co z tego, że zdejmuje koszulę? To nic wielkiego.
Nathaniel rzuca koszulę matce, która łapie ją zręcznie.

Mój wzrok utkwiony jest w podłodze. Nie zamierzam na niego spojrzeć.
Nie zamierzam na niego spojrzeć.
- Zaczynamy od kołnierzyka... - Iris układa koszulę na desce i wygładza nierówności. - Nie musisz mocno przyciskać. - Prowadzi moją rękę z żelazkiem. - Delikatnie i gładko ślizgaj się po powierzchni...
To jakiś idiotyzm. Jestem dorosłą, dojrzałą kobietą. Mogę patrzeć na mężczyzn bez koszuli i zachować zdrowy rozsądek. Zamierzam... zamierzam zerknąć na niego od niechcenia i sprawa załatwiona.
- Teraz karczek - Iris odwraca koszulę i znowu zaczynam prasować. - Bardzo dobrze... teraz mankiety...
Podnoszę koszulę, żeby ją przełożyć i w tym samym momencie przypadkiem-celowo spoglądam przed siebie. Słodki Jezu!
Nie jestem pewna, jak się ma do tego „sprawa i załatwiona".
- Samantho? - Iris wyrywa mi żelazko z ręki. - Przypalasz koszulę!
- Och! - przytomnieję natychmiast. - Przepraszam. Ja... się zdekoncentrowałam.
- Masz bardzo zaróżowione policzki - zaniepokojona Iris przykłada mi dłoń do twarzy. - Dobrze się czujesz, słoneczko?
- To chyba od.., od pary z żelazka - odpowiadam. Czerwona jak burak, zabieram się z powrotem do prasowania.
Iris znów zaczyna mnie instruować, ale nie słyszę ani słowa z tego, co mówi. Poruszam żelazkiem na ślepo w tę i z powrotem, rozmyślając obsesyjnie a) o Nathanielu, b) o Nathanielu topless, c) o tym, czy Nathaniel ma dziewczynę.
Wreszcie rozprostowuję w powietrzu jego koszulę, idealnie wyprasowaną, bez najmniejszej zmarszczki, z kantami tam, gdzie trzeba.
- Doskonale - mówi z zachwytem Iris. - Trochę praktyki i zdołasz uprasować jedną sztukę w ciągu niecałych czterech minut.

- Wygląda świetnie. - Nathaniel z uśmiechem wyciąga dłoń po koszulę. - Dzięki.
- Nie ma sprawy! - skrzeczę w odpowiedzi. Szybko uciekam wzrokiem w bok. Moje serce galopuje.
Doskonale! Po prostu świetnie. Jedno spojrzenie na jego ciało i zadurzyłam się po same uszy. Doprawdy, myślałam, że jestem mniej powierzchowna.
Nie ma dziewczyny.
Wczoraj wieczorem wyciągnęłam tę informację od Trish, pod pozorem wypytywania o naszych sąsiadów. Podobno miał kogoś w Gloucester, ale wszystko skończyło się kilka miesięcy temu. Droga wolna. Teraz już tylko potrzebuję dobrego planu.
Następnego poranka, gdy biorę prysznic i ubieram się, potrafię myśleć tylko o Nathanielu. Zdaję sobie sprawę, że pod tym względem cofnęłam się w rozwoju do wieku nastoletniego i za chwilę zacznę wypisywać wszędzie „Samantha kocha Nathaniela" z serduszkiem zamiast kropki nad i, ale nic mnie to nie obchodzi. W końcu moje dotychczasowe życie dorosłej, dojrzałej, zdroworozsądkowej profesjonalistki nie wyszło mi na dobre.
Rozczesuję włosy, przyglądając się zamglonym zielonym polom za oknem, i czuję niewymowną lekkość duszy. Nie mam powodu, żeby czuć się tak szczęśliwa. Formalnie rzecz biorąc, wszystko wygląda katastrofalnie. Moja fantastyczna kariera jest zrujnowana, rodzina nie ma pojęcia, gdzie jestem, ja zaś za drobny ułamek tego, co dostawałam w firmie prawniczej, wykonuję pracę, która wymaga ode mnie między innymi zbierania z podłogi brudnej bielizny innych ludzi. Mimo to, kiedy ścielę łóżko, nie mogę powstrzymać się od podśpiewywania pod nosem.

Moje życie zmieniło się diametralnie, a ja wraz z nim. Zupełnie jakby dawna, konwencjonalna, monochromatyczna Samantha skurczyła się do rozmiarów papierowej lalki. Wrzuciłam ją do wody i oto roztapia się, rozpływa w nicość. Jej miejsce zajmie teraz nowa ja. Ja z możliwościami.
Nigdy przedtem nie starałam się o faceta. Z drugiej jednak strony nigdy przedtem, aż do wczoraj, nie upiekłam kurczaka. Jeżeli potrafię zrobić coś takiego, to na pewno jestem w stanie zaprosić mężczyznę na randkę, prawda? Dawna Samantha po prostu usiadłaby i czekała, aż on do niej podejdzie. Nowa Samantha jest inna. Widziałam w telewizji programy o randkach, znam wszystkie zasady uwodzenia. Chodzi przede wszystkim o wygląd, mowę ciała i zalotną konwersację.
Podchodzę do lustra i po raz pierwszy od mojego tu przyjazdu uważnie przyglądam się swojemu odbiciu lustrującym, bezlitosnym spojrzeniem. Natychmiast tego żałuję. Ignorancja była znacznie lepsza.
Po pierwsze, czy ktokolwiek może wyglądać dobrze w niebieskim nylonowym fartuszku? Sięgam po pasek, zapinam w talii i podwijam pod nim dolną część uniformu, jak to kiedyś robiliśmy w szkole. Wreszcie dół robi się krótszy o jakieś dziesięć centymetrów.
- Cześć - mówię do swojego odbicia i niedbałym gestem odgarniam włosy. - Witaj, Nathanielu. Cześć, Nat.
Sięgam po kosmetyczkę i przez dziesięć kolejnych minut maluję się i zmywam makijaż, aż wreszcie uzyskuję pożądany naturalny i subtelny, lecz zarazem zdefiniowany wygląd. A może tylko straciłam dziesięć minut? Nie mam pojęcia.
Przejdźmy do mowy ciała. Marszczę czoło, usiłując przypomnieć sobie telewizyjne reguły randkowania. Jeżeli kobieta jest zainteresowana mężczyzną, jej źrenice się rozszerzają. Poza tym nieświadomie pochyla się wtedy do przodu, śmieje z jego żartów i eksponuje nadgarstki oraz dłonie.
Próbuję nachylić się w kierunku mojego odbicia, z dłońmi splecionymi przed sobą.
Wyglądam jak Jezus.

Próbuję dodać zalotny śmiech.
- Ha, ha, ha - chichoczę. - A to zabawne!
Teraz wyglądam jak rozbawiony Jezus. Nie jestem przekonana, czy to zwiększy moje szanse na sukces.
Schodzę na dół, odsuwam zasłony i wpuszczam do środka światło słoneczne. Podnoszę z wycieraczki poranną pocztę i zaczynam przeglądać „Cotswold Property Magazine", sprawdzając ceny domów w tej okolicy, kiedy ktoś dzwoni do drzwi. Otwieram mężczyźnie w uniformie, za którym na podjeździe stoi półciężarówka
- Dostawa sprzętu z „Profesjonalnego Kucharza" **f-** mówi. - Gdzie mam postawić pudełka?
- Hmmm - spoglądam na niego z niepokojem. - W kuchni, jeśli łaska. Dziękuję.
Sprzęt dla Profesjonalnego Kucharza. Ten Profesjonalny Kucharz to niby mam być ja. Miałam nadzieję, że potrwa to jeszcze kilka dni.
- Co to za samochód, Samantho? - Trish schodzi na dół w szlafroku i pantofelkach na wysokim obcasie? - Czy to kwiaty?
- Sprzęt kuchenny, który pani dla mnie zamówiła! - Jakimś cudem udaje mi się wydobyć z siebie entuzjazm.
- Och, świetnie. Nareszcie! - Trish uśmiecha się do mnie promiennie. - Teraz będziesz mogła zaskakiwać nas swoim mistrzowskim gotowaniem! Dziś na obiad mamy pieczonego leszcza z młodymi warzywami julienne, tak?
- Eee... tak! - zachłystuję się. - Zapewne tak.
- Uwaga!
Obie uskakujemy na bok przed dwoma dostawcami, którzy dźwigają na ramionach pudła. Podążam za nimi do kuchni i przyglądam się z niedowierzaniem rosnącej stercie. Ile tego cholerstwa zamówili Geigerowie?
- Kupiliśmy ci wszystko - mówi Trish, jakby czytała w moim umyśle. - Dalej, otwórz je! Pewnie nie możesz się doczekać!

Chwytam nóż i zaczynam odpakowywać pierwszą paczkę, podczas gdy Trish otwiera drugą, przecinając plastikową taśmę ostrymi paznokciami. Spośród morza styropianowych chrupków i folii pęcherzykowej wyciągam... coś z nierdzewnej stali. Co to jest do diabła? Szybko spoglądam na etykietkę z boku pudełka. „Forma do sawarinu*".
- Forma do sawarinu! - wykrzykuję. - Cudownie. Właśnie tego potrzebowałam.
- Kupiliśmy ich tylko osiem - mówi zaniepokojona Trish. - Wystarczy?
- Chyba... - Spoglądam na formę bezradnie. - Powinno.
- A teraz patelnie. - Trish otwiera pudło pełne lśniących aluminiowych rondelków i wyciąga jeden w moim kierunku, patrząc na mnie z nadzieją. - Powiedziano nam, że to najlepsze z możliwych. Zgodzisz się z tym? W końcu jesteś profesjonalistką.
Spoglądam na patelnię. Jest nowa i lśniąca. To wszystko, co mogę na jej temat powiedzieć.
- Niechże się przyjrzę - mówię, starając się, by brzmiało to profesjonalnie. Chwytam patelnię, podnoszę ją, przyglądam się spodowi, przesuwam palcem po brzegu i, dla lepszego wrażenia, stukam w powierzchnię paznokciem. - Tak, to bardzo dobra jakość - mówię wreszcie. - Wybrała pani bardzo dobrze.
- Och, znakomicie! - Trish rozjaśnia się i zaczyna rozpakowywać kolejne pudełko. - Popatrz na to! - Odpakowuje z folii dziwacznego kształtu gadżet z drewnianą rączką. -Nigdy czegoś takiego nie widziałam! Co to takiego, Samantho?
Wpatruję się w przedmiot w milczeniu. Co to jest, na Boga? Wygląda jak skrzyżowanie sitka z tarką i ubijaczką do piany. Spoglądam szybko na pudełko w poszukiwaniu podpowiedzi, ale naklejka z nazwą została oderwana.
- No więc? - pyta znowu Trish.
* Francuskie ciasto ponczowe.

Hej, przecież jestem profesjonalną kucharką. Powinnam wiedzieć, co to takiego.
- Tego sprzętu używa się do wysoce wyspecjalizowanej techniki kucharskiej - mówię wreszcie. - Bardzo specyficznej.
- Do czego konkretnie? - Trish wpatruje się we mnie z podnieceniem. - Pokaż mi! - wręcza mi dziwaczny przyrząd.
- To coś w rodzaju... ubijającego... kolistego ruchu... -Obracam urządzeniem kilka razy - coś w tym stylu. Odciąża nadgarstek. Trudno jest mi to pokazać bez... mm... trufli.
Trufli? Skąd mi się wzięły trufle?
- Dam pani znać, kiedy będę tego używała następnym razem - dodaję i szybko odkładam przyrząd na blat. *
- Och tak! Zrób to! - Trish jest zachwycona. - Jak to się nazywa?
- Ja zawsze mówiłam na to ubijaczka do trufli - odpowiadam - ale zapewne istnieje również jakaś oficjalna nazwa. Może zrobię pani kawy? - dodaję szybko. - Później odpakuję resztę.
Nastawiam czajnik, sięgam po dzbanek do kawy i wyglądam za okno. Po trawniku idzie Nathaniel. O Boże! Alarm zadurzeniowy! Pełne, stuprocentowe, staromodne dziecinne zauroczenie.
Nie mogę oderwać od niego wzroku. Słońce igra w jego płowych włosach. On ma na sobie znoszone, wypłowiałe dżinsy. Obserwuję, jak chwyta ogromny worek wypełniony czymś po brzegi i zarzuca go z łatwością na ramię. Przecież nie mogę ważyć dużo więcej niż worek ziemniaków...
- Jak ci minął weekend, Samantho? - przerywa moje rozmyślania Trish. - Prawie cię nie widzieliśmy. Pojechałaś do miasta?
- Byłam w domu Nathaniela - odpowiadam bez zastanowienia.
- Nathaniela? - Trish jest wyraźnie zdumiona. - Naszego ogrodnika? Ale po co?

Natychmiast zdaję sobie sprawę z mojego błędu. Ogromnego błędu. Nie mogę przecież powiedzieć, że pobieram lekcje gotowania. Wpatruję się w nią ogłupiała przez dłuższą chwilę, usiłując sfabrykować jakiś przekonywający powód wizyty.
- Po prostu... żeby się przywitać... - odpowiadam wreszcie, świadoma, że może to zabrzmieć, jakbym coś ukrywała. Poza tym czuję, że na policzki wypełza mi rumieniec.
Na twarzy Trish pojawia się nagłe zrozumienie. Otwiera szeroko oczy, daję słowo, są wielkie jak talerze.
- Ach, rozumiem - mówi. - To takie słodkie!
- Nie! - protestuję. - Nie chodzi o... naprawdę...
- Nie martw się! - przerywa mi Trish z emfazą. - Nikomu nie powiem ani słowa. Jestem wcieleniem dyskrecji.
-Przykłada palec do ust. - Możesz na mnie polegać.
Zanim mam szansę odpowiedzieć, zabiera kawę i wychodzi z kuchni. Siadam pomiędzy pudłami pełnymi sprzętu kuchennego i bezmyślnie bawię się ubijaczką do trufli.
To było dziwne. Nie szkodzi, pewnie nic się takiego nie stanie, dopóki Trish nie powie Nathanielowi czegoś niestosownego.
Nagle zdaję sobie sprawę z mojej głupoty. Oczywiście, że Trish powie Nathanielowi coś niestosownego. Uczyni jakąś aluzję i kto wie, co on sobie pomyśli. To może być bardzo żenujące i wszystko między nami zniszczyć. Powinnam pójść do niego i wyjaśnić tę sytuację. Powiedzieć mu, że Trish mnie źle zrozumiała i że wcale się w nim nie zakochałam. Naturalnie jednocześnie dając mu do zrozumienia, że w rzeczywistości tak się właśnie stało.
Zmuszam się do czekania. Robię śniadanie dla Trish i Eddiego, ustawiam nowy sprzęt kuchenny, mieszam nieco oliwy z oliwek i startej skórki cytrynowej i wkładam do marynaty filety z leszcza, tak jak uczyła mnie Iris. Potem skracam dół fartuszka jeszcze bardziej, dodaję do makijażu kilka pociągnięć konturówką - tak na szczęście - i ruszam do ogrodu

z koszykiem, który znalazłam w spiżarce. Jeżeli Trish będzie chciała wiedzieć, co takiego robię, powiem jej, że poszłam nazbierać ziół do gotowania.
Przez chwilę szwendam się po ogrodzie, aż wreszcie odnajduję Nathaniela. Jest w sadzie za starą ścianą, stoi na drabinie i zawiązuje linę wokół drzewa. Ruszam w jego kierunku i nagle czuję idiotyczne zdenerwowanie. W ustach mam sucho i zdaje się, że drżą mi nogi. Boże, a ja myślałam, że w każdej sytuacji potrafię zachować zimną krew. Ktoś mógłby pomyśleć, że siedem lat bycia prawnikiem lepiej przygotowało mnie do konfrontacji. Ignoruję tremę najlepiej, jak potrafię. Podchodzę do drabiny, odgarniam włosy do tyłu i uśmiecham się do Nathaniela, starając się nie mrużyć oczu przed słońcem.
- Cześć.
- Cześć - uśmiecha się do mnie. - Jak ci idzie? *
- Dobrze, dzięki! Znacznie lepiej. Jak dotąd nie nastąpiła jeszcze żadna poważna katastrofa... - przerywam. Nagle zdaję sobie sprawę, że wpatruję się zbyt usilnie w jego ręce, zaciskające węzeł na linie. - Chciałam zerwać trochę... rozmarynu - pokazuję na koszyk. - Jeżeli jest?
- Jasne. Zaraz trochę utnę.
Zeskakuje z drabiny i razem ruszamy w kierunku grządki z ziołami.
W tej oddalonej od domu części ogrodu panuje absolutna cisza, przerywana jedynie bzyczeniem jakiegoś dziwnego owada i chrzęstem żwiru na ścieżce pod stopami. Próbuję wymyślić coś lekkiego i niezobowiązującego do podtrzymania konwersacji, ale czuję pustkę w głowie.
- Gorąco - rzucam wreszcie. Wspaniale!
- Uhm. - Nathaniel kiwa głową i z łatwością przechodzi ponad kamiennym murkiem otaczającym zielnik. Próbuję naśladować jego sprężysty krok i zaczepiam stopą o kamienie. Auć!
- W porządku? - patrzy na mnie.
- Tak, tak, w porządku! - uśmiecham się promiennie,

chociaż stopa pulsuje niewyobrażalnym bólem. - Em... piękne zioła! - spoglądam na ogródek ze szczerym